

PRZE KROJ

Nr 16 / 3069 • 18 kwietnia 2004 •
• cena 4 zł • /w tym 7% VAT/



Koniec świata URBANA?

rozmowa

z szefem „Nie”

s. 24.

Jacek Kaczmarski

MIT BĘDZIE ZYJE

W Pańskim świecie
są jakieś zaświaty?
- Nie.
Kompletnie nic?
- Jestem zwolennikiem tezy
Lema: nic nie było przedtem
i nic nie będzie potem
dla człowieka
- bytu biologicznego.
Jednocześnie wierzę
w jakiś absolut
czy niebywałą tajemnicę,
ale ona nie przenosi
człowieka poza śmierć.
Nie ma tak zwanej duszy.
(„Przekrój” nr 25, 2002 r.)





maxivit



Preparat dostępny w dobrych aptekach bez recepty.

Długotrwały stres, niewłaściwa dieta, niewinna infekcja... I efekty – zmęczenie, obniżenie odporności i nadpobudliwość. Normalna rzecz, tym bardziej z wiekiem. Jak wrócić do siebie? Jak przeciwdziałać? MAXIVIT – optymalnie skompletowany zestaw witamin i minerałów, z największą z dostępnych zawartością żelaza. Nawet się nie zastanawiaj – możesz się czuć zdecydowanie lepiej!

SIŁA WYŻSZA



zdrowe podejście do życia

Przedstawiciel dla branży farmaceutycznej: PAFOSCAN – FARM S.J.
50-055 Wrocław, ul. Teatralna 10/12, tel./fax: (071) 343-83-06, 344-21-12, 343-56-05

Producent: Naturell AB Szwecja
www.naturell.pl infolinia 0801 352 252

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o **największym obciążeniu** mediów, w którym wzięliśmy udział, czyli akcji obrony dziennikarza Andrzeja Marka z Polic. Środowisko dziennikarskie tak się nakręciło w obronie wolności słowa, że zapomniało o sprawdzeniu faktów. Przytomność na szczęście zachował tygodnik „Przeгляд”, po nim inni przejrżeli na oczy i zobaczyli, że Andrzejowi Markowi groziło więzienie nie za poglądy, lecz za odmowę przeproszenia pomówionego. Bo nam wstyd za niego i za nas.

...o **TV Trwam** ojca Rydzyska, który w końcu zdecydował się udostępnić sygnał nadawcom telewizji kablowych za darmo (ale tylko w najtańszych pakietach). Kablewcy będą musieli zapłacić, jeśli zechcą umieścić TV Trwam w droższych pakietach. Bo nie jesteśmy pewni,

ko go tu się krzywdzi – bogatych czy biednych?

...o **przygotowanym** przez senator Marię Szyszkowską (SLD) projekcie kodeksu honorowego osób pełniących funkcje publiczne. Zdaniem pani senator urzędnicy i politycy powinni „szerzyć idee pluralizmu światopoglądowego, powstrzymać się od upubliczniania niesprawdzonych informacji, odnosić się z szacunkiem do przedstawicieli innych partii, powstrzymać się od używania języka wulgarnego czy nadużywania napojów alkoholowych”. Bo uważamy, że krócej by było uchwalić, żeby politycy byli mądrzy. A efekt taki sam.

...o **tym, że jeśli macie** w domu podręczną apteczkę z namalowanym czerwonym

krzyżem, to jesteście przestępcami i grozi wam kara 2,5 tysiąca złotych, jako że znak ten podlega ochronie na mocy ustawy o Polskim Czerwonym Krzyżu i konwencji genewskiej. Bo logo PCK cenimy bardzo, lecz logikę bardziej.

...o **tym, jak szef** Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Andrzej Barcikowski wyraził „głęboki żal”, że jego zastępca Mieczysław Tarnowski znalazł się w „dyskomfortowej sytuacji”. Ponoć Wojskowe Służby Informacyjne zablokowały nominację generałką dla Tarnowskiego, uznając, że zataił współpracę z wojskowymi służbami specjalnymi PRL. Bo powinniśmy wyrazić „głęboki żal” z powodu „dyskomfortowej sytuacji”, że Barcikowski wciąż jest szefem ABW. Ale to banał.

CYTAT tygodnia

Jakby płacili za bicie rakietą po głowie, to może bym coś zarobił.

ANDRZEJ GOŁOTA
oceniający poziom swoich tenisowych umiejętności



Fot. WŁODZIMIERZ SIERAKOWSKI/PRZEGLĄD SPORTOWY

36 SERCE PO LEWEJ STRONIE
Jaka jesteś, młoda polska
lewico?

LUDZIE!!!

40 KOMISARZ „NIE WOLNO”
Drżą przed nim wielkie
światowe korporacje.
Kto w Polsce powinien się
bać Maria Montiego

42 PAN IKEA
Sześć szwedzkiej firmy okazał
się bogatszy niż Bill Gates.
Na chwilę

46 NAJLEPSZY W BRANŻY
To Pharrell Williams stworzył
Britney Spears
i Justina Timberlake'a

48 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

HISTORIE FIRM

50 UPAJANIE HISTORIĄ
Cztery stulecia
Browarów Tyskich

NAUKA

56 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

58 CZARNA ROZPACZ BIAŁEGO
MURZYNA
Albinosi muszą wystrzegać
się nie tylko słońca. Niestety,
prześladują ich także ludzie

62 POD CIŚNIENIEM
Dobrodziejstwa komory
hiperbarycznej

64 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

66 42 KILOMETRY BÓLU
Zadziwiające, że coraz więcej
ludzi chce wypruć sobie
żyły w maratonach

PATRZĄC I CZYTAJĄC

68 WYKROPKOWANA
Szalona sztuka japońskiej
gwiazdy Yayoi Kusamy
w warszawskiej Zachęcie!

76 LISTY

77 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

78 FILM – „Sekretne okno”

80 MUZYKA – Grażyna Auguścik

82 KSIĄŻKI – „Bombel”
Miroslawa Nahacza

84 GRY – „Counter-Strike”



Fot. PIETER HUGO (4)



Fot. DZIEKI UPRZEJMOSCI OTA FINE ARTS, TOKIO

68

Kusama: życie
w kropki

86 TELEWIZJA – Pat Robertson
z Bogiem za pan brat

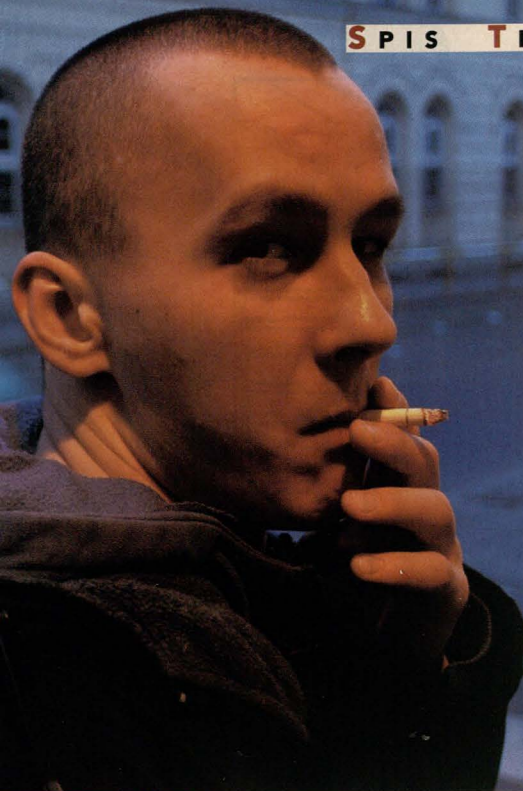
ROZMAITOŚCI

88 KULINARNE PIÓRO POLSKI;
WINNY BIĘCZYK;
krzyżówka, jolka

90 ZALEWAJKA KAZIMIERZA
KUTZA

Inspektor
Gadżet

64



Fot. MARIUSZ FORECKI/TAM TAM

36

Młodzi,
dzielni,
lewicowi

6 POWIĘKSZENIA
Bunt;
Jacek Kaczmarski:
Umarł, bo chciał śpiewać

16 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe
i zagraniczne

20 PYTAMY
Krzysztofa Kozłowskiego,
byłego ministra spraw
wewnętrznych, dlaczego
Agencja Bezpieczeństwa
Wewnętrznego
niebezpiecznie się bawi

21 ODESZLI

22 KOMENTARZE

23 RACZEJ RACZKOWSKI

NAJSZTUB PYTA

24 URBAN SCHYŁKOWY
Naczelny „Nie” nie chce być
premierem, demokrację
uważa za fikcję, a w wyborach
poprze Marka Borowskiego.
Chyba że wcześniej Borowski
się zbłądzi – mówi Jerzy
Urban w rozmowie z Piotrem
Najsztabem

DOKUMENTY

28 PROSZĘ WSTAĆ, CYRK IDZIE
Kiepski biegły sądowy
zmienia proces w farsę

32 POLICJA AMFĘ CI PODA
W Melbourne stróża prawa
postanowili zastąpić mafię.
Z sukcesem



Okładka:

JACEK
KACZMARSKI

Fot. MAREK KAREWICZ/AKPA

JERZY URBAN

Fot. MACIEJ MACIERZYŃSKI
/REPORTER (2)



Masz pewność, że prowadzisz.

Servotronic i mechanizm Active Return.

Nowy Golf słucha tylko Ciebie. Servotronic, inteligentny system wspomagania układu kierowniczego, daje poczucie pewności. Dopasowuje siłę wspomagania do prędkości. Stabilizuje samochód przy bocznym wietrze oraz zapewnia pełną kontrolę nad pojazdem nawet podczas dynamicznej jazdy. Mechanizm Active Return powoduje, że koła po pokonaniu zakrętu samoczynnie wracają do pozycji na wprost. Dzięki temu wychodzisz idealnie z każdego zakrętu. Nowy Golf. **Jazda próbna obowiązkowa!**



Z miłości do Samochodu



powiększenie

ZACZĘŁO SIĘ OD BRUTALNEGO ROZPĘDZENIA MANIFESTACJI SZYITÓW W BAGDADZIE. W STARCZACH, KTÓRE ROZLAŁY SIĘ PO CAŁYM KRAJU, ZGINĘŁO 700 IRAKIJCZYKÓW

BUNT

Amerykani na tydzień stracili kontrolę nad połową Iraku. Miażdżąc rebelię, zaprzepaścili resztkę zaufania Irakijczyków. Być może na zawsze

MAREK RYBARCZYK

Irakijczycy wiwatują koło płonących wraków amerykańskich ciężarówek na przedmieściach al Falludży. Konwój zaatakowali 8 kwietnia sunniccy rebelianci

KARIM SAHIB/AP/EAST NEWS



8 kwietnia w Iraku uprowadzono trzech Japończyków – dwóch mężczyzn i kobietę. Porywacze nagrali kasety, na której widać, jak terroryzują zakładników i grożą im śmiercią



Porywacze z tajemniczej „Brygady Mudżahedinów” zaprezentowali paszport jednego z porwanych Japończyków

Uprawdzenie wywołało szok w Tokio. Uczestnicy wieców protestowali przeciw udziałowi Japonii w wojnie



PORYWANIE OBCOKRAJOWCÓW TO NOWA BRON IRACKICH REBELIANTÓW. W ZAMIAN ZA UWOLNIENIE DOMAGAJĄ SIĘ OD ICH RZĄDÓW WYCOFANIA WOJSK Z IRAKU. JAK DOTĄD BEZSKUTECZNIE



Czeski dziennikarz Martin Kubel i kamerzysta Petr Klima zniknęli na drodze z Bagdadu do Ammanu

Po prawej: Thomas Hamill z USA porwany koło al Falludży



Po lewej: Izraelczyk Ahmed Yassin i Tikati

Po prawej: Czterech porwanych kierowców ciężarówek: dwóch Turków, Filipińczyk i Nepalczyk



Zniwo najkrwawszych starć od upadku Saddama: 75 zabitych żołnierzy koalicji i 700 ofiar wśród Irakijczyków. Rebelia, która na tydzień ogarnęła Irak, wydaje się tracić na sile, ale kraj jest na krawędzi wielkiego powstania. Wspólnego powstania sunnitów i szyitów przeciw amerykańskiej okupacji.

W sunnickiej al Falludży po sześciu dniach walk wynegocjowano na początku tego tygodnia niepewny rozejm. Kilka dni wcześniej Amerykanie rozpoczęli krwawą pacyfikację miasta z użyciem artylerii, czołgów i helikopterów. Celem było schwywanie lub zabicie Irakijczyków odpowiedzialnych za śmierć czterech amerykańskich jeńców zamordowanych na przedmieściach 31 marca. Podczas walk ze zrujnowanej al Falludży uciekła jedna trzecia mieszkańców. Wśród 600 zabitych jest 160 kobiet i 141 dzieci.

Gdy Amerykanie rozpoczęli pacyfikację al Falludży, na południu kraju i w prawobrzeżnym Bagdadzie wybuchła druga rebelia. 4 kwietnia znany z antyamerykańskich poglądów szyicki duchowny Muchtada al Sadr wezwał swoich zwolenników do „terroryzowania wroga”. Jego dziesięcioletnia bojówka zajęła Nadżaf, Kut, Kufę i Karbalę w tak zwanej polskiej strefie. Żołnierze Armii Mahdiego wypędzili z miast ustanowioną przez Amerykanów iracką policję.

Zwolennicy al Sadra wynaleźli też jeszcze jedną, psychologicznie bardzo skuteczną formę walki. Zaczęli porywać obcokrajowców, grożąc ich egzekucją. Do połowy kwietnia porwali ponad 20 osób, w tym dziewięciu Amerykanów, trzech Japończyków, trzech Czechów, Kanadyjczyka, Izraelczyka, trzech Rosjan i pięciu Ukraińców. Większość to pracownicy prywatnych firm lub organizacji humanitarnych.

Do wtorku, kiedy zamykaliśmy ten numer „Przekroju”, siły okupacyjne odzyskały względną kontrolę nad większością szyickich miast. Rebelia została opanowana, ale opór, podobnie jak w al Falludży, nadal się tli. Amerykanie wciąż nie panują nad kilkoma szyickimi enklawami, między innymi nad bagdadzką dzielnicą zwaną Miastem Sadra i Nadżafem, gdzie ukrył się przywódca rebelii. W obu tych miejscach szyici sami zaprowadzili spokój.

MUCHTADA! MUCHTADA!

Iskrą, która podpałała pierwszą iracką rebelię, było brutalne stłumienie szyickich manifestacji w Bagdadzie. Na początku kwietnia zwolennicy al Sadra wyszli tam na ulice, by zaprotestować przeciw zamknięciu rozchwytywanego w meczetach pisma ekstremistów „Al Hawza”. 4 kwietnia na placu Firdos w Bagdadzie – tym samym, z którego rok temu transmitowano na cały świat obalenie pomnika Saddama – słychać było głucho skandowanie: „Muchtada! Muchtada!”.

Imię idola demonstrantów zagłuszyła kanonada z broni maszynowej. Ogień otworzyli żołnierze nowej irackiej armii, a potem amerykańscy komandosi. Uzbrojeni szyici też zaczęli strzelać. Tego samego dnia do podobnej masakry doszło także podczas rozpędzania manifestacji w Nadżafie. W sumie padło 70 zabitych. I zaczęła się rebelia.

CHE I CHOMEINI W JEDNYM

Człowiek, który ją wywołał, nie wygląda na rewolucjonistę. Niepozorny puculuwaty młodzieniec z wielką brodą ma ponoć 31 lat, ale niektórzy z jego otoczenia twierdzą, że naprawdę jest zaledwie 23-latką. Swoją autorytet Muchtada al Sadr zawdzięcza ojcu i własnej działalności charytatywnej wśród szyickiej biedoty w Bagdadzie. Jego ojciec, wielki ajatollah Muhammad Sadik Sadr, został zamordowany w 1999 roku przez agentów Saddama Husajna. Podobny los spotkał dwóch braci Muchtady. Wcześniej za islam zginął jego wuj.

Jeszcze wiosną 2003 roku al Sadr był nikomu bliżej nieznanym radykałem. Cieszył się reputacją ideologicznego chuligana, a popierało go zaledwie kilkuset szyitów, głównie biedota ze wschodniego Bagdadu. Żądał wycofania wojsk koalicyjnych, ale nie groził jeszcze falą przemocy. – I co, mam się wypieprzyć na atakowaniu Amerykanów? – oświadczył zdumionym dziennikarzom na konferencji prasowej.

W kwietniu 2003 roku ludzie Muchtady zasztyletowali w Nadżafie Abdela Madżida al Khoeiego, umiarkowanego szyickiego ajatollaha, skłonnego do współpracy z Amerykanami. Al Sadr nie miał więcej rywali. I nie dziękował Bushowi za obalenie wroga szyitów Saddama Husajna. – Dokonał tego Allah, a nie żołnierze armii niewiernych – mówił młody duchowny. W płomiennych kazaniach w meczetach piętnował „okupantów”, porównywał ich rządy do dawnego reżimu i twierdził, że Amerykanie spiskują z Żydami. – Chcą zbudować Izrael od Morza Śródziemnego do Eufratu – mówił al Sadr.

Młody radykał walczy o ustanowienie państwa islamskiego: z zasłoniętymi twarzami kobiet i całkowitym zakazem sprzedaży alkoholu. – Sadr jest połączeniem ajatollaha Chomeiniego z Che Guevarą. Jego Irak byłby podobny do Iranu – pisała w „Guardianie” publicystka Naomi Klein.

Gdy szyita Sadr koordynował z Nadżafu własną rebelię, w al Falludży sunniccy radykałowie bronili się przed amerykańskimi komandosami. Skłócenie dotąd wyznawcy dwóch odłamów islamu zaczęli się porozumiewać, a w kilku miastach odbyły się nawet wspólne modlitwy. – Szyici i sunnici nie pierwszy raz w historii odkładają spory na bok. Tak było podczas wypraw krzyżowych – przypomniał brytyjski ekspert wojskowy Paul Beaver.

Fot. ROBERT KING/FOLARIS/EAST NEWS



PŁOMIENNYM KAZANIOM AL SADRA UFA ZALEDWIE CO DZIESIĄTY SZYITA. TO JEDNAK DOŚĆ, BY W OGNIU STANEŁO PÓŁ IRAKU

Mieszkańcy al Falludży znaleźli się w środku piekła. Amerykańscy komandosi korzystali z całej dostępnej siły ognia. Padły dziesiątki ofiar wśród irackiej ludności cywilnej. W miejskich walkach, których Amerykanie unikali jak ognia podczas ubiegłorocznej inwazji na Irak, szybko prysł mit niezwyciężonej armii. – To tak jak bitwa o Hue City w Wietnamie – mówił re-

porterowi „The Times” przerażony oficer amerykański w al Falludży.

NIETYKALNY SADR

Na ulicach miasta leżały stopy trupów. – Któregoś dnia będziemy musieli tu jeździć i strzelać do wszystkiego, co się rusza. A wtedy nasza misja straci wszelki ludzki wymiar – mówił inny amerykański oficer w al Falludży. W świę-

teczny weekend Amerykanie zgodzili się na rozejm, oczekując na wydanie ludzi winnych zamordowania amerykańskich jeńców.

Od szyitów Amerykanie żądają wydania Muchtady al Sadra. Własnym żołnierzom dali rozkaz, by go schwytać lub zabić. Problem w tym, że rebeliant ukrył się w świętym mieście szyitów Nadżafie, do którego Amerykanie nie weszli nawet rok temu, kiedy zajmowali

Irak. Mediatorzy ostrzegają, że jeśli zrobią to teraz i zabiją al Sadra, w Iraku z miejsca wybuchnie wielkie powstanie szyitów. – A to grozi katastrofą – mówi Adnan Hadi al-Asadi, wiceminister spraw wewnętrznych w irackiej Radzie Zarządzającej, który namawia Amerykanów do mediacji z Sadrem.

MAREK RYBARCZYK

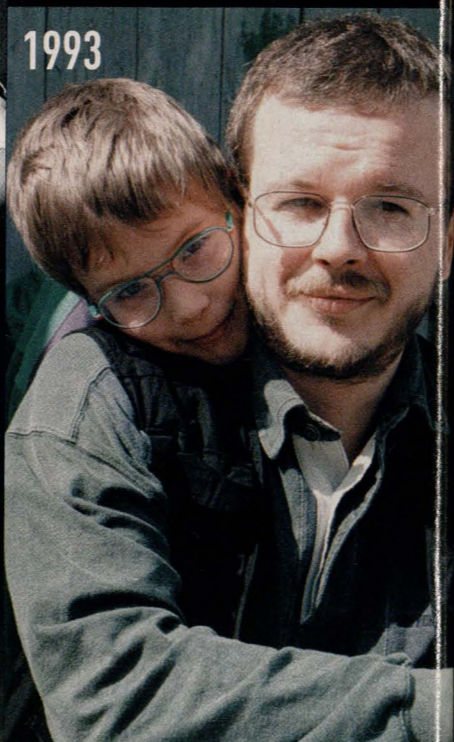


około 1980

PIOTR NAJSZTUB: Jak Pan przeżył wiadomość o raku?
JACEK KACZMARSKI: Przez dwa tygodnie byłem w takim stanie półświadomości. Leżałem, piłem sporo wina. Użalałem się nad sobą. Z drugiej strony pojawiło się jakby uczucie pewnej ulgi.

Dlaczego ulgi?

– Jest w człowieku taka podskórna tęsknota do śmierci, tęsknota do tajemnicy albo chęć pozbycia się wszystkich ziemskich kłopotów.



1993



1997



2003



2002

To pierwszy taki czas, kiedy śmierć Panu towarzyszy?

– Miałem takie depresje, kiedy myśl o śmierci towarzyszyła mi w sposób permanentny. To było związane z alkoholem: delirki, tepley, lęki poranne. Śmierć towarzyszyła mi od dawna: pierwszą swoją pracę na studiach pisałem o wątku śmierci w literaturze średniowiecznej.

(„PRZEKRÓJ” NR 25, 2002 R.)

Jego śmierć zaskoczyła wszystkich. Tak jak on do końca wierzyliśmy, że ryzykowna terapia się powiedzie

**UMARŁ
BO CHCIAŁ
SPIEWAC**

Fot. MAREK KAREWICZ/AKPA

Fot. KLEINKLEN (2)

Fot. MICHAŁ MUTORAG

Fot. ANNA PIETUSZKA/FORUM

Oddział chorych na raka à la Polonaise

A.D. 2002

Pięciu na jedną salę kładli na Banacha (miejsca ciągle za mało, a rak coś się pleni), więc pięciu nas leżało, a każdy miał stracha, że to kres jego drogi na tej ciężkiej ziemi. Ten spod okna z godnością znosił swoje łęki: szlafrok, kaptcie, tranzystor, oficerska mina. Dyrygował, jak mamy korzystać z łazienki... a ja – nic nie mówiłem. Czytałem kryminal.

Drugi, z guzem na wardze, lubił telewizję, więc każdą wolną chwilę na kobiecym siedział; mówił – wie pan, w cywilu to ja jestem fryzjer, ale teleturnieje mnie biorą, ta wiedza! Godny zgodził się, owszem, że bez wiedzy nijak, on jednak osobiście zwykł chadzać do kina; po czym włączył tranzystor na Radio Maryja, a ja – nic nie mówiłem. Czytałem kryminal.

Trzeci wciąż się naświetlał, miał głowę w bandażach, skórę twarzy jak sandał i dziurę po uchu. Zniknął „plucka przewietrzyć i raczka podsmażyć” Nikotyńka – powiedział – podtrzymuje na duchu. Ten od teleturniejów odmawiał jej zalet. – Panie! Pański nowotwór, to ta nikotyńka! Obrażał się Palacz – Przecież uchem nie palę! A ja – nic nie mówiłem. Czytałem kryminal.

Czwarty też małowówny. Wwieźli go o zmierzchu i wcisnęli na siłę w kąt pod Krucyfiksem. – Tak na oko – oświadczył – jestem zdrow! Po wierzchu! Ale rak mnie wyżera, jak żyd krem w Bar Miców! Tu Godny się ożywił słysząc temat „Żydzi”. – Zlatują się, jak muchy, a my – jak padlina! Nie dość, że takie żyje, to jeszcze z nas szydzi! A ja? – nic nie mówiłem. Czytałem kryminal.

– Polacy Adzikowi* winni są pomniki za to, że tyle tego robactwa wypalił! – Ale żydki się w Krzyżu kryją, jak korniki! Papieżowi jarmułkę założyć kazali!

– Odwiedzał synagogę – tłumaczył Telewidz, ale go zakrzyczała rakowa rodzina. – Niech pan tutaj nie broni żydowskiej bolszewii! A ja – nic nie mówiłem. Czytałem kryminal.

– Pan zgasi już to światło! Przecież spać chcą chorzy! – Skłął mnie potem wsłuchany w radiowe nieszpory Ów, co godnie ból znosił, ale się położył, Bo po takiej dyskusji poczuł, że jest chory. Z twardą kulą w przelyku łąziłem po ciemku zimną wodą spod kranu chłodzić suche usta, a Bezuchy po łóżku ciskał się i stękał – Kładą tu byle kogo i nie można usnąć!

Rano mnie wypisali zaraz po badaniach. Teraz już tylko dni do wyroku odliczać... Pod oknem siedział Godny. Wkładałem ubranie. Nagle, ni stąd, ni z owąd mówię – Zdrowia życzę... Wyrwał się z odrętwienia, jakbym był majakiem. – No proszę! Jednak umie pan mówić, jak widzę! A myśmy już myśleli: z książką, to snob jakiś... – Nie, proszę pana – mówię – nie snob. Jestem Żydem.

Oj, odjęło mu mowę. Bo o co tu pytać? Wyraźnie było widać kiedy się przeraził, że pacjent-żyd już wie, kto jest antysemitą i zgładzi go przez Spisek Żydowskich Lekarzy! Odszedłem, bezskutecznie próbując przelykać i w ustach mi gęstniała tysiącletnia ślina. – Spluń za siebie – mówiło mi coś – spluń i zmykaj! A ja obracałem w pamięci kryminal.

Jacek Kaczmarski
Osowa, 5.06.2003

*Adzik – w pewnych kręgach czule zdrobnienie od Adolfa (Hitlera).

Wiersz z tomu „Tunel”, który ukaże się nakładem wydawnictwa Tower Press

Choroba przyszła nagle. Nowotwór złośliwy, tym złośliwszy, że zaatakował krtani człowieka, dla którego śpiewanie było najistotniejsze. Dolegliwości zaczęły się przy kolacji z przyjaciółmi. Na wieść o bólu gardła ktoś zażartował, że to zawsze może być rak. Jacek Kaczmarski napisał potem, że na stole był łoś z rakowymi szyjkami, choć to były kapary...

Lekarze dawali mu dwa tygodnie życia. W jednym z wywiadów opowiadał, jak w gdańskim szpitalu pobierano mu wycinki z gardła. W pewnym momencie ktoś podsunął do podpisu oświadczenie, że pacjent nie zgłasza pretensji za ewentualne wybitcie zębów. – Może powstanie z tego powieść satyryczna? – pytał sam siebie.

Według lekarzy jedyną radą było wycięcie guza, ale wtedy Kaczmarski już nigdy nie mógłby śpiewać. Nie zgodził się. Jeździł do bioenergoterapeutów i magów. W Gliwicach położył się na „łóżku, które leczy raka”. Nie wierzył w to, ale pytał bliskich: czemu nie spróbować? W końcu wybrał nieinwazyjną terapię w Austriackim Centrum Rehabilitacji i Regeneracji Onkologicznej. Składało się na nią głębokie, punktowe ogrzewanie krtani, terapia polem magnetycznym i tradycyjne metody medycyny chińskiej. Kaczmarski dostawał witaminy, selenit mający stymulować układ odpornościowy i lek o nazwie Ukrain wynaleziony w 1978 roku przez doktora Wasyla J. Nowicky'ego, który użył do jego produkcji ziola o nazwie glistnik jaskółcze ziele (w tradycyjnej medycynie alkaloidom zawartym w roślinie przypisuje się działanie przeciwnowotworowe) oraz jednego ze starszych leków cytostatycznych (uszkodzających komórki nowotworowe) – tiotepy. Kuracja Ukrainem kosztuje 10–20 tysięcy dolarów rocznie. Potrzebne były pieniądze. Środowisko ludzi bliskich Kaczmarskiemu organizowało koncerty na zbiórkę funduszy. Pomagali też obcy. Kiedyś dostał z Krakowa list z biżuterią w środku.

W latach 80., gdy nawet wydawnictwa wielościenne były rarytasem, jego wiersze przepisywaliśmy ręcznie lub na maszynie. Wychoywał nas. Porównania z Okudźwą i Wysocim narzucały się same. Liczyła się charyzma i teksty oskarżające szarą, beznadziejną rzeczywistość za oknem. „Mury”, „Sen Katarzyny II”, „Modlitwa”, „Pejzaż z szubienicą” przekraczały granice liryki jak poezja Herberta i muzyki jak piosenki Maanamu. Łączyły je, tworząc wspólnotę ludzi myślących podobnie.

Jacek Kaczmarski zadebiutował w 1977 roku na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie „Oblawą” opartą na motywach utworu Włodzimierza Wysociego. Kilka lat później wraz z Przemysławem Gintrowskim i Zbigniewem Łapińskim miał na swoim koncie płyty „Mury”, „Raj”, „Muzeum”. W stanie wojen-

nym, który zastał go za granicą, współpracował z Radiem Wolna Europa, koncertował na rzecz Solidarności w USA i Kanadzie. Rok po wolnych wyborach wrócił do Polski z serią recitali. Był strach, czy ta poezja bez komunistycznego kontekstu się nie zestarzała. A tu znów pełne sale, znów entuzjazm. W 1995 roku wydał powieść autobiograficzną „Autoportret z kanałią” i przeprowadził się do Australii.

Kaczmarski przepowiedział, że „mury runą”. Ale nie spełniły się inne jego wiersze, na przykład „Widzenie”:

Widzę normalny kraj –
Brzozy, cerkiew, rzeka
Nad rzeką olchowy gaj –
dar Boga dla człowieka
Wiatrem wędruje dzwon

zrodzony w gliny grudzie
I oto ze wszystkich stron
Idą normalni ludzie.

Publikowaliśmy jego wiersze w „Przekroju”. W marcu obiecał mi jeszcze wiersz o świętach Wielkiejnocy. Gdy dwa tygodnie później zadzwoniła pani Alicja, towarzysząca życia artysty, z przeprosinami, że wiersza nie będzie, wiedziałem, że nastąpił nawrót choroby. Jeszcze w Wielki Piątek Jacek pisał poemat o baronie Münchhausenie. Jeszcze w Wielką Sobotę, 10 kwietnia, o 17 z Gdańska nadeszła wiadomość, że „sytuacja się normuje”. Zmarł wieczorem. Miał 47 lat. Trudno mi sobie wyobrazić, że już nigdy nie dostanę maila z Osowej.

MARCIN PIESZCZYK, OWO



...drukarek atramentowych



Kolorowe drukarki Canon

Większość drukarek atramentowych Canon drukuje zdjęcia bez marginesu. Wiele z nich można podłączyć bezpośrednio do aparatu cyfrowego. Wybrane drukują nawet na płytach CD/DVD. Wszystkie są szybkie i drukują z wyjątkową jakością – są idealne dla profesjonalistów i amatorów, niezastąpione w domu i w biurze. Wyjątkowa niezawodność i łatwość obsługi sprawia, że drukowanie staje się pasją!

www.canon.pl



you can
Canon
OFFICIAL PARTNER
Euro 2004



Niszczanie chleba jest sprzeczne z polską tradycją. Czy urzędnicy o tym nie wiedzą?

NIE RZUCIM CHLEBA NA STOS

ŻADEN URZĄD NIE PRYZNAJE SIĘ DO AUTORSTWA NAKAZU NISZCZENIA CZERSTWEGO CHLEBA. SAM PRZEPIS WIDZIANO TYLKO W JEDNYM MINISTERSTWIE

W Unii Europejskiej Polska nie będzie już krajem, „gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba”. Poinformowały o tym media, twierdząc, że niesprzedany chleb ma być po 1 maja „palony lub kompostowany”. Zapis dostosowujący nasze prawo do unijnego dotyczący pieczywa, które przeleżało w sklepie dłużej niż jeden dzień.

Istnienie przepisu potwierdza tylko Ministerstwo Rolnictwa. – Nic nie stoi na przeszkodzie – uważa Małgorzata Książek, rzecznik prasowy resortu – aby stary chleb, jeśli nie spleśniał, oddawać do przeróbki na paszę – wyjaśnia. Po szczegóły odsyła do Głównego Inspektoratu Sanitarnego.

– Dla mnie chleb dwudniowy nie jest groźnym środkiem spożywczym – dziwi się tam dyrektor Maria Suchowiak odpowiedzialna za przepisy o bezpieczeństwie żywności. Nie wie, skąd się wziął przepis o czerstwym chlebie. – Może powstał w Urzędzie

Komitetu Integracji Europejskiej? – zastanawia się. – To nie my – usłyszeliśmy jednak w UKIE.

– Ideał sięgnął bruku, a głupota szczytów – komentuje Bogdan Mamaj, szef stołecznego cechu piekarzy.

Antropolog Małgorzata Orlewicz z Muzeum Etnograficznego w Warszawie jest oburzona. – Chleba się nie niszczy, to sprzeczne z polską tradycją. Bóg jest w chlebie – antropolog przypomina ludowe porzekadło.

– Dostajemy codziennie za darmo chleb dla 80 matek – mówi Anna Kwiatkowska z Centrum Samotnej Matki z Dzieckiem „Markot” w Warszawie. – Bez tej pomocy kobiety będą głodne. Ten przepis to horror – dodaje.

Anonimowi polscy urzędnicy znów chcieli być bardziej europejscy niż sami Europejczycy – przepis o chlebie obowiązuje, ale nie w każdym kraju Unii. Środowiska piekarskie w Polsce zapowiadają walkę z nakazem niszczenia chleba. (MW)

PIJ, TYLKO NIE JEDŹ!

Kampania pod hasłem „Wyższa Forma Inteligencji – Po imprezie nie prowadzę” obejmie media ogólnopolskie oraz punkty sprzedaży alkoholu, a barmani i didżeje będą proponować nietrzeźwym klientom taksówkę. Jak podkreśla organizator, akcja nie straszy skutkami wypadków ani nie zniechęca do picia alkoholu. Pić można do woli, byle nie siadać potem za kierownicą. Zleceniodawcą kampanii jest największy światowy koncern alkoholowy Diageo plc. Wicedyrektor Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych Bogusław Praisner mówi z nadzieją: – Może firmy sprzedające produkty „ryzykowne” dojrzały do tego, żeby wziąć na siebie problemy związane z ich spożyciem? Nasuwa się pytanie, czy interes społeczny – ograniczenie spożycia alkoholu – może być zbieżny z interesem koncernu alkoholowego. Za trzy miesiące dowiemy się, o ile wzrosły obroty firmy Diageo i czy spadła liczba wypadków spowodowanych przez pijanych kierowców. (JOGA)



„Wyższa Forma Inteligencji – Po imprezie nie prowadzę”

GRAND PRZEKRÓJ

„PRZEKRÓJ” W NOWEJ SZACIE ZGARNAŁ NAJWAŻNIEJSZE NAGRODY W KOLEJNYCH DWÓCH PRESTIŻOWYCH KONKURSACH

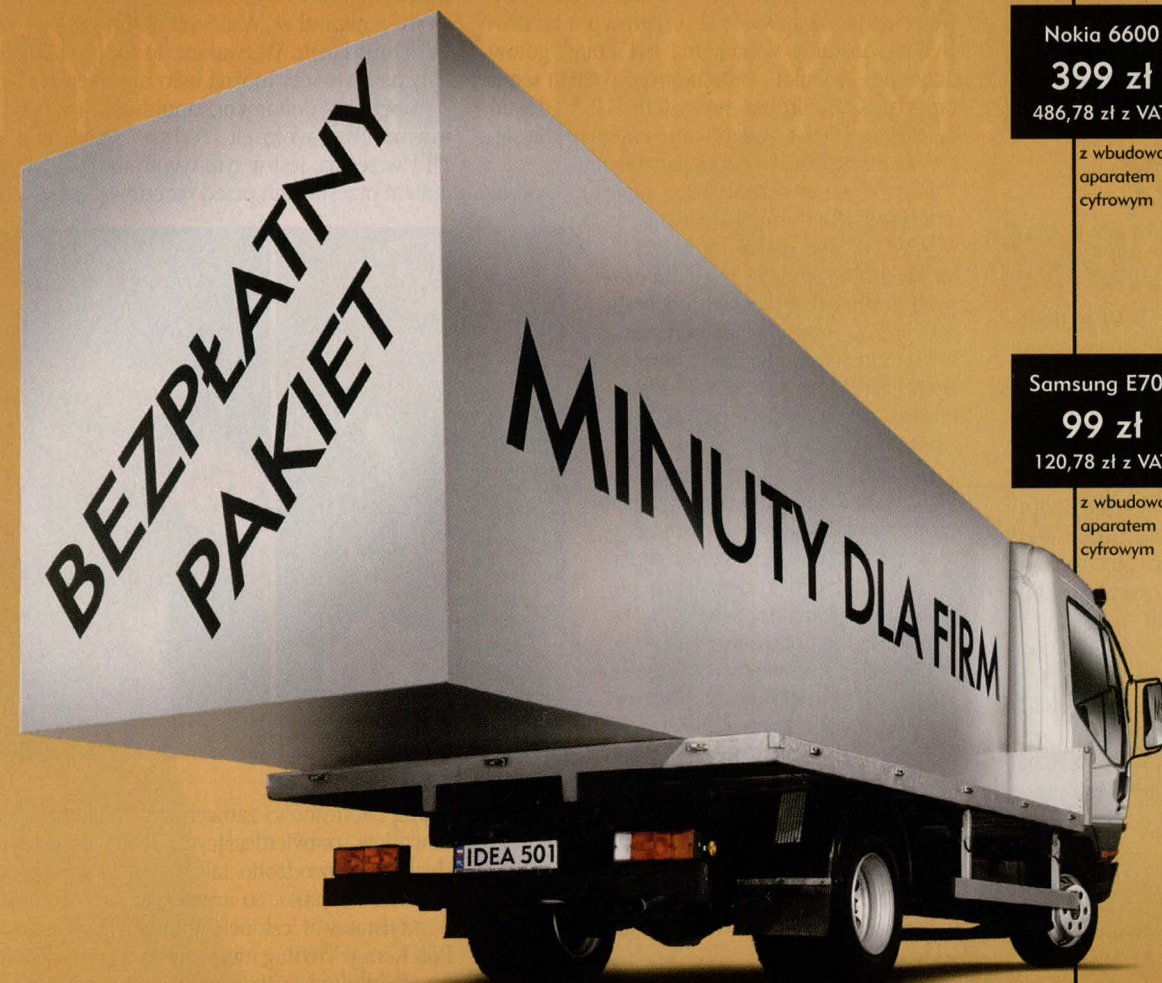
Dostaliśmy nagrodę Grand Front 2003 za najlepszą okładkę prasową roku i Grand Prix w Konkursie Projektowania Prasowego „Chimera”. „Projekt magazynu, ilustracje, fotografie odwołują się do historycznej pozycji pisma w sposób wspaniały i świeży” – orzekli „chimeryczni” jurorzy. Oprócz Grand Prix (o którą walczyły prace z Polski, Estonii, Czech, Bułgarii, Białorusi, Serbii i ze Słowenii) mamy też statuetki za nową szatę graficzną.



W kategorii „Debiut Rynkowy 2003” nagrodę za nowatorską formę otrzymał „notes.na.6.tygodni” fundacji Bęc Zmiana.

Wcześniej jurorzy Izby Wydawców Prasy szukający najciekawszych rozwiązań graficznych uznali naszą okładkę z Andrzejem Lepperem („Malowany dyktator na upalne lato”) za Prasową Okładkę Roku Grand Front 2003 (kategoria „czasopisma”). Malowany przez Marcina Maciejowskiego „mulat” (na zdjęciu) pokonał aż 260 innych okładek! Rywalizację wśród dzienników wygrał „Puls Biznesu”. Jego okładka „Euforia” – poświęcona wynikom referendum unijnego – wyprzedziła „Gazetę Wyborczą” (II miejsce) i „Super Express” (III miejsce).

Gdy dodamy do tego pięć nagród, jakie przyznano nam w lutym w konkursie Media Trend (w tym Grand Prix i Czasopismo Roku), okaże się, że „Przekrój” w tym roku jest najbardziej utytułowanym spośród wszystkich czasopism. (JOGA)



DLA FIRM

Nokia 6600
399 zł
486,78 zł z VAT

z wbudowanym
aparatem
cyfrowym



Samsung E700
99 zł
120,78 zł z VAT

z wbudowanym
aparatem
cyfrowym



Motorola V500
1 zł
1,22 zł z VAT



Powyższe ceny telefonów obowiązują dla planów taryfowych Idea Top Firma 200 i 400

Do 90 godzin bezpłatnych połączeń dla całej firmy!

Teraz w ofercie Idee dla Firm bezpłatnie otrzymasz dodatkowy pakiet minut, z którego będziesz korzystać Ty i Twoi pracownicy.

- 3 pakiety na firmę: 80, 200 lub 600 bezpłatnych minut na 6 lub 9 miesięcy;
- SMS-y za 10 gr, a MMS-y tylko za 20 gr netto.

Kup telefon i odbierz swój Pakiet Minut na Firmę!

Oferta jest dostępna we wszystkich punktach sieci Idea i Telepunktach. Szczegóły oferty w regulaminie promocji. Informacja Handlowa dla Firm: 0801 100 501. Koszt połączenia: 1 jednostka taryfikacyjna wg cennika TPSA; www.idea.pl

Łączy Cię z ludźmi

☛ JEDEN PROCENT swoich podatków możesz jeszcze do końca kwietnia przekazać samodzielnie wybranej

organizacji charytatywnej. Zajrzyj na www.jedenprocent.pl



Nurkowie znaleźli wrak na głębokości 60 metrów. Wszystko wskazuje na to, że to maszyna Saint-Exupéry'ego

MAŁY KSIĄŻĘ ODNALEZIONY

NA POŁUDNIE OD MARSYLII, W MORZU OBOK NIEWIELKIEJ WYSPY RIOU, ODNALEZIONO SZCZĄTKI SAMOLOTU ANTOINE'A DE SAINT-EXUPÉRY'EGO

Autor „Małego Księcia” i świetny lotnik zaginął 31 lipca 1944 r. podczas lotu zwiadowczego nad terytorium okupowanej Francji. O jego samolocie Lockheed P-38 wiadomo było tylko, że po starcie z alianckiego lotniska na Korsyce wleciał nad dolinę Rodanu, by pisarz mógł tam fotografować koncentrację oddziałów niemieckich. Część historyków uważała, że Saint-Exupéry został zestrzelony i rozbił się w Alpach, inni sądzili, że popełnił samobójstwo, rozbijając swój samolot gdzieś na wybrzeżu. Koledzy z jednostki potwierdzali, że przed śmiercią był w fatalnym nastroju. Część wielbicieli jego twórczości sabotowała, jak mogła, poszukiwania, uważając, że pisarz zniknął tak jak jego bohater Mały Książę i tak powinno pozostać. W 1998 roku rybak z Marsylii Jean-Claude Bianco przypadkowo wyłowił srebrną bransoletkę identyfikacyjną z inicjałami pisarza i jego żony. Ale rodzina pisarza oświadczyła, że to fałszerstwo. Dwa lata później miejscowy nurek ogłosił, że znalazł szczątki P-38, którym leciał pisarz, ale tę informację przyjęto z ogromnym sceptycyzmem. W morzu w pobliżu Marsylii jest pełno rozbitych alianckich maszyn. – Niemcy mieli w porcie silną obronę przeciwlotniczą. Ale z morza wyciągnięto w końcu fragmenty podwozia i obudowę kompresorów silnika, a amerykańskie Muzeum Lotnictwa w Waszyngtonie oraz archiwum firmy Lockheed potwierdziły, że numery na szczątkach są numerami samolotu Saint-Exupéry'ego. – Wiemy, że to jego samolot – powiedział z kolei Patrick Grandjean z marsylskiego Muzeum Archeologii Podwodnej. – Ale nie wiemy, dlaczego się rozbił. I nigdy się nie dowiemy. (AL)



Fot. BURT HERMAN/AP

Nijazow złoto lubi tylko na własnych pomnikach

DYKTATURA DENTYSTYCZNA

Prezydent Turkmenistanu Saparmurat Nijazow zakazał mieszkańcom kraju obstalowywania złotych zębów. Nijazow, żelazną ręką rządzący krajem od 1985 roku, zasugerował młodej kobiecie, żeby skorzystała z usług ministra zdrowia, dentysty, i natychmiast usunęła nieestetyczne uzębienie. – Ci z was, którym wypadają zęby, zaniedbują żucia kości. Taka jest moja rada – powiedział skromnie Nijazow. Opinie Turkmenbaszy, „Ojca Turkmenów”, uchodzą za prawo w kraju, w którym nie ma opozycji i nie działają niezależne media. W lutym Nijazow skrytykował długie włosy i brody u młodych mężczyzn. Po tym „dekrecie” na przejściach granicznych pojawili się fryzjerzy. W ubiegłym roku wyraził się bardzo ciepło o futrzanych czapkach. Wkrótce szkoły poleciły wypełnienie nakazu wszystkim uczniom. (RYB)

CO WIEDZIAŁ PREZYDENT

CZY AMERYKAŃSKIE WŁADZE MOGŁY ZAPOBIEC TERRORYSTYCZNYM ZAMACHOM Z 11 WRZEŚNIA 2001 R.? OPOZYCJA TWIERDZI, ŻE TAK. BUSH ZAPRZECZA

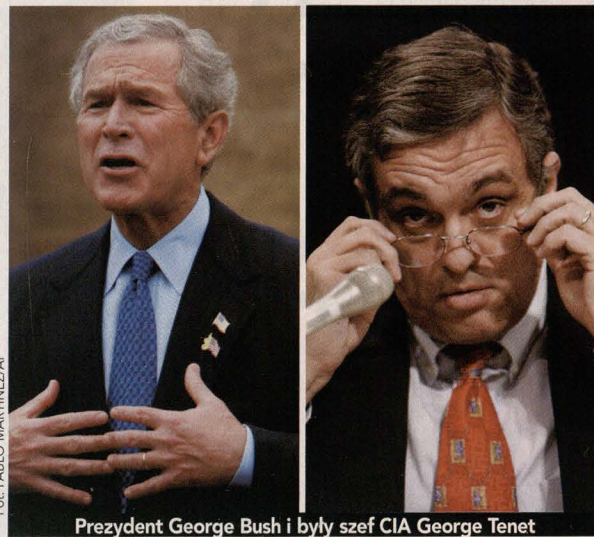
Na dwa miesiące przed atakiem na WTC George Bush wiedział o zagrożeniu ze strony Al-Kaidy więcej, niż był dotąd gotów przyznać – wynika z odtajnionego tydzień temu raportu CIA, który prezydent USA dostał 6 sierpnia 2001 r. Amerykanie zastanawiają się, czy wiedział dość, by zapobiec atakom.

Jak wynika z sierpniowego raportu, wywiad amerykański informował Busha, że w USA działa siatka terrorystyczna i że ambasada USA w Zjednoczonych Emiratach Arabskich odebrała ostrzeżenie przed przygotowywanymi w Stanach zamachami bombowymi. CIA pisze też, że Al-Kaida rekrutuje zamachowców wśród muzułmanów mieszkających w USA, a kilku dowódców tej organizacji przebywa na terenie Stanów Zjednoczonych. Jak wynika z raportu, w sierpniu 2001 roku agencja sądziła, że ludzie ben Ladena chcą porwać amerykańskie samoloty, by w zamian za pasażerów uzyskać zwolnienie z amerykańskich więzień islamskich terrorystów. Raport wywołał w Waszyngtonie gwałtowną wymianę oskarżeń. Przeciwnicy Busha oskarżają prezydenta, że przeczył informacje o zbliżających się zamachach, nie docenił zagrożenia ze strony Al-Kaidy i w związku z tym na nie zareagował. – W raporcie nie było żadnych konkretnych – broni się prezydent, sugerując niedociągnięcia w pracy CIA i FBI.

Zdaniem szefów obu instytucji winny jest brak przepływu informacji między służbami oraz deficyt woli politycznej, by stanowczo walczyć z terroryzmem – zarówno ze strony prezydenta Busha, jak i jego poprzednika Clintona. „Przed 11 września żaden amerykański polityk

nie był gotów wypowiedzieć wojny terrorystom” – napisał w „Wall Street Journal” były szef FBI Louis Freeh. Wezwał też do zaprzestania debaty nad tym, czy można było zapobiec atakom.

Supertajny dokument, upubliczniony między innymi na wniosek rodzin ofiar ataków z 11 września, jest w tym tygodniu głównym tematem przesłuchań przed narodową komisją ba-



Fot. PABLO MARTINEZ/AP

Prezydent George Bush i były szef CIA George Tenet

Fot. EVAN VUCCI/AP

dającą okoliczności zamachów. – Nie znalazłem dowodów potwierdzających tezę, że naszymi służbami dowodzone tak, by przekazać prezydentowi wszystko, co im wiadomo o Al-Kaidzie – skonstatował członek komisji i były senator Bob Kerrey. Według niego osobą odpowiedzialną za niedoinformowanie prezydenta jest Condoleezza Rice, doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego, odpowiadająca za koordynację działań wszystkich służb.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

LUBI BYĆ TYM JEDYNYM.

SWÓJ OSOBISTY TELEFON KOMÓRKOWY MA TYLKO DLA SIEBIE, WIĘC NIE ROZSTAJE SIĘ Z NIM NAWET W DOMU. TA WIERNOŚĆ SIĘ OPŁACI, BO W OFERCIE „WIĘCEJ I TANIEJ” W ABONAMENCIE ZA 35 ZŁOTYCH (42,70 ZŁ Z VAT) MA CO MIESIĄC AŻ 80 DARMOWYCH MINUT LUB 320 SMS-ÓW. I DZWONI Z KOMÓRKI TAK TANIO, JAK ZE STACJONARNEGO. TY TEŻ TAK MOŻESZ!



MOŻESZ WIĘCEJ

WWW.ERA.PL INFORMACJA HANDLOWA: 0 801 202 602

OPŁATA ZGODNA Z CENNIKIEM OPERATORA SIECI, Z KTÓREJ WYKONYWANE JEST POŁĄCZENIE. SZCZEGÓŁY OFERTY W CENNIKU I REGULAMINIE PROMOCJI, DOSTĘPNYCH W PUNKTACH SPRZEDAŻY SIECI ERA.

Quentin Tarantino zapowiedział realizację animowanego prequelu swojego przeboju „KILL BILL”.

Tymczasem do kin wchodzi „Kill Bill II” – już od 23 kwietnia



a właściwie to...



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

Większość jest głupia

Komisja śledcza większością głosów przyjęła jako obowiązujący raport posłanki Błochowiak. Sejm większością głosów wielokrotnie ocalił od dymisji wicepremiera Pola. „Fakt” ma więcej czytelników niż „Wyborcza”. Więcej ludzi ogląda teleturnieje niż wykłady filozoficzne profesora Leszka Kołakowskiego. Na ulicy spotkało się sześciu pijanych dwudziestolatków i jeden stary bezdomny. Mieli większość i pobili bezdomnego. Ludzie rozumni mają kłopot z dyktatem większości. Bo nie od dziś wiadomo, że po latach (często nawet po stuleciach) okazuje się, że rację miała jednak mniejszość. Najczęściej zresztą przegłosowani przez głupszą większość płacą wysoką cenę za swoje zdanie. Karę wymierza większość. Przyjęło się powtarzać w momencie podobnych rozważań słynne zdanie Churchilla o demokracji, że jest niedoskonała, ale nikt jak dotąd nic lepszego nie wymyślił. I że o wiele gorsza od dyktatury większości jest dyktatura wykołajonego emocjonalnie dyktatora. Jednak w takich czasach i okolicznościach jak teraz zaczyna się tęsknić za dyktaturą rozumnej mniejszości. Bo przecież wiadomo, że głupców zawsze będzie więcej niż mądrych. I to trzeba powtarzać głośno, tak żeby słyszała to także dominująca większość, bo inaczej oprócz dumy z posiadania nad nami władzy posiadzie jeszcze fałszywą pychę posiadacza mądrości. Jak jednak wyzwolić się z władzy głupoty? Odpowiedź na to epokowe pytanie będzie w następnym „Przekroju”. I następnym. I następnym. I kolejnym.

PIOTR NAJSTÜB

Altermyśli o alterglobalistach

Warszawie będzie szczyt. Szczyt alterglobalistów. Do Polski zjadą tysiące młodych ludzi. I nie będzie to – jak zapowiadał kilka tygodni temu Ernest Skalski w „Gazecie Wyborczej” – „hołota wszelkiej maści zadymiarzy”. Przyjadą ludzie, którym nie zwapniały jeszcze mózgi i którzy przejmują się tym, czym w świecie bogaczy przejmować się nie wypada – wyzyskiem w Azji, pracą niewolniczą dzieci w Afryce, wyrębem lasów tropikalnych w Ameryce Łacińskiej, rosnącą dysproporcją między biednymi a bogatymi czy skażeniem środowiska tu, w Europie. Ludzie, którzy nie tłumią w sobie humanitarnych odruchów, nie zwalniają siebie samych z odpowiedzialności i wierzą w lepszy świat. Jak sami mówią, „protestują przeciw polityce rujnującej naszą gospodarkę, kulturę i środowisko, polityce poza społeczną kontrolą”. Do Warszawy zjeżdżają nie po to, by ją podpalić i zdemolować, ale po to, by pokazać, że jest inny pomysł na porządek świata – sprawiedliwszy od opartej na czystym kapitalizmie globalnej gospodarki, o której zamierzają dyskutować bogacze i politycy na Europejskim Forum

Ekonomicznym. I mają do tego pełne prawo. Nie mówmy, że alterglobaliści dużo gadają, a robią tylko burdy. Bo my nawet nie gadamy. Ani o losie chińskich dzieci klejących nam adidasy, ani o niewolnicach w Bangladeszu, które szyją nasze koszule, czy niedoli tajskich robotników, którzy za pół dolara dziennie montują nam tanie telewizory. Przez 15 lat w bogatym świecie zrobiło się nam tak wygodnie, że wstydzimy się już walki o prawa człowieka, sprawiedliwość czy solidarność, której kiedyś daliśmy ojczyznę. Alterglobaliści są naiwni, ale na pewno nie tak naiwni jak my, którzy dostrzegamy tylko te problemy, które bezpośrednio nas dotyczą. Dlatego zamiast bać się „hołoty”, czujmy się wyróżnieni, że alterglobaliści chcą protestować na naszych ulicach. I posłuchajmy, co mają do powiedzenia. Na pewno będzie to ciekawsze niż wnioski panów w garniturach, którzy w więzieniu barykad będą poklepywać się po plecach. A gdyby alterglobaliści postanowili jednak tuc się z policją, wzywam warszawiaków do solidarnej odsieczy.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

raczej RACZKOWSKI



WYMYSŁILE I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



URBAN SCHYŁKOWY

ZDJĘCIA RAFAŁ MASŁOW/MELON

Miller się skończył raz na zawsze, Michnikowi grozi degradacja jego publicznej roli, degrengolada obejmuje nie tylko SLD, lecz całe pokolenie. Jednak mnie niech pan jeszcze nie przekreśla – mówi JERZY URBAN w rozmowie z Piotrem Najsztubem

Lewica ma kłopoty z ustaleniem składu rządu. Może by pan został premierem? Miał pan tyle dobrych rad dla premiera Millera...

– Wolalbym być prezydentem, a najlepiej królem.

Pytałem prawie poważnie. Nie myśli pan o powrocie do czynnej polityki?

– Absolutnie nie. Nigdy właściwie nie byłem politykiem, byłem pomocnikiem polityków, odpowiadałem tylko za słowa. Nie wyobrażam sobie siebie rządzącego realnie, nie mam tego rodzaju upodobań. Bardzo Kocham politykę jako grę o pewnym stopniu złożoności, ale zupełnie nie odczuwam żądzy władzy.

Wyznania ministra Kaczmarka pokazują, że służby specjalne właściwie aktywnie uczestniczą w życiu politycznym i ekono-

micznym kraju. Pańska redakcja często pisze o poczynaniach tajnych agentów. Jak dalece – pańskim zdaniem – służby specjalne są obecne na styku ekonomii, gospodarki i polityki?

– Myślę, że to są znaczne udziały. Pod pretekstem jakichś zabezpieczeń kontrwywiadowczych służby te opiniują transakcje ekonomiczne większego kalibru, opiniują kontrahentów, jednych premiują, innych eliminują – kierując się własną logiką. Natrafialiśmy na wielkie transakcje przeprowadzane za pieniądze państwowe lub pod płaszczykiem instytucji państwowych przez ludzi służb specjalnych.

Powinniśmy uznać, że służby wymknęły się spod kontroli, prowadzą własną politykę, własną ekonomię?

– Podejrzewam, że tak się dzieje. One zawsze w jakimś stopniu umykają kontroli, mają swoje branżowe interesy

i swoje powiązania. Wedle moich wyobrażeń politycy funkcjonujący na czele tych służb są izolowani i manipulowani. Wewnątrz tych służb działają różne zwalczające się koterie, które mają swoje interesy i je realizują, bez oglądania się na interes państwa. Służby stworzyły mnóstwo spółek handlujących bronią i nie tylko, często są to pozornie zwykłe firmy założone początkowo po to, żeby ludzie służb mogli w nich działać pod przykrywką, i te firmy też przypuszczalnie się wymykają spod kontroli i tam zamazuje się to, co państwowe, a co prywatne.

To jest groźne dla państwa, może nasze – w końcu duże – państwo jakoś to znieść?

– To jest groźne dlatego, że służby są zawsze źródłem informacji tajnych. Tajne informacje są o wiele bardziej serio traktowane przez rządzących niż jawne. Monopol na tajne informacje pozwala manipulować politykami.

Myśli pan, że służby manipulują też polskimi oligarchami?

– Na pewno nic tu nie wiem, ale wyobrażam sobie, że jeśli wysocy funkcjonariusze państwa uzyskują informacje o słabych stronach oligarchów, to jest to korzystne także dla zbierających te informacje służb. Sprzyja korupcji i daje poczucie władzy.

Mnie zawsze dziwiło, że polscy oligarchowie tak bezkrytycznie pozwalają chronić się byłym wysokim funkcjonariuszom służb specjalnych.

– To prawda, że te zastępy ochroniarzy pracujących dla bardzo bogatych ludzi to są ludzie wyjęci ze służb specjalnych i to nie są tylko mięśniacy, ale również specjaliści od działalności wywiadowczej i kontrwywiadowczej i manipulują swoimi pryncypałami.

Najczęściej straszą ich różnymi niebezpieczeństwami, podobnie jak wcześniej straszili polityków.

– W sumie powstaje obraz dosyć dużej potęgi tych służb. Powinniśmy zacząć się ich bać?

– Nie, ja w ogóle nie jestem zwolennikiem teorii spiskowej. Choć potencjalnie to są groźne służby. Teraz zaczną zaraz zdradzać obecnych „panów”, skoro sondaże mówią, że lewica upada. Można się spodziewać, że zaczną przenikać stamtąd odpowiednio dobrane informacje o nowych aferach

JERZY URBAN
W SIERPNIU SKOŃCZY
71 LAT. REDAKTOR
NACZELNY TYGODNIKA
„NIE”. URODZIŁ SIĘ
W ŁODZI W RODZINIE
ZASYMILOWANYCH
ŻYDÓW,
MA WYKSZTAŁCENIE
ŚREDNIE. W LATACH 50.
PRACOWAŁ W SŁYNNYM
ODWILŻOWYM
TYGODNIKU
„PO PROSTU”.
ZA GOMUŁKI MIAŁ
SZEŚCIOLETNI
ZAKAZ PRACY
W DZIENNIKARSTWIE.
PRZEZ KILKANAŚCIE LAT
SZEFOWAŁ DZIAŁOWI
KRAJOWEMU „POLITYKI”.
PUBLIKOWAŁ TEŻ
MIĘDZY INNYMI
W „SZPIŁKACH”
I „KULISACH” (FELIETONY
SĄDOWE „KIBICA”).
PRZED KOMISJĄ
ŚLEDCZĄ URBAN
ZEZNAŁ, ŻE MIESIĄC
PO KORUPCYJNEJ
PROPOZYCJI RYWINA
NAMAWIAŁ PREMIERA,
BY UJAWNIE AFERĘ.
OSTATNIO ZAMIEŚCIŁ
W „NIE” ARTYKUŁ
O TAJNYCH
INFORMACJACH
Z TWARDYCH DYSKÓW
WYNIESIONYCH Z MSZ.
DYSKI JUŻ ODDAŁ
PROKURATURZE,
MÓWIĄC, ŻE JEGO
DZIENNIKARZE NAUCZYLI
SIĘ ICH ZAWARTOŚCI
NA PAMIĘĆ.
NA PYTANIE,
CZY CHCIAŁBY, ŻEBY
JEGO CZYTELNIKA
RZĄDZILI POLSKA,
ODPOWIEDZIAŁ:
„BAŁBYM SIĘ TEGO,
BO SĄ TO NA OGÓŁ
LUDZIE ROZGORYCZENI
I NIEKIEDY SKRAJNI.
ALE PRZECIEŻ POLSKA
RZĄDZA CZYTELNICY
„NIE””.

odchodzącej lewicy – na potrzeby kampanii wyborczej pragnęli, że służby mogły w ten sposób niektórych polityków wyeliminować z życia politycznego, a „materiały na innych” schować po to, żeby wygrali w przetargu politycznym. Służby lubią mieć takich polityków, o których wiele wiedzą.

Sytuacja może stać się groźniejsza, jeśli wydarzenia pobiegną w kierunku bardziej autorytarnych form władzy. To zagrożenie niektórzy wiążą z władzą Leppera. Służby od razu pobiegną do takiego ośrodka władzy – to widzieliśmy już za czasów Wałęsy. I wtedy one stają się bardzo groźne, bo są głównym instrumentem działania autokratów.

Czy można zaryzykować tezę, że nasza demokracja i nasz rynek – bo w tych dwóch sferach działają służby – są już w dużej mierze fikcją, skoro nieujawnione siły przyczyniają się do kreowania lub „zabijania” polityków, jeżeli one w gospodarce wskazują wygranych?

– Każda demokracja w znacznym stopniu jest fikcją. Nie uważam, że służby specjalne kreują polityków, utracają ich, że uprawnione jest tego rodzaju uogólnienie. Ja tylko przypuszczam, że wykorzystują taką moc w tych przypadkach, w których mają swój interes. Szczęśliwie dla państwa jest im zapewne wszystko jedno, czy wybory wygrywa X, czy Y z danej partii. No, a już takiej mocy, żeby na przykład zapewnić teraz wyborcze zwycięstwo lewicy, na pewno nie mają. Mogą tylko manipulować ujawnianiem lub utajnianiem afer z udziałem polityków.

Pana zaskoczyło wyznanie Wiesława Kaczmarka o użyciu przez premiera UOP do usunięcia niewygodnego prezesa Orłenu?

– Zaskoczyło, ponieważ w nim nie było nic nowego. On nagle powiedział o sprawie, która w prasie niesympatyzującej z SLD była już opisana.

Myśli pan, że będą się mnożyć takie wyznania polityków lewicy?

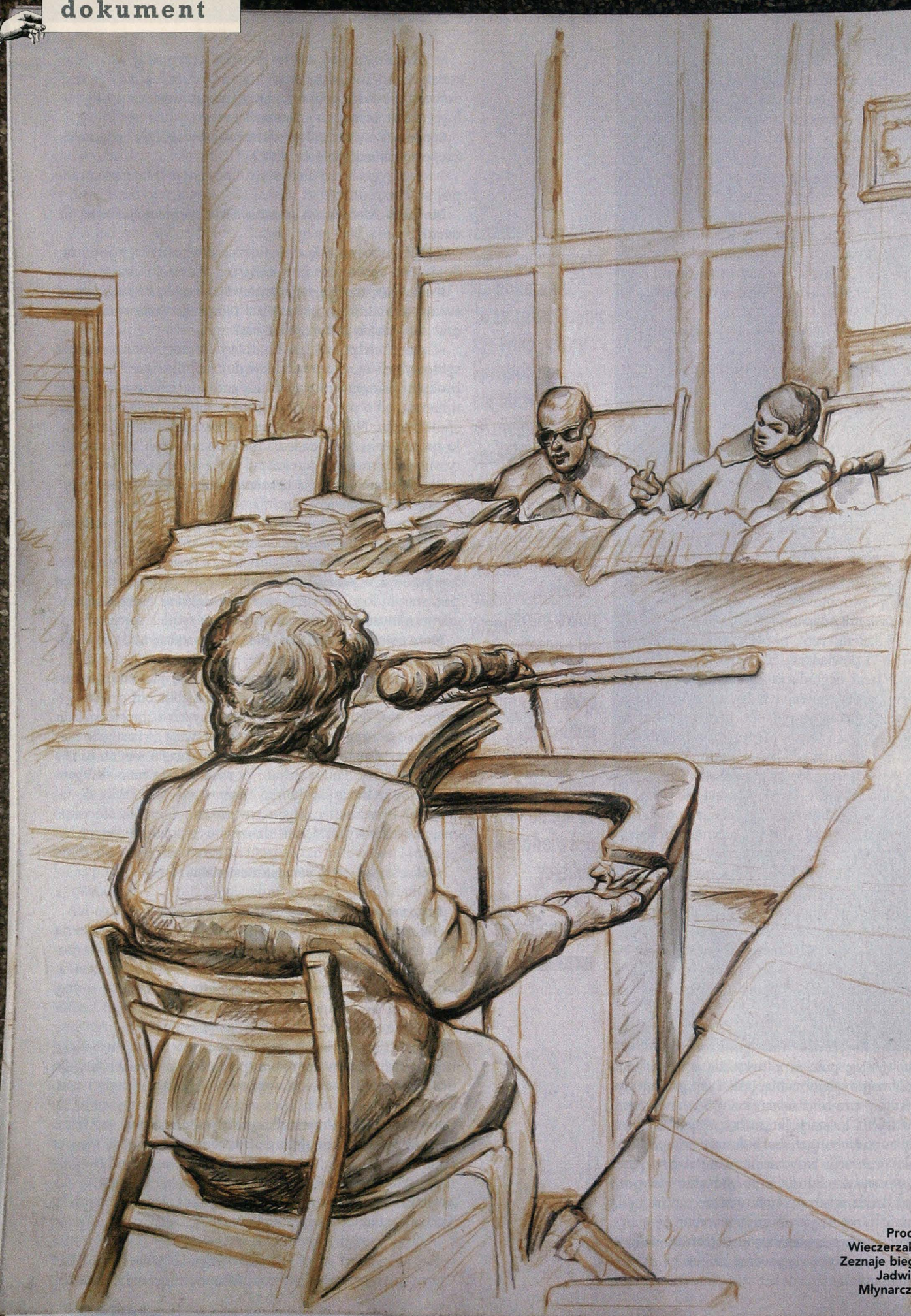
– Tak, szczególnie że Kaczmarek ma dużo więcej do powiedzenia. W tej sprawie jest rzeczą oczywistą, że Miller naślał UOP, a czy on to planował w szczegółach, czy powiedział w jakiś sposób ogólnikowy, to jest nieważne.

Uważa pan to za naganne?

– Oczywiście, bo używanie służb specjalnych do tego rodzaju zmian personalnych jest niedopuszczalną głupotą.

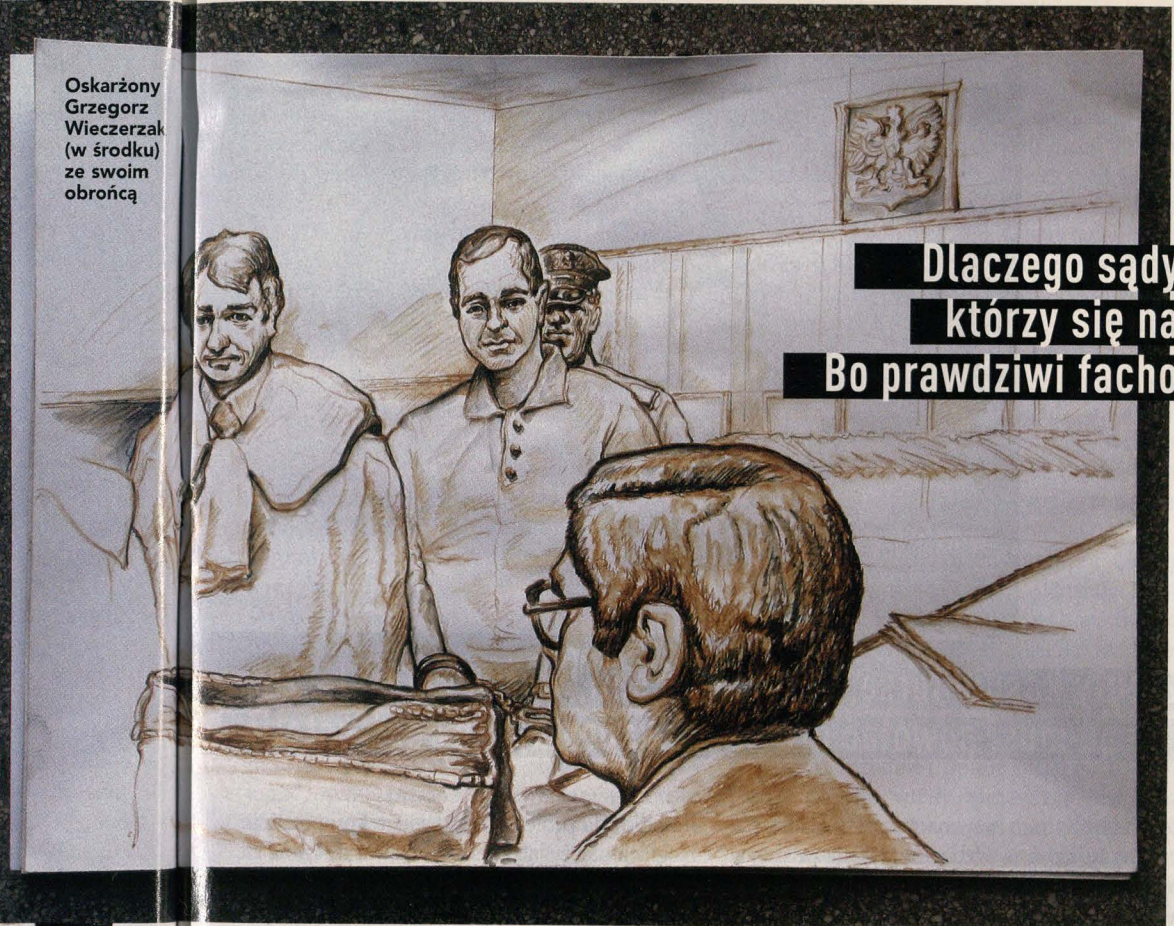
Boi się pan potencjalnych rządów Samoobrony?

– Nieprzesadnie. Ostatnio napisałem scenariusz przejścia władzy przez Leppera, nawet jeśli przegra wybory parlamentarne – wygrywa dzięki temu prezydenckie i poprzez wetowanie ustaw paraliżuje rząd i przejmuje całą władzę. Na szczęście istnieją jednak instytucje zapobiegające takiej możliwości, członkostwo w NATO, członkostwo w Unii Europejskiej... Myślę, że Lepper u władzy byłby stopniowo osławiany – system motywuje, a jednocześnie podporządkowuje sobie aktorów.



Oskarżony Grzegorz Wieczerek (w środku) ze swoim obrońcą

Proces Wieczereka. Zeznaje biegła Jadwiga Młynarczyk



Dlaczego sądy powołują biegłych, którzy się na niczym nie znają? Bo prawdziwi fachowcy pracują gdzie indziej

PROSZĘ, WSTAĆ, CYRK IDZIE

TEKST JOANNA GORZELIŃSKA
MAX SUSKI

ILUSTROWAŁ PIOTR KOŚCIELSKI
REPRODUKCJE MAREK SZCZEPAŃSKI

Proszę się nie śmiać. To nie kabaret! – wołała w sądzie Jadwiga Młynarczyk, biegła księgowa, która liczyła straty, jakie miał spowodować Grzegorz Wieczerek w PZU Życie. Najpierw pomyliła się o 14,5 miliona złotych, a kiedy sędzia pożyczył jej kalkulator, okazało się, że błąd wzrósł o kolejne 20 milionów. Wieczerek triumfował. Kuriozalne starcie na sali sądowej media porównały do spotkania Billa Gatesa z księgową z PGR-u. Pojawiły się obawy, że z powodu złej ekspertyzy były szef PZU Życie uniknie odpowiedzialności.

Prokuratura oskarżyła Wieczereka o wyrowadzenie z PZU Życie 173,5 miliona złotych. Kwotę tę wyliczyła dwójka biegłych: wspomniana Jadwiga Młynarczyk oraz Tomasz Krysztofiak, który skompromitował się jako pierwszy, kiedy wyszło na jaw, że swoją opinię pisał z pomocą oficera Centralnego Biura Śledczego.

Potem okazało się, że Jadwiga Młynarczyk nie przygotowała ekspertyzy sama, ale najprawdopodobniej korzystała z raportu Kobra opracowanego przez firmę Deloitte and Touche. Teraz grozi jej kara za plagiat. Ponieważ akt oskarżenia oparty jest na ekspertyzach biegłych, rozwiązanie jednej z najgłośniejszych afer III RP stało pod znakiem zapytania.

Dlaczego do zbadania tak zawiłej sprawy powołano specjalistów nieumiejących posługiwać się kalkulatorem? Czy to wypadek przy pracy, czy, nie daj Boże, norma?

– Myślę, że to było zwykłe niechlujstwo prokuratury, która wzięta do procesu pierwszego lepszego biegłego z listy – uważa profesor Piotr Kruszyński, znany obrońca i specjalista prawa karnego na Uniwersytecie Warszawskim. Tak zresztą bronił się sam prokurator apelacyjny Zbigniew Kapusta, który nadzorował przygotowanie aktu oskarżenia w procesie Wieczereka – tłumaczył, że ekspertów wzięto z listy biegłych.

Policja w Melbourne przez trzy lata razem z gangsterami produkowała amfetaminę. Skorumpowani policjanci siedzą już w więzieniu, ale gangi wciąż toczą krwawą wojnę o schedę po stróżach prawa

31 marca w luksusowym Brunswick Club na przedmieściach Melbourne policja sfilmowała mafijną egzekucję. Sfilmowała, ale nie zdołała jej udaremnnić. O 18.40 od frontu weszło dwóch zabójców, kominiarki założyli dopiero pod drzwiami sali restauracyjnej. Wiedzieli, że Lewisa Morana śledzi policja. Na filmie widać wyraźnie, jak patriarcha gangsterów z Melbourne pada pod stół trafiony dwiema kulami, próbując wyciągnąć pistolet.

„Wiesz, że to nadchodzi. I po prostu o to nie dbasz” – taką notatkę zostawił przed śmiercią. Czuł, że zabójcy deptają mu po piętach. Był ostatnim bossem w mieście, który mógł doszczętnie skompromitować miejscową policję. 58-letni Lewis Moran znał wszystkie tajemnice wydziału antynarkotykowego w Melbourne. Wydziału, który zamiast ścigać handlarzy narkotyków, sam został największym dostawcą w „Paryżu Południa”. Gang Morana był wyłącznym dystrybutorem policyjnego towaru.

TABLETKOWA BRYGADA

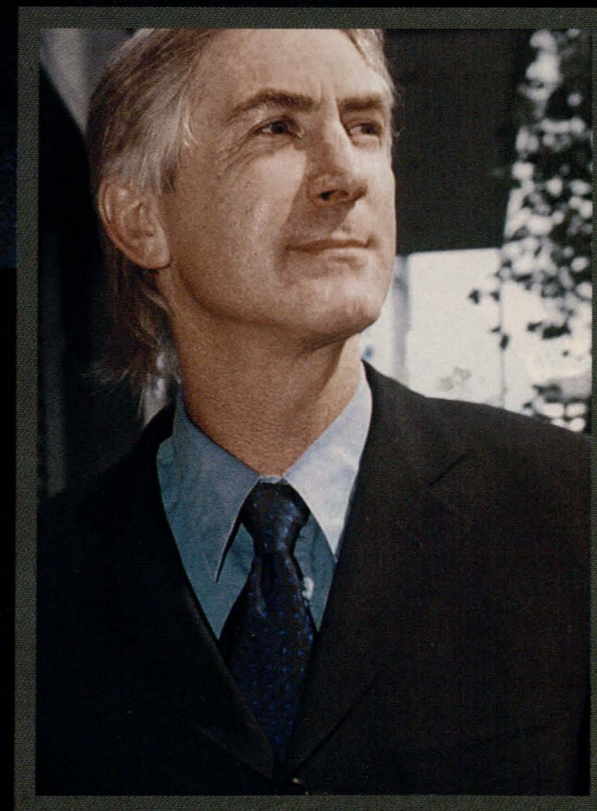
Od początku lat 90. Melbourne cieszyło się sławą „amfetaminowej stolicy Australii”. Za handel tym narkotykiem groził wyrok do czterech lat więzienia, który dilerzy wliczali po prostu w ryzyko dochodowego biznesu. Władze były bezsilne. Aż jeden z policjantów wpadł na diabelski pomysł.

W 1996 roku starszy detektyw i główny spec od narkotyków Wayne Strawhorn poleciał do Londynu. Brytyjczy koledzy wtajemniczyli go w kontrowersyjny program zwalczania handlu środkami odurzającymi. Policjanci kupowali u dostawców hurtowe ilości narkotyków, a następnie prowadzili kontrolowaną sprzedaż na czarnym rynku, zbierając przy tym dowody przeciw dilerom.

Policja w Melbourne chciała dotrzeć do producentów. Za radą Strawhorna powołano pod jego dowództwem brygadę dywersji chemicznej, która rozpoczęła kontrolowane dostawy trudnych do zdobycia chemikaliów do produkcji amfetaminy – przede wszystkim hurtowych ilości pseudoefedryny w tabletkach. Rozprawdzali ją policyjni informatorzy i tajniacy. Dostawy rozpoczęły się w 1998 roku. I wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko program nie wymknął się spod kontroli.

Komisariat policji stanu Victoria. Oficerowie wydziału antynarkotykowego pokazują 75 kilogramów heroiny z nielegalnego laboratorium

Bohater afery, starszy detektyw Wayne Strawhorn. Jest oskarżony o sprzedaż gangsterom pięciu kilogramów surowca do produkcji amfetaminy i groźbę zabiciem policjanta



Fot. JESSICA LEE/NEWSPIX

POLICJA AMFE CI PODA

Od ujawnienia afery w 2001 roku w areszcie wyłudowało 14 funkcjonariuszy, a kolejnych 70 oskarżono o korupcję i handel narkotykami. Na domiar złego od sześciu lat na ulicach Melbourne trwa wywołana przez policję wojna gangów. Policyjne dostawy – kontrolowane i niekontrolowane – wygenerowały taki popyt, że gdy trzy lata temu ustały, gangi zaczęły walczyć o towar. Lewis Moran jest już 24. zabitym gangsterem.

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR

– Jak to wszystko się mogło stać? – pyta jeden z policjantów znających wydział antynarkotykowy. – Któregoś piątkowego wieczoru chłopcy jak zwykle siedzieli w pubie. Jeden skarżył się, że bank wszedł mu na hipotekę. Ktoś martwił się, że musi kupić podręczniki dla dziecka. Jeszcze inny pienił się, że „Bendzi”, szef jednego z miejscowych gangów narkotykowych, kupił sobie właśnie sportowego mercedesa w kolorze srebrny metalik za 200 tysięcy dolarów i wszystkie panienki na niego lecą. No i w końcu ktoś powiedział: „To są przecież narkotyki, kupa szmalu, trzeba tylko zacząć go zarabiać”.

Kontynuując kontrolowane dostawy, policjanci zaczęli sprzedawać gangom pseudoefedrynę również na własny rachunek i poza kontrolą przełożonych. Zamiast zakładać własne laboratoria i sieć dilerów, weszli w porozumienie z klanem Moranów. Brygada amfetaminowa kiedyś ich rozpracowywała, więc mieli w ręku dużo materiałów, którymi mogli zmuszać gangsterów do posłuszeństwa. Moranowie zostali „wyłącznymi dystrybutorami” policyjnej pseudoefedryny i zapewnili sobie idące za tym gigantyczne zyski.

Obie strony zarobiły po kilkanaście milionów dolarów, a komenda stanu Victoria stała się czołowym dostawcą „narkosurowców” w Melbourne. Do dziś wydział wewnętrzny policji nie jest w stanie połapać się w papierkach i nie wie, które transakcje były jeszcze legalne, a które odbywały się już bez zgody kierownictwa. Tylko pierwszym czterem spośród 14 aresztowanych policjantów zarzuca się, że sprzedali na boku narkotyki o wartości półtora miliona australijskich dolarów.

POLICJA KRADNIE NARKOTYKI

Proceder był prosty: na podstawie policyjnych upoważnień policjanci pobierali tabletki w składach fabryki koncernu farmaceutycznego Sigma i przywozili na komendę jako zapasy na kontrolowane dostawy. Poza kontrolą przełożonych sprzedawali je Moranom, zbijając krociowe zyski na różnicy cen między „białym” a czarnym rynkiem – za kilogram pseudoefedryny, który policja kupowała legalnie za 170 dolarów, brygada brała od gangsterów 10 tysięcy, a ci sprzedawali gotową amfetaminę za 40. Po transakcji policjanci odprowadzali na konto policji 170 do-

larów za każdy kilogram, a resztę już na własny, tajny rachunek bankowy.

By utrzymać pozory walki z handlarzami, policjanci organizowali częste naloty, ale głównie na swoich konkurentów na czarnym rynku. Przełożeni byli zachwyceni – w ciągu trzech lat brygada amfetaminowa nakryła 58 nielegalnych laboratoriów. Australijska policja wskazywała brygadę z Melbourne jako przykład skutecznej walki z handlem narkotykami.

Policjanci zrobili się tak zuchwali, że podczas rewizji kradli handlarzom gotowy towar. Jednemu zabrali heroinę za 70 tysięcy dola-

Policja wywozi ciało Andrieja „Bendziego” Weniamina po strzelaniu w pizzerii La Porcella. „Bendzi” był 23. ofiarą wojny gangów wywołanej przez policję



Lewis Moran, patriarcha gangsterów z Melbourne, zginął jako 24. ofiara wendety

Z prawej: Jason Moran, młodszy przywódca gangu, był 17. w kolejce

by nie budzić podejrzeń banku i urzędów skarbowych. By zapewnić sobie lojalność informatorów, którzy sprzedawali chemikalia, przymykali oko na nakładaną przez nich „marzę”. Uczyli też bandytów, dokąd bezpiecznie uciekać z Melbourne, gdyby normalna, czyli nieskorumpowana, policja wsiadła im na ogon.

GDZIE SĄ NORMALNI POLICJANCY?

Proceder trwał trzy lata. W 1999 roku policjanci z Sydney znaleźli w odkrytym przez siebie laboratorium narkotykowym duży skład pseudoefedryny, a na jednym z pudełek

– szef brygady amfetaminowej w Melbourne i główny policyjny spec od narkotyków.

– Pan starszy detektyw przystawił mi pistolet do głowy i powiedział, że mnie zastrzeli, jeśli zacznę sypać – zeznał były informator przed sądem. Strawhorn nakrył go kiedyś z narkotykami i szantażem zmusił do współpracy. – Pan starszy detektyw obiecał też, że zastrzeli swojego kolegę z wydziału wewnętrznego, bo ten zaczął węszyć wokół sieci jego dilerów – opowiadał informator.

Adwokat dawnego informatora podkreślał przed sądem trudną i pełną stresów sytuację,

ra pełniłem w dobrej wierze – tłumaczył przed sądem. Strawhorn twierdził, że sam zawiadomił przełożonych o nieprawidłowościach po tym, jak dostał telefon od Sigmy z informacją, że jeden z policjantów pobiera ogromne ilości pseudoefedryny.

WOJNA NA RYNKU

Po kilku miesiącach śledztwa, w grudniu 2001 roku, wydział antynarkotykowy został rozwiązany, a na jego miejsce powołano nową komórkę z nowymi ludźmi. Osobną komórkę powołano do rozpracowania członków dawnej



Brunswick Club w Melbourne tuż po strzelaniu Lewisa Morana

Skorumpowani oficerowie w imieniu policji kupowali narkotyki po 170 dolarów za kilogram, po czym sprzedawali je gangsterom po 10 tysięcy



Najmłodszy z Moranów, Mark, zginął jako 13. Obok: Samochód, w którym go zastrzelono



w jakiej musiał pracować jego klient: wokół siebie miał normalną policję, skorumpowaną policję i szefów kilku największych gangów narkotykowych. Chwilami zupełnie nie wiadomo było, kto jest kim.

HANDEL W DOBREJ WIERZE

Gdy Strawhorn zgarnął 51 tysięcy dolarów obiecał „panu Smithowi” za informacje, ten się wściekł. Odszukał normalnych policjantów i wszystko im opowiedział. – Chcę dostać tylko to, co mi się należy za służbę, któ-

brygady amfetaminowej. Strawhorna przeniesiono do wydziału przestępstw gospodarczych. Został aresztowany dopiero rok później. W czerwcu stanął przed sądem. Prokuratura ma dowody, że sprzedał Moranom dwa kilogramy pseudoefedryny. Miesiąc temu wyszedł za kaucją. Dwóch innych policjantów przyznało się już do winy.

Policja w Melbourne szybko otrząsnęła się z afery. Nie pierwszej i – jak się początkowo wydawało – nie największej. Zaczęły się rutynowe kontrole, długie przesłuchania, przesy-

lanie papierków z jednego biura do drugiego. Wprowadzono 152 zmiany do regulaminów australijskich brygad antynarkotykowych. Wszystko wracało do normy.

Nikt z urzędników i policjantów nie wziął jednak pod uwagę jednego: że z rynku w Melbourne zniknął nagle największy dostawca „narkosurowców”. Gdy rodzina Moranów straciła policyjną ochronę i źródła dostaw, w mieście rozpoczęła się krwawa wojna. Gangi skoczyły sobie do gardeł. Już trzeci rok na ulicach Melbourne trwa wojna zabójców.

Jako pierwszy zginął Mark Moran, pasierb Lewisa i jego podkomendny w klanie. Potem zastrzelono jego przyrodniego brata Jasona. Oba zabójstwa zlecił szef konkurencyjnego gangu Carl Williams. Miesiąc temu w odwecie zginął jego ochroniarz odpowiedzialny za wystrzelenie części rodziny Moranów. Ulubieniec kobiet Andriej „Bendzi” Weniamin dostał kulę w popularnej pizzerii La Porcella. Morderca, boss gangu zaprzyjaźnionego z Moranami, oczekiwał na policjantów na miejscu zbrodni. – Przeprosił mnie, że popsuł mi biznes – mówił właściciel restauracji odwiedzanej głównie przez rodziny z dziećmi. – Zapewnił, że to nie było wymierzone we mnie i moją pizzerię.

Policji powiedział, że zabił Weniamina w obronie własnej. Tymczasem szef „Bendziego” Carl Williams tak się przestraszył, że w trosce o swoje życie poprosił policję o pozwolenie na opuszczenie Australii. Tydzień po „Bendzim” zginął Lewis Moran.

BRYGADA BRYGADĘ MYJE

Władze federalne Australii coraz natarczywiej domagają się od policji, by położyła kres gangsterskim porachunkom. Policja mówi, że gangsterzy zawiązali zмовę milezenia. Komenda utworzyła kolejną brygadę, tym razem do spraw wystrzelanych bossów, ale jeszcze w marcu wyciekły z niej informacje do mafii.

Jeden z oficerów tajnej brygady „Puma” został odsunięty od śledztwa i oddelegowany z Melbourne, ponieważ ktoś zdekspiował go przed gangsterami. Kilka dni później aresztowano dwóch oficerów zajmujących się morderstwami. Jeden przekazywał gangsterom nagrania z podsłuchów, a drugi kserował im dokumenty przekazywane policji federalnej. Śledztwo wydziału wewnętrznego policji wykryło niesamowity łańcuch powiązań: obaj aresztowani zgodzili się pracować dla skorumpowanego policjanta, który z kolei pracował dla przekupnego oficera z rozwiązanego trzy lata temu wydziału antynarkotykowego.

Dowództwo policji w Melbourne wydało natychmiast uspokajające oświadczenie dla prasy. Ale dziennikarze zajmujący się sprawami policji mówią, że w komendzie widać panikę wśród wyższych oficerów. Nikt z nich nie wiedział, że korupcja przybrała aż takie rozmiary.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

MARCIN RZEPECKI
z Belchatowa zrzekł się
legitymacji SLD

TEKST MARCIN FABJAŃSKI
ZDJĘCIA MARIUSZ FORECKI/TAMTAM

MACIEJ ROSZAK
z Poznania
chce, by każdy Polak
ustawowo otrzymywał
500 złotych
miesięcznie

KUBA RAJEWICZ
z Poznania: „W Polsce ruch
rewolucyjny kojarzy się
z komuchami”

SERCE PO LEWEJ STRONIE

Dla młodych lewicowość to wrażliwość na biedę,
pomoc potrzebującym i rewolucyjne piosenki.
Z SLD nie chcą mieć nic wspólnego, bo tej partii
nie interesuje polityka prospołeczna

Marzec 2004. W Warszawie ogłoszono najnowsze dane statystyczne świadczące o upadku Sojuszu Lewicy Demokratycznej, który ma już tylko siedem procent poparcia.

W Poznaniu na moście Teatralnym Maciej Roszak (25 lat, syn mechanizatora rolnictwa) pod czerwoną flagą z napisem „Nowa Lewica” tłumaczy spokojnie starszemu w kapeluszu, że po pierwsze, nie ma nic przeciwko Żydom, a po drugie, ani on, ani Nowa Lewica nie mają nic wspólnego z SLD. Chcą tylko zebrać podpisy pod projektem ustawy, która zagwarantuje 500 złotych miesięcznie każdemu Polakowi.

W Belchatowie Marcin Rzepecki (23 lata, syn kierowcy) bez żalu patrzy na legitymację SLD, której się zrzeknie na najbliższej radzie wojewódzkiej partii w Łodzi. Odtąd walkę z prawi-

cowym zarządem Belchatowa będzie toczył w barwach partii Marka Borowskiego. Bez wsparcia maszyny SLD, ale i bez obciążenia.

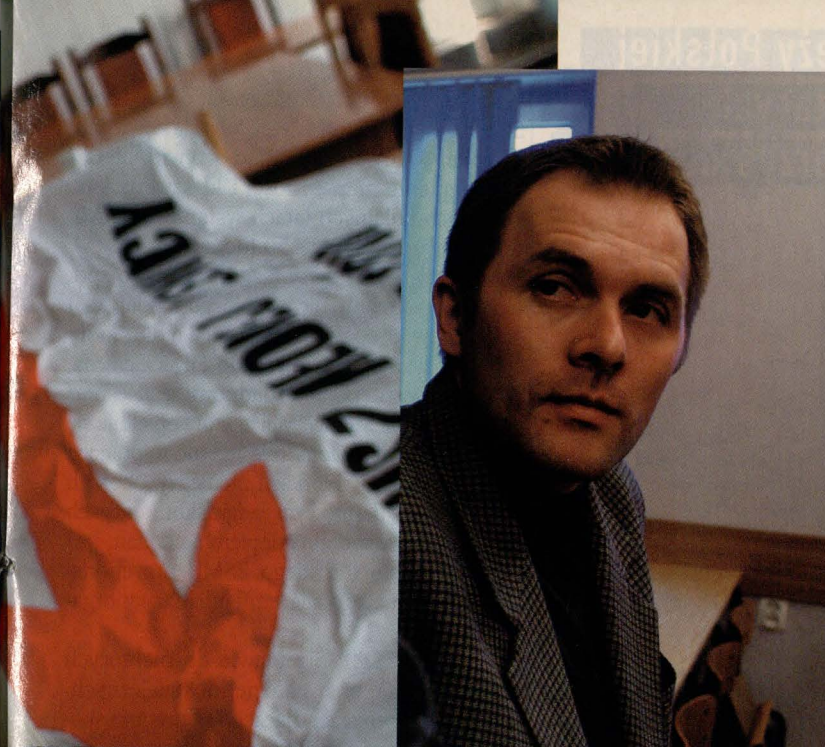
W Łodzi Emilian Błaszczyk (33 lata, syn mistrza ślusarskiego) znowu tłumaczy kolegom ze Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, że – cokolwiek by się działo z SLD – nie należy wyrzucać drugiego członka z nazwy organizacji, bo socjalizm to przecież nie zło.

W Poznaniu Kuba Rajewicz (23 lata, syn wykładowcy uniwersyteckiego) wspomina robione w ramach młodzieżówki Unii Pracy do spółki z anarchistami blokady eksmisji biedaków na bruk, słucha latynoskich piosenek o wodzu Che Guevarze („Miłość do rewolucji prowadzi cię do nowych czynów”) i pisze projekt do PHARE dotyczący nauki mediacji dzieci w szkołach. W projekcie wystrzega się słowa „lewica”, bo ludziom kojarzy się ono z SLD. A z czym się kojarzy SLD, wiadomo.

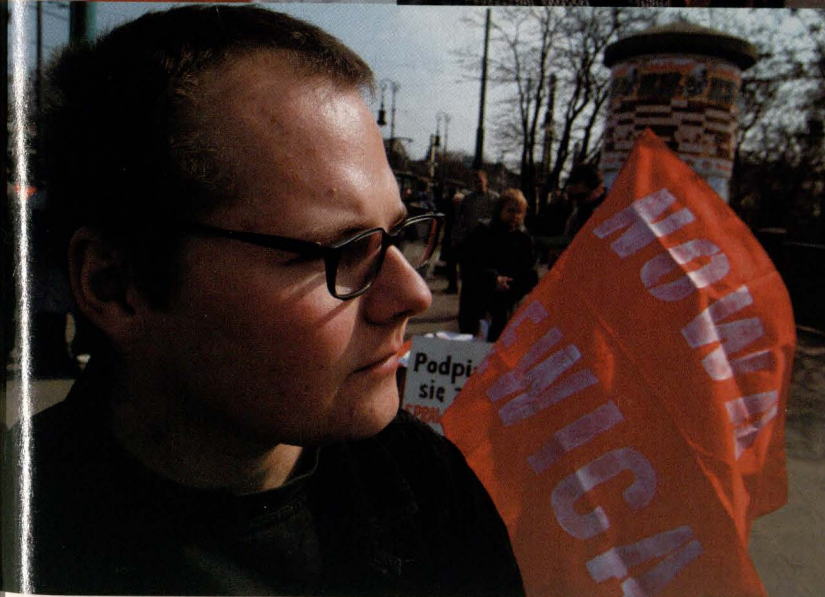
Belchatów. W blaszonym bloku Monaru samotne matki z dziećmi w biednych ubraniach patrzą smutno w przestrzeń. Latem blaszak zamienia się w piekarnik, zimą w kościół (wszyscy się modlą, żeby nie wyłączyli prądu). Rachunków za elektryczność nikt nie płaci, długów nikt dokładnie nie liczy. – Byłam w władz miasta z prośbą, niech umorzą długi, ale oni powiedzieli, że najpierw sami musimy wykazać inicjatywę, zacząć płacić. Nie wiem tylko z czego – mówi Barbara Kościńska, kierowniczka.

MIKOŁAJ ZAWSZE CZERWONY

Długów narobił były szef. Nabral kredytów, ale w Monarze nikt tych pieniędzy nigdy nie zobaczył. Szefa zwolnili (wyjechał z Belchatowa), długi zostały. O tym, że dom opieki cierpi niesprawiedliwie przez jednego oszustę, zarząd miasta nie chciał słyszeć. O tym, że dzieci – choć bez ojców i w biednych ubra-



EMILIAN
BŁASZCZYK
z Łodzi
prowadzi
własną firmę.
Po pracy jest
szefem
łódzkiego
ZSMP



niach – chciałyby dostać prezenty na Gwiazdkę, też nie. Monar prosił o pomoc w finansowaniu Gwiazdki Kopalnię Węgla Brunatnego „Belchatów” SA (odmówili, bo nie mają funduszy) oraz kościelną fundację Arka (nie wsparli, bo mają swoje dzieci i samotne matki). Pomógł dopiero Sojusz Młodej Lewicy (SML). Lewicowcy uzbierali pieniądze, kupili prezenty i słodczyce. Dzieci miały Wigilię pod hasłem „Mikołaj zawsze czerwony”.

Marcin Rzepecki, były szef SML, przyprowadził mnie tutaj, by dać żywy dowód, że w Belchatowie jest wrażliwa młoda lewica. Przekonania lewicowe wyniósł z domu. Pierwsze rysy na wizerunku SLD dostrzegł, gdy chodził z ulotkami wyborczymi od domu do domu.

– Ulotki były ładne, kolorowe, laminowane. Kosztowały fortunę. Czuję się głupio, gdy wciskałem je nędzarzom żyjącym z 270 złotych renty.

Pod dowództwem Marcina (i zdaniem Marcina) belchatowski SML między innymi:

- obronił Ligę Polskich Kobiet oraz Związek Emerytów i Rencistów przed płaceniem czynszu, z którego zwolnił ich dawny lewicowy zarząd miasta, a który nałożył obecny, prawicowy;
- oprotestował wyposażenie gabinetu starosty Jacka Zatorskiego w klimatyzację i meble warte 168 zasilków dla bezrobotnych. Pod wpływem happeningu (i wstydu – mówi Marcin) starosta zrezygnował z wyjątkowo drogich drzwi;
- obronił pracowników szpitala przed zwolnieniami grupowymi.

Za takie akcje Marcin cierpiał. Raz prawicowe oprychy z bojówek wtłukły mu na ulicy, gdy szedł z dziewczyną. Nieraz widział łyzy w oczach matki, której ludzie powtarzali: – Wychowałaś komucha.

Prezydent miasta ze Stowarzyszenia Rodzin Katolickich powiedział mu, że jest bezczelny,

podając mu rękę, ale to wydaje się Marciniowi jedynie drobnym dyskomfortem.

Zarząd miasta Belchatowa różni się w opiniach o Marcinie Rzepeckim. Prezydent Marek Chrzanowski go nie lubi („Jego działania nastawione są na politykę, a nie na pomoc społeczną”), wiceprezydent Ewa Skorupa uważa go za pozoranta („Nie zgłosił żadnego wniosku o dotacje na akcję społeczną”), a drugi wiceprezydent Dariusz Matyszkiewicz nienawidzi (gdy mówi o Rzepeckim, ze złości wykręca w spirale kapsle od napoju jabłkowego).

– Kiedy rządziła lewica, zasiadał w radach nadzorczych spółek – mówią w zarządzie.

– A zasiadałem – przyznaje Marcin Rzepecki. – Miałem okres słabości, zachłysnąłem się salonami. Ale już mi przeszło.

Przeszła mu też miłość do SLD. Na radzie wojewódzkiej oddał legitymację.

ROBOTNICZY I STUDENCI

– Na Zachodzie wszystko jest proste: partie lewicowe mają swoje młodzieżówki. Młodzi ludzie, którzy chcą coś zrobić dla biednych, wstępują do nich i działają społecznie, ile dusza zapragnie. W Polsce młodzieżówki partii nazywających się lewicowymi hodują kadry partyjnych działaczy zachłanych na władzę – tłumaczy Kuba Rajewicz.

Wrażliwych społecznie młodych ludzi zdaniem Kuby nie znajdzie zbyt wielu ani w młodzieżówce SLD – Sojuszu Młodej Lewicy, ani w partii Piotra Ikonowicza – Nowej Lewicy, ani wśród członków warszawskich małych grup radykalno-lewicowych, które kochają robić akcje antywojenne, ani nawet w bliskiej mu kiedyś Federacji Młodych Unii Pracy.

Takich ludzi radzi szukać gdzie indziej, wśród zielonych albo anarchistów. Tyle że zieloni i anarchiści nie nazwą siebie lewicą. Kuba za to tak. Na takie określenie zasłużył – twierdzi – choćby działalnością w Naukowym Kole Krytyki Społecznej, gdzie organizuje wykłady, na które przychodzą studenci i robotnicy.

Gdy miał 18 lat, zapisał się do Unii Pracy z podziwu dla Zbigniewa Bujaka. Zaraz potem wciągnął do partii ojca. Teraz mówi, że łatwiej działać samemu i stworzyć coś od podstaw. Eksmisji już nie blokuje, bo się zraził. Na ostatniej blokadzie (jakieś dwa lata temu) dał się wmanewrować w obronę kobiety, która ściągnęła z zakładu dla niepełnosprawnych starszuka, żeby udawał jej męża. Ale wciąż wyznaje kult filmu „Ziemia i wolność” Kena Loacha o wojnie domowej w Hiszpanii, słucha piosenek lewicowych takich jak „Avanti Popolo”, a kiedy czyta wiersz Tuwima „Do prostego człowieka”, ogarnia go silne wzruszenie.

Kuba Rajewicz: – W Polsce ruch rewolucyjny zaginał albo kojarzy się z komuchami, dlatego ludzie lewicy słuchają piosenek latynoskich i stają się fanami *subcomandante* Marcosa, meksykańskiego rewolucjonisty z bandaną na twarzy.

„Nazwa Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej przemawia do bardziej nostalgicznych starych działaczy. Dlaczego mamy z tego nie skorzystać?”



Członkowie Nowej Lewicy rozdają ulotki: „Precz z programem nędzy rządu Hausnera-Millera”

Kuba nie chce rozstrzygać, czym jest lewicowość: – Powiem, czym nie jest. Kompromis z Kościołem wyklucza lewicowość. Popieranie innej formy rządów niż demokracja także. Popieranie wojny w Iraku też, bo to popieranie amerykańskiego kapitału.

Dlatego kiedy włącza wiadomości i słyszy o rozpadzie lewicy, to wie, że słyszy wielką bzdurę. – SLD to nie jest żadna lewica, ta partia nie jest zainteresowana polityką społeczną – mówi.

A odejście Borowskiego z SLD splota po nim jak po kacze.

MATKA BOSKA TROCKA

Półmrok. Nie widać dokładnie twarzy mówcy. Widać, jak metodycznie przemierza przestrzeń, gestykuluje, widać, że choć młody – łysieje. Za to wyraźnie słychać nazwy, którymi żongluje: anarchokapitaliści, minarchiści, pasywiści – tak, pasywiści, nie pacyfiści.

Widownia w kurtkach i czapkach słucha uważnie. Butelki piwa i wina produkcji krajowej stoją na stołach nietknięte, choć otwarte – pewnie z szacunku dla mówcy. Tak wczesną wiosną wyglądają wykłady na poznańskim squacie Rozbrat, dawniej opuszczonym zakładzie, dziś domu anarchistów.

Tutaj grywa zespół punkrockowy upośledzonych mentalnie Na Górze. Tutaj działało „pogotowie pracownicze” wspierające strajkujących robotników zakładów Hipolita Cegielskiego. Tutaj anarchista i specjalista od terapii zajęciowej Matys organizuje grilla dla swoich podopiecznych.

– Usprawniam ich cieleśnie i mentalnie, bo nie chcą wykonywać idiotycznych prac – mówi.

Do idiotycznych prac Matys zalicza: – grabienie liści, gdy wciąż spadają nowe, – pracę na taśmie, – robienie pieniędzy na giełdzie.

Za nic się takich nie podejmie.

Za to chętnie poprowadzi w Rozbracie metafizyczny wykład o roli śmiecia w społeczeń-

stwie połączony z badaniami na wysypisku albo popracuje społecznie w bibliotece anarchistów. I jest w tym dobry, choć biblioteka niemała, książki w kilku językach. Każdy może korzystać, z wyjątkiem policjantów.

Wchodzi na przykład do biblioteki młody punk. Potrzebuje zdjęcia Trockiego, a dokładnie jego głowy, żeby wyciąć i wkleić do kolażu, jaki właśnie robi – Matka Boska Trocka („Jest takie miasto na Litwie – Troki”).

Matys skupia się przez sekundę i sięga do segregatora: – Trocki, proszę.

DZIECI PLEBSU W SILVER SCREENIE

Łódź to miasto dynamicznych zmian. Dawni robotnicy to dziś zbieracze złomu, dawni uczniowie – młodociani żebracy, dawne kamienie – rudery. W takich dekoracjach Emilian Błaszczak rozwozi codziennie mydła, zmiękczacze i barwniki do farbiarni, które jeszcze nie padły. Prosto z pracy mógłby iść na casting do filmu o młodych działaczach partyjnych z czasów PRL. Ma wszystko, co trzeba – szarą marynarkę, skórzaną teczkę, w oczach idealizm. Po pracy Emilian Błaszczak działa społecznie jako szef łódzkiego ZSMP.

– Interesuje mnie socjalizm, odpycha mnie komunizm, jestem wierzący – deklaruje gładko na jednym wydechu. Kapitalista nie jest – firmę założył, bo nie miał wyjścia. W wieku 20 lat przyszło mu utrzymać żonę i dziecko. Najpierw robił to jako policjant. Wtedy napartrył się na biedę. Wychodziło mu 800 interwencji rocznie, głównie rodzinnych, prawie wszędzie bieda i alkoholizm.

W roku 1996 Emilian odszedł z policji (choroba kręgosłupa), zajął się handlem.

– Z wierzchu może to wyglądać na kapitalizm – mówi – ale ja kontynuuję tylko to, co robiła mama, pracownica zakładu włókienniczego.

Za dwa lata Emilian przestanie być młodym lewicowcem, osiągnie 35 lat. Ale lewicowości nie zdradzi nigdy, choć przyznaje, że raz przyszło mu to do głowy.

Był rok 1987. Emilian wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego w Markowicach. Po roku wygnała go stamtąd sztywna hierarchia, tępienie niezależności i klasztorna fala. Po dwóch kolejnych latach wstąpił do ZSMP, teraz dowodzi w nim 250 ludźmi.

Mówi, że ZSMP jest organizacją czysto społeczną („Nie mamy nic wspólnego z polityką”) – i na dowód opowiada o Jarku Predlu, który zabiera dzieci bezrobotnych do Silver Screena, gdzie załatwił im poranne darmowe seanse, oraz wolontariuszce Monice Miller, która opiekuje się upośledzonymi dziećmi (nie ma nic wspólnego z premierem). O zbiórkach pieniędzy, obozach dla dzieci z darmowym angielskim, biegach przełajowych wspomina dopiero na końcu.

Na zebranie łódzkiego ZSMP przychodzi 20 osób. Dlaczego nie zmienili nazwy organizacji?

– Nazwa ZSMP przemawia do niektórych działaczy SLD, tych bardziej nostalgicznych. Chcą nam pomagać, dlaczego mamy nie skorzystać? – przyznaje Emilian Błaszczak.

Jarek Predel: – Owszem, trzeba odpłacić udziałem w akcjach wyborczych SLD. Co mi się stanie, jak rozniosę parę ulotek, jeśli jakieś dziecko w zamian za to zje ciepłą zupę?

PRZEBUDOWA ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ

Maciej Roszak, Marcin Rzepecki, Emilian Błaszczak, Kuba Rajewicz to już weterani młodej lewicy. Za ich plecami świadomości politycznej i wrażliwości społecznej nabiera najmłodsze pokolenie.

W Bełchatowie Jakub Dobrzyński (19 lat) dziwi się, że nauczycielki miały do niego żal, gdy wtargnął ze sztandarami na sesję rady miasta, żeby bronić swojej szkoły przed zamknięciem.

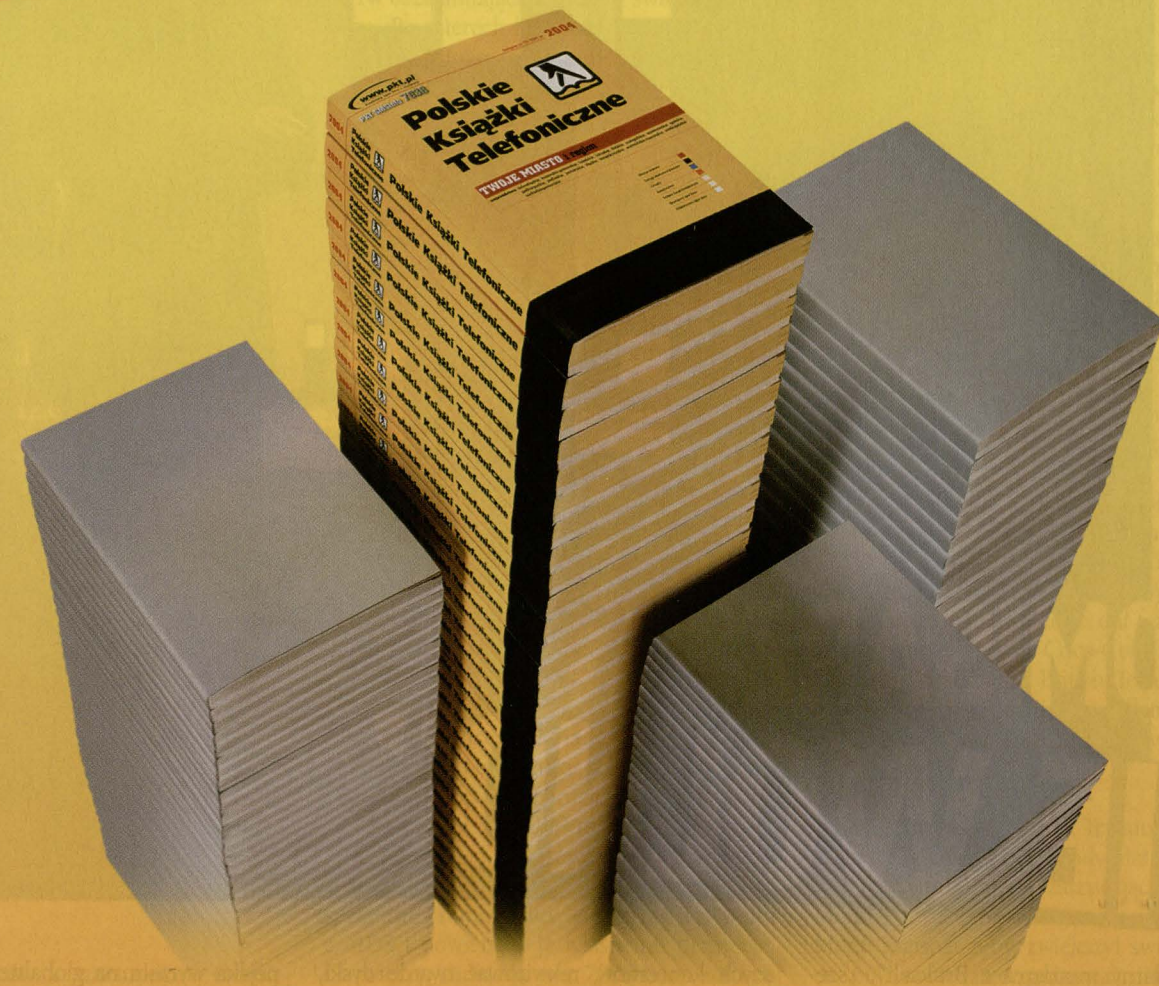
W Łodzi Monika Miller idzie na dyżur w Domu Pobytu Dziennego. Najpierw była wolontariuszką w domu dzieci upośledzonych, dopiero potem zapisała się do ZSMP („Poczułam, że moje serce bije po lewej stronie”). Teraz jest pewniejsza, że wytrwa wśród dzieci po porażeniu mózgowym.

W Poznaniu na moście Teatralnym Kornelia Piotrowska z Nowej Lewicy rozdaje ulotki z napisem: „Precz z programem nędzy rządu Millera-Hausnera”. A na pytanie, dlaczego wzięła urlop, żeby to robić, ma gotową odpowiedź: – Konieczna jest przebudowa świadomości społecznej.

W Lesznie 19-letni licealista Daniel Kryś tak pisze o sobie na stronie www.lewica.pl – „Poglądy: socjalistyczne (na lewo od współczesnej socjaldemokracji). Zainteresowania: polityka (to chyba oczywiste), historia (XIX i XX wiek), filozofia, literatura faktu, muzyka (rock i punk rock), film. Duchowi przewodnicy: Bertrand Russell, Wolter, Ernesto Che Guevara, José Saramago, John Lennon i... Jerzy Urban”.

MARCIN FABJAŃSKI

Najwyższy nakład Udowodnione!



3 831 000 egzemplarzy - tak wysoki nakład mają właśnie **Polskie Książki Telefoniczne**. Z takim nakładem sięgasz najwyżej! Pytasz o dowód? **Sprawdziła nas firma audytorska PricewaterhouseCoopers.***

Żółte książki to już nie tylko sprawdzony, ale wręcz wykalkulowany sposób na to, aby Twoja reklama dotarła do największej liczby użytkowników. Z takim nakładem górujesz nad konkurencją.

*PricewaterhouseCoopers: „Raport niezależnego rewidenta na temat dystrybucji książek telefonicznych”; badaniem objęto książki wydrukowane i dostarczone dystrybutorom w Polsce w okresie 20.08.2002 - 20.08.2003

www.pkt.pl

Informacje z pierwszej ręki





„Nie sprzedasz niczego w Europie” – oto ulubiona groźba komisarza Montiego

KOMISARZ „NIE WOLNO”

Płatny morderca z Brukseli”, „szeryf, sędzia i kat”, „stalinista”, „łowca korporacyjnych skalpów” – tak pisze o nim amerykańska prasa. Dewiza profesora Maria Montiego brzmi: „Nie zabijaj. Konkurencji”. Unijny komisarz do spraw konkurencji od pięciu lat morduje z Brukseli fuzje światowych gigantów przemysłu i podejrzane subwencje państwowe.

Sam ściga, osądza i karze swoje ofiary. Wymierzył już ponad cztery miliardy euro grzywien. Dwa tygodnie temu do imponującej kolekcji skalpów – między innymi prezesów General Electric, Guinnessa, Volvo, Boeinga – dołożył najokazalszy: Billa Gatesa z Microsoftu.

Od 1 maja Unia Europejska daje swemu komisarzowi uprawnienia, które wielcy biznesmeni ochrzczili „licencją na zabijanie”. Podpis Montiego wystarczy, by jego ludzie z Merger Task Force (Antymonopolowe Siły Specjalne) mogli włamywać się do siedzib najpotężniej-

szych koncernów, rekwirować twarde dyski, a nawet opieczętować biura firm. Na przykład Telekomunikacji Polskiej albo PKN Orlen.

Od teraz prezesi i dyrektorzy podejrzewani o knucie karteli cenowych ryzykują własnymi domami, jachtami i samochodami, a ich firmy – całym majątkiem. Koncerny, które za bardzo się rozrosły i przez to zagrażają konkurencji, na rozkaz szeryfa z Brukseli muszą się podzielić. Poza obszarem Unii Montiemu musi wystarczyć siła perswazji i groźba: „Nie sprzedasz niczego w Europie”.

Ale – jak uczy przykład Microsoftu – to w zupełności wystarcza. Dla międzynarodowych koncernów groźba zamknięcia europejskich rynków jest jak rewolwer przystawiony do głowy. Dlatego za sto dni Bill Gates grzecznie wypisze czek na pół miliarda euro i wycofa z Windowsów odtwarzacz multimedialny RealPlayer. Dlatego trzy lata temu przemysłowy gigant General Electric (GE) nie wykupił za 42 miliardy dolarów koncernu Honeywell. To dzięki Montiemu Unia Euro-

pejska wyrasta na globalnego gracza gospodarczego, a USA straciły wyłączność na ustalanie zasad w światowym biznesie.

KOMISARZ INTELEKTUALNY

Kiedy po sześciu godzinach negocjacji prezes GE Jack Welch wychodził z biura Montiego, europejski komisarz wchodził właśnie do historii jako ten, który wyrzucił największą fuzję w historii świata. Zgaszony i wściekły Welch, jeden z najbardziej błyskotliwych i najpotężniejszych amerykańskich biznesmenów, rzucił wówczas dziennikarzom: – On jest zimny jak Anglik, dokładny jak Niemiec i cyniczny jak Francuz.

Nasz były negocjator Jan Kułakowski nie do końca zgadza się z tą opinią. – Monti to z pewnością jeden z najlepszych komisarzy w historii Komisji. Jest niesłychanie inteligentny – mówi Kułakowski. – Ale za fasadą spokojnego profesora i wyszukanych manier kryje się ogromna siła woli i żelazna konsekwencja. Nie przeszkadza mu to traktować

Jedyny człowiek, przed którym trzęsie się TP SA. Od 1 maja unijny komisarz do spraw konkurencji **MARIO MONTI** będzie mógł nakazać podział każdego koncernu, który monopolizuje rynek. I bardzo dobrze

swoich rozmówców z szacunkiem. Odniosłem nawet wrażenie, że bardziej szanuje tych, którzy odważą się mu przerwać. Potrafi słuchać. Nie jest jakimś zawziętym polemistą i nie żałuje czasu, żeby wytłumaczyć swój punkt widzenia. Na pewno sprawia wrażenie uczciwego człowieka. Jest trochę sztywny, formalny, zdystansowany. Bardzo niewłoski – opowiada negocjator.

OD PROFESORA DO KOMENTATORA

Monti urodził się 61 lat temu w Varese (dziś 90 tysięcy mieszkańców) na północy Włoch. Ojciec był bankierem. Syn studiował ekonomię i zarządzanie w Mediolanie na najlepszym włoskim uniwersytecie Bocconi. Z tych czasów pozostało w nim to, co włoskie: miłość do opery (związcząca w La Scali) i Interu Mediolan.

Amerycanie przez lata hodowali żmiję na własnej piersi, bo studia podyplomowe Mario Monti ukończył na uniwersytecie Yale. To stamtąd przywiózł przekonanie, że wolny rynek, deregulacja i uczciwa konkurencja to pa-

rowozy postępu. Pod koniec lat 60. w Italii nie były to zbyt popularne poglądy. Zafascynowani komunizmem lewicowi radykałowie wypowiadali właśnie wojnę własności prywatnej, zysk kojarzył się z grzechem, a większość wielkich przedsiębiorstw przynajmniej w części należała do państwa.

Zamiast w rządzie Monti zrobił więc najpierw oszałamiającą karierę w świecie naukowym. Po czterech latach asystentury na uniwersytecie Bocconi został profesorem, potem dyrektorem instytutu ekonomii, a wreszcie rektorem uczelni. Równocześnie zasiadał w zarządach takich gigantów jak Fiat, IBM czy Mediobanca i był komentatorem największej włoskiej gazety „Corriere della Sera”.

WŁOSKI GREENSPAN

Potem, pracując dla różnych agend rządowych, przygotowywał Włochy do wejścia na jednolity, unijny rynek. Zreformował cały system bankowy. Dziś włoscy bankowcy mówią o nim „nasz Greenspan”. Luźną współpracę z Komisją Europejską rozpoczął w połowie lat 80. W 1995 roku z rekomendacji pierwszego rządu Silvia Berlusconi został w Brukseli komisarzem rynku wewnętrznego i podatków. Odmówił włoskim premierom Ciampiemu i D’Alemie, którzy zapraszali go do swoich rządów, a dwa lata temu nie zgodził się kierować dyplomacją w obecnym gabinecie.

Trudno rozstrzygnąć, czy pozycję „głównego rozgrywającego światowej gospodarki” – jak chce amerykański „Forbes Magazine” – Monti zawdzięcza bardziej kompetencjom, czy uczciwości. W 1999 roku wyszło na jaw, że pani komisarz do spraw badań naukowych, była premier Francji Edith Cresson, stworzyła specjalne stanowisko eksperta do walki z AIDS i powierzyła je własnemu dentyście. Co więcej, zapłaciła mu 70 tysięcy euro za 24-stronicowe opracowanie, które ten przepisał z pracy unijnego stażysty. Gdy na innych komisarzy również padł cień podejrzeń o korupcję, Komisję Europejską rozpędzono na cztery wiatry. Monti był jednym z niewielu, którzy wyszli z niej z czystym imieniem i znaleźli miejsce w nowym rządzie Unii. Romano Prodi powierzył mu tekę komisarza do spraw konkurencji.

Obejmując nowe stanowisko, Monti powiedział, że „kartele zawyżające ceny i wycinające konkurencję to rak na ciele gospodarki i hamulec postępu”. Niewiele lepiej wyrażał się o subwencjach państwowych. Uważa, że reanimacja gospodarczych trupów przez państwo jedynie przedłuża agonię, a tworzone czy utrzymywane w ten sposób miejsca pracy w jednym kraju powodują ich utratę w drugim.

WIELKI BLOKADER

Potem sprawy potoczyły się błyskawicznie. Japończycy z Nintendo musieli zapłacić

167 milionów euro kary za zawyżanie cen swoich gier komputerowych, a Monti dorobił się przezwiska, które nosi do dziś: Super Mario – od najpopularniejszej postaci gier Nintendo dla młodzieży. Potem przyszła kolej na europejskie firmy farmaceutyczne (855 milionów euro), osiem austriackich banków (143 miliony), wreszcie na Microsoft z rekordową karą.

Monti zablokował fuzję firm WorldCom i Sprint, bo razem kontrolowałyby 45 procent światowej komunikacji internetowej. Nie dopuścił do największej fuzji w historii świata między General Electric i Honeywell z obawy, że moloch mógłby zmusić linie lotnicze do kupowania silników i awionetek Honeywell, a to groziłoby Airbusowi i Rolls-Royce’owi wypadnięciem z gry. Decyzję tę podjął wbrew stanowisku amerykańskiego urzędu antymonopolowego, który fuzję „klepnął” (Airbus i Rolls-Royce są firmami europejskimi).

Z podobnych powodów Monti nie zgodził się na połączenie Scanii z Volvo, mimo że zabiegał o to szwedzki premier. Podpadł prezydentowi Chiracowi (ten nazwał go „tęptym notariuszem”) za to, że nie zgodził się na wsparcie upadającego koncernu energetycznego Alstom. Kanclerz Niemiec Schröder do dziś przeklina go za karę nałożoną na Volkswagena i sieć Landesbanków. Monti dał też po łapach takim potentatom jak Coca-Cola, AOL Time Warner, EMI, a także British Telecom, Deutsche Telekom (między innymi dlatego będziemy mogli niedługo taniej telefonować).

BO MARIO NIE POZWOLIŁ

Sam sparzył się trzy razy. Trybunał Pierwszej Instancji w Luksemburgu odwołał trzy decyzje Komisji Europejskiej, zarzucając ekspertom Montiego niekompetencję i tendencyjność. Monti zacisnął zęby, zwiększył swój personel do 600 osób, zreorganizował pracę komisji i zatrudnił znakomitego ekonomistę w charakterze „adwokata diabła”, który szuka dziur w kontrowersyjnych orzeczeniach komisarza. Może dlatego Monti jest pewien, że tym razem Microsoft w Luksemburgu nic nie wskóra.

Kadencja komisarza „stalinisty” upływa w paździerzniku. Może – o co modli się wielu prezesów światowych firm – odejdzie. Na razie ciężko doświadczeni przez Montiego Amerykanie skorzystali z okazji, by się odegrać, i zablokowali jego wybór na szefa MFW. Po obu stronach Atlantyku słychać skargi, że komisarz popychany rzekomą pychą, żądzą władzy i arogancją dąży do wojny gospodarczej między Brukselą i Waszyngtonem.

Chce wojny czy nie, europejskim politykom Monti potrzebny jest jak powietrze. Choćby po to, by mogli powieźć pracownikom upadających przedsiębiorstw: „Chcieliśmy pomóc, ale Super Mario nie pozwolił”.

PIOTR KOWALCZUK, RZYM



PAN IKEA

MAX SUSKI

INGVAR KAMPRAD zbił majątek na tanich i prostych meblach. Teraz ma podobno więcej pieniędzy niż sam Bill Gates

Na początku kwietnia szwedzki tygodnik „Veckans Affärer” podał sensacyjną informację: najbogatszym człowiekiem na świecie nie jest Bill Gates, ale założyciel znanej na całym świecie firmy Ikea. Jeszcze w lutym na liście najbogatszych magazynu „Forbes” Ingvar Kamprad zajmował zaledwie 13. miejsce.

Tymczasem w kwietniu na skutek spadku kursu dolara do szwedzkiej korony wartość Ikei wynosi 52 miliardy dolarów, a to o pięć miliardów więcej niż fortuna Billa Gatesa. I tak, przez wahnięcie kursu waluty, 78-letni dziś ojciec znanej na całym świecie Ikei niechętny skupił na sobie uwagę mediów.

200 PROCENT NA ZAPAŁKACH

Rodzina, z której pochodzi twórca Ikei, przybyła do Szwecji z Niemiec. Pod koniec XIX wieku Achim Kamprad wraz z żoną Franziską Glatz osiedli w Smalandii – krainie na południu Szwecji, w pół drogi między Sztokholmem a Malmö. Tam, w małej miejscowości Almhult, w 1926 roku przyszedł na świat ich wnuk – Ingvar Feodor Kamprad.

Od dziecka ciągnęło go do biznesu. Kiedy miał sześć lat, korzystając z pomocy ciotki, kupował w Sztokholmie zapalki w paczkach po sto pudełek. Płacił 88 öre, a potem sprzedawał je po trzy öre od pudełka, co dawało przebiecie ponad 200 procent. Pomagał w gospodarstwie, dojąc krowy. To było odpowiedzialne zadanie, bo o 6.50 samochód z mleczarni odbierał bańki, więc nie można było nawalić.

Potem zabrał się do drobnego handlu kartkami świątecznymi i jagodami. Kiedy miał 17 lat, zaczął sprzedawać wysyłkowo francuskie pióra i długopisy. Wtedy też, w 1943 roku, wymyślił nazwę swojej firmy. Ikea to akronim jego inicjałów, nazwy farmy Elmtaryd i osady Agunnaryd, w której mieszkał. Może niezbyt oryginalnie – Ingvar tłumaczył potem, że nic innego nie przyszło mu do głowy – ale nazwa przyjęła się świetnie. Zlepek samogłosek ma bardzo „skandynawski” charakter, a to, zważywszy współczesną proekologiczną modę, nie jest bez znaczenia. Nazewnictwo to zresztą ważna działka w Ikei – zastony i tkaniny noszą zawsze kobiece imiona, a sofy i dywaniki biorą

swoje nazwy od szwedzkich i duńskich miejscowości.

W filmie nakręconym rok temu przez TVP Kamprad pokazuje katalog targowy z lat 40., w którym jest napisane: „Ingvar Kamprad – generalny przedstawiciel”. – To byłem ja – mówi z dumą. W 1948 roku młody Ingvar po raz pierwszy zamieścił w swoim katalogu wysyłkowym reklamę mebli. Wynajdywał modele, których nie oferowały miejscowe sklepiki, i zamiast fabrycznych symboli nadawał im własne nazwy. Pierwszym meblem, jaki sprzedał w dużej ilości, był fotelik o imieniu Ruth.

Pierwszą stałą ekspozycję mebli uruchomił w rodzimym Almhult dopiero w 1953 roku. Pięć lat później otworzył tam sklep z prawdziwego zdarzenia, o powierzchni prawie siedmiu tysięcy metrów kwadratowych. Wtedy rozsyłał już setki tysięcy katalogów rocznie.

PREZES W EKONOMICZNEJ

Kamprad starał się na wszelkie sposoby obcinać koszty. Pomysł sprzedaży mebli do samodzielnego montażu pakowanych w płaskie paczki, które dają się łatwo (a więc tanio) magazynować, pozwalała na obniżenie ceny. Mania szukania wszędzie oszczędności została Kampradowi do dzisiaj. Jego przyzwyczajenia są zupełnie „nieprzesowskie” – lata klasą ekonomiczną, w pociągu jeździ „dwójką”, nie nosi garniturów i ma 10-letnie volvo.

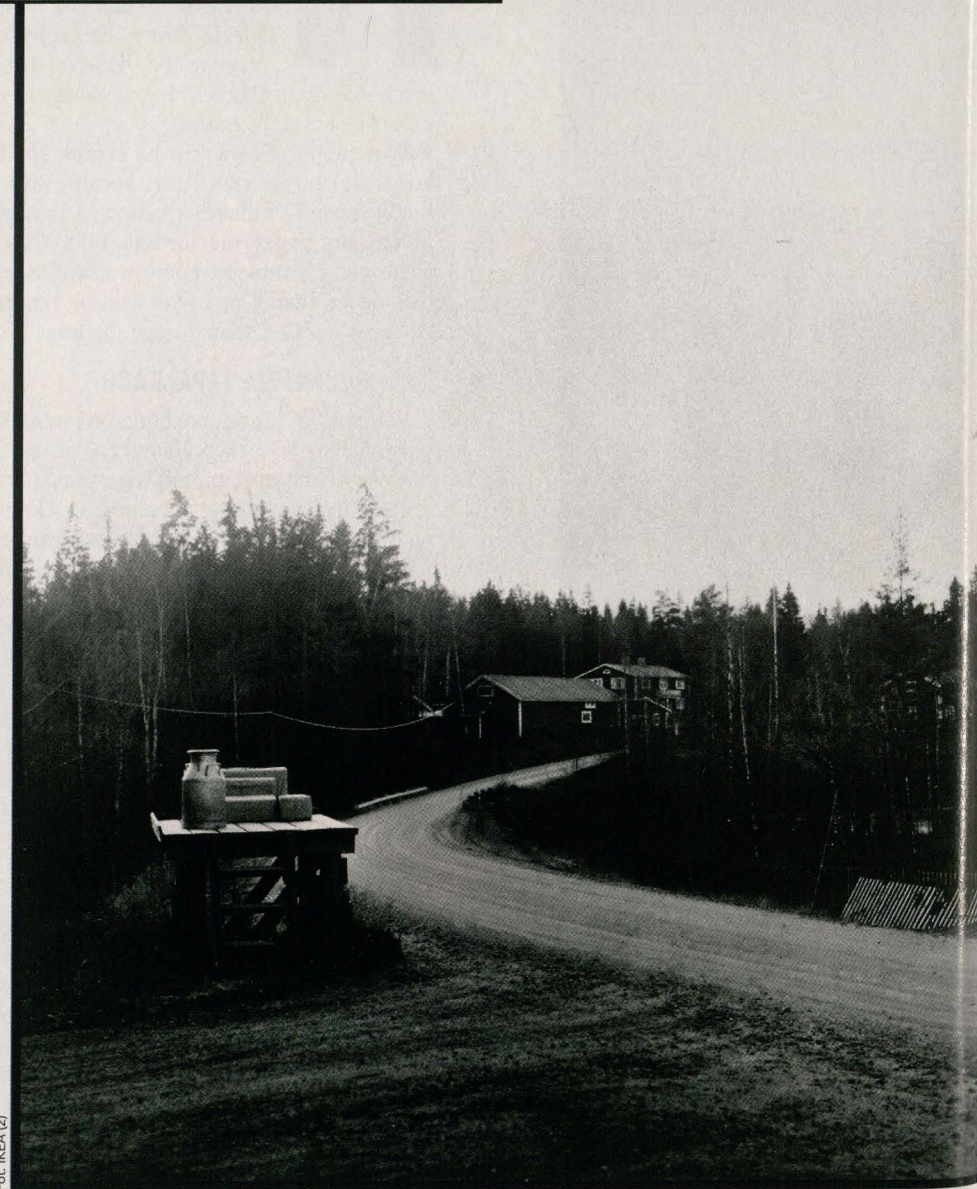
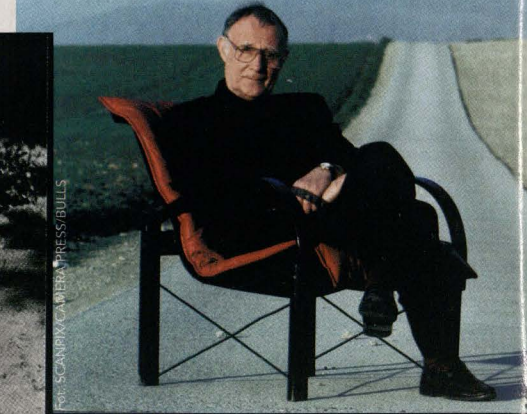
O sobie samym ma nie najlepsze zdanie. – Nikt nie popełnił tylu błędów co ja – zwykł mawiać samokrytycznie. W spisanych przez dziennikarza Bertila Torekulla wspomnieniach Kamprada wylicza on handlową porażkę za porażką – inwestycje w fabrykę telewizorów w latach 60., kłapę inwestycji w tartak na Uralu w latach 90., straty w fabrykach mebli w Rumunii, Tajlandii i Malezji. O wszelkie nietrafione inwestycje Kamprad obwinia siebie. Szczęśliwie żadna z nich nie zagroziła całej firmie.

Jeszcze w latach 50. Kamprad spotkał się z ostrym atakiem ze strony tradycyjnych handlowców, którzy starali się wyeliminować Ikeę z rynku. Meble Kamprada były dobrej jakości i tanie. Za 30 koron sprzedawał krzesło, za które konkurenci policzyliby sobie nawet 150. Zwarli szyki i wysuwali wobec dostawców mebli ultimatum w rodzaju: „Jeśli będziecie handlować z Ikeą, przestaniemy od was kupować”.

Meble Ikea sprzedaje 186 sklepów w 31 krajach na całym świecie. Firmowy katalog wydawany jest w 23 językach

Ingvar Kamprad ma dziś 78 lat. Ikea jest zaledwie 17 lat młodsza

Mały Ingvar z siostrą Kerstin na farmie Elmtaryd. Początek lat 30.



Początki Ikea nie wyglądały zbyt efektownie. Za pierwsze „centrum dystrybucyjne” służyła rampa na bańki z mlekiem

Część, zwłaszcza mniejszych, dostawców się przestraszyła. Co dziś byłoby nie do pomyślenia, Kamprada i jego firmę przestano wpuszczać na targi meblarskie. Tymczasem pół wieku temu, w erze przedtelewizyjnej i przy marnym systemie informacji, branżowe targi były jedną z nielicznych okazji do zaistnienia. Żeby coś zdziać, Kamprad musiał uciekać się do forteli – na teren targów wjeżdżał ukryty w ciężarówkach z towarem albo rejestrował fikcyjne spółki, występując jako kupiec, a nie sprzedawca.

Kampradowi było coraz trudniej utrzymać przy sobie dostawców mebli, którzy nie chcieli ryzykować konfliktu z całą branżą. Zaczął więc szukać za granicą i tak trafił do Polski. Wtedy też ujawniły się ciagoty alkoholowe Ingvara. Jak wspomina w rozmowie z Bertilem Torekullem, „w Polsce piło się na okrągło. Stwierdziłem, że to dobry sposób na zapomnienie. (...) Odstawienie alkoholu byłoby dla mnie czymś strasznym. Moim wielkim wyzwaniem jest zachowywanie umiaru, ograniczanie się do jednego kieliszka wina dziennie. Sęk w tym, że mi to nie wystarcza”.

POLSKA RATUJE IKEĘ

Już wiadomo, dlaczego w latach PRL trzeba było tygodniami stać po nieosiągalne meblościanki i tapczanopółki. Duża część materiału szła na meble wysyłane nie tylko na Wschód, lecz także na Północ. Kamprad do dziś powtarza, że w tym trudnym czasie uratowały go polskie przedsiębiorstwa.

21 stycznia 1961 r. wylądował na warszawskim Okęciu. Po niebotycznych kłopotach z biurokracją i pod czujnym okiem tajnych służb (początkowo nie wolno mu było nawet wyjechać z Warszawy) Kampradowi udało się dopiąć celu. Polskie fabryki, między innymi zakład mebli giętych w Radomsku, zaczęły produkować meble ze znakiem Ikea. Tysiące szwedzkich rodzin nawet się nie domyśla, że ma w domu meble wyprodukowane od zera w Polsce. Kamprad wspomina te czasy jako dość zabawne. Przywoził urzędnikom kalkę do maszyny, żeby nie musiały po kilka razy przepisywać faktur. Opór stawiła też materia – pociski, które

utkwiły w czasie wojny w polskich drzewach, łały zęby pilom i tarczom. Ale to nic. To w Polsce powstały ponad dwa miliony popularnych regałów Billy.

Sytuacja się poprawiła i Ikea mogła myśleć o dalszym rozwoju. W 1963 roku otwarto pierwszy sklep za granicą, w Oslo. 10 lat później rozpoczęła się ekspansja Ikea poza Skandynawię – na pierwszy ogień poszedł Zurych.

Dziś szyl Ikea widnieje na 186 sklepach w 31 krajach. Katalog firmy, który co roku pojawia się na klatkach schodowych na prawie całym świecie, drukowany jest w 131 milionach egzemplarzy i 23 językach. Grupa zatrudnia 76 tysięcy pracowników. Połowa z nich pracuje w sklepach, przez które przewija się 150 milionów klientów rocznie.

Surowa polityka podatkowa Szwecji mocno irytowała Kamprada. Przeszkadzała mu także jawność zeznań podatkowych. Postanowił wyprowadzić firmę ze Szwecji. Najpierw przeniósł ją do Danii, później za namową doradców przekazał Ikeę specjalnie stworzonej fundacji w Holandii, zachowując jednak stanowisko w jej zarządzie. Dziś jest „głównym doradcą” firmy. W prasie biznesowej można napotkać opinie, że sytuacja własnościowa koncernu jest dość zamiatwana, a poza członkami rodziny Kamprada nikt dokładnie nie wie, co do kogo należy. Wszyscy trzej synowie z drugiego małżeństwa Kamprada zajmują wysokie stanowiska w koncernie.

BRUNATNA PRZESZŁOŚĆ

Jesienią 1994 roku, kiedy narodowe archiwa Szwecji odtajniły szereg dokumentów z czasów II wojny światowej, wyszło na jaw, że Kamprad od lat 40. sympatyzował z kierowanym przez Pera Engdahla faszystowskim Ruchem Neoszwedzkim. Babcia Kamprada Franziska Glatz pochodziła z Sudetów i mocno przeżyła fakt utraty tej części Niemiec na rzecz nowo powstałej Czechosłowacji. Pozostałym – w ojczyźnie krewnym posyłała paczki żywnościowe i ubrania. Gdy w 1938 roku Hitler przyłączył Sudety do Rzeszy, babcia nie kryła radości.

Ingvar, indoktrynowany przez babkę i ojca antysemitę, wspomina, że jako mały chłopiec także wielił „wujcia Hitlera”. W szkole średniej rysował na ławkach swastyki i prenumerował faszystowskie periodyki. Wpojone w dzieciństwie sympatie po latach przysporzyły mu jednak sporo kłopotów. Najdziwniejsze było to, że Kamprad przyjaźnił się z Engdahlem już po zakończeniu wojny. Zaprosił swego idola na wesele, a w 1948 roku wydał książkę Engdahla „Edukacja polityczna”. Engdahl bardzo ciepło wyrażał się o sposobie zarządzania rządzoną przez Ikeę, twierdząc, że Kamprad „realizuje neoszwedzkie idee bezklasowości”.

Dziennikarze zaczęli tropić nazistowskie wątki z przeszłości Kamprada. Szczególnie sensacyjnie wyglądała informacja, jakoby szef Ikea jeszcze w 1958 roku brał udział w zjeździe europejskich faszystów w Malmö. Później okazało się to nie-

prawdą, ale media na całym świecie mówiły już o „nazistowskim szkielecie w szafie Ikea”. Jedna ze szwedzkich gazet pisała nawet, że start Ikea został sfinansowany ze środków nazistów. Te rewelacje dementował potem syn samego Engdahla. Światowy Kongres Żydów rozważał wezwanie do bojkotu Ikea w USA i pytał, dlaczego Ikea otwiera sklepy w krajach arabskich, a nie ma żadnego w Izraelu (dziś już ma).

Kamprad przyjął najlepszą postawę z możliwych – niczego się nie wypierał, związki z faszystami tłumaczył wychowaniem i okazywał szczery żal za „błędy młodości”. Jednak, jak się okazało, zbyt słabo.

Drugi atak na Kamprada nastąpił w 1998 roku, gdy tygodnik „Expressen”, który pierwszy „odkopał szkielec w szafie”, dopatrywał się związków młodego Ingvara z radykalnym ugrupowaniem Svena Lindholma, o którym cztery lata wcześniej w swej samokrytyce Kamprad się nie zająknął. Wypomniano mu udział w obozie Młodzieży Nordyckiej w 1944 roku i zarzucono, że wciąż stara się ukryć część prawdy o sobie. Koszmar powrócił na kilka tygodni, ale dzięki szczerej gotowości Kamprada do wyjaśnienia sprawy, upiór przeszłości wkrótce się ulotnił.

Kamprad szczerze przyznaje się do swoich ułomności. Ma lęk wysokości, narzeka na kłopoty z nauką języków. Boi się wyjść z domu bez pieniędzy, po pięć razy sprawdza, czy nie zapomniał paszportu albo biletu. Twierdzi, że bardzo brak mu pewności siebie. Nie przeszkodziło mu to jednak w zdobyciu miliardowego majątku.

GATES JEDNAK PIERWSZY

Informacje „Veckans Affärer” o detronizacji Gatesa szybko zdementowała sama Ikea. Rzecznik koncernu Marianne Barner przypomniała, że Kamprad w 1982 roku przekazał firmę zarejestrowanej w Holandii fundacji Stichting INGKA, zatem nie można utożsamiać wartości firmy z prywatnym majątkiem jej założyciela.

Zresztą nic wielkiego się nie stało. Kamprad nie wygląda na człowieka, któremu zależałoby na rodmuchiowaniu prywatnej fortuny. Przekonuje, że nie pali w kominku banknotami i chce być normalnym człowiekiem. – Nie mam spodni z firmową naszywką. Nie mam drogiego samochodu, choć mógłbym sobie na niego pozwolić – mówi.

Trudno mówić o Kampradzie jako o najbogatszym Szwedzie. On sam od ćwierć wieku mieszka koło Lozanny w Szwajcarii, unikając w ten sposób wysokich podatków w macierzystym kraju. Sama Ikea, której główne biuro mieści się w Danii, należy do fundacji zarejestrowanej w Holandii. Równie często jak w Szwecji Kamprad bywa w Polsce albo Rosji, gdzie dogląda nowych inwestycji. Zresztą ma już 78 lat i nie wiedziałby, co zrobić z taką forsą. Dużo jeździ rowerem i na starość chce zająć się ogrodem.

MAX SUSKI

PRZY PISANIU TEKSTU KORZYSTAŁEM Z KSIĄŻKI BERTILA TOREKULLA „HISTORIA IKEA”



FIRMA BAYER PO RAZ IV OGŁASZA OGÓLNOPOLSKI OTWARTY KONKURS FOTOGRAFICZNY „EKOLOGIA W OBIEKTYWIE 2004”

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Temat konkursu:

ZEMIA
PLANETA ZAGROŻONYCH
ZWIERZĄTKÓW
WODA

Nagroda Grand Prix
5 000 PLN

3 Nagrody Główne
w każdej kategorii po
5 000 PLN

Nagroda Dziennikarzysty
lotnicza sesja
fotograficzna

Atrakcyjne miejsca wystaw
nagrodzonych prac
w Warszawie,
Krakowie
i Zakopanem.

Szczegółowe informacje na temat konkursu, regulaminu oraz formularza zgłoszeniowego na stronie: www.bayer.com.pl, firmapr.com.pl. Zgłoszenia wraz z pracami konkursowymi należy nadsyłać lub dostarczać osobiście do 25 maja 2004 r. na adres agencji Fischer&Zubek PR Partners, ul. Nowy Świat 49, 00-042 Warszawa, tel./fax: (0 22) 827 53 83, 827 54 24, 826 01 62, e-mail: firmapr@firmapr.com.pl, www.firmapr.com.pl.

Patronat merytoryczny:



Patronat medialny:

foto www.foto-student.pl

Przeboje Britney? Timberlake'a? Jaya-Z? Skąd! Napisał je PHARRELL WILLIAMS. Poznajcie producenta, którego sława przebija blask jego klientów

NAJLEPSZY. W BRANŻY

Pharrell Williams miał 24 lata, kiedy zadzwonił do swojego idola Michaela Jacksona. Zapropował mu siedem nowych piosenek – najlepszych, jakie skomponował wraz ze swoim kolegą Chadem Hugo. Specjalnie dla króla popu. Ale Jackson z nich nie skorzystał. Wydał płytę „Invincible”, której sprzedało się dwa miliony. To dużo dla kogokolwiek innego, lecz dla pogrążonego w długach Jacksona – porażka. W Polsce płyta do dziś leży na wyprzedających.

Tymczasem Williams i Hugo oddali sześć z tamtych siedmiu piosenek Justinowi Timberlake'owi, ekschłopakowi Britney Spears. Wynik? Grubo ponad sześć milionów sprzedanych płyt. Na dodatek krytycy obwołali Timberlake'a „nowym Jacksonem”. O The Neptunes, producentem Williams-Hugo, napisano przy tej okazji, że to największa rewolucja w muzyce pop od czasów współpracy Jacksona z Quincy Jonesem. W lipcu 2003 roku to Jackson zadzwonił do Williama. „Interview Magazine”

poprosił go o przeprowadzenie rozmowy z młodym producentem. Rozmawiali o darze od Boga, który pozwala wpadać na coraz to nowsze pomysły muzyczne. – Gdzie teraz jesteś, w Nowym Jorku? – pytał Jackson, głos z wielkiego świata. – Jestem w Virginia Beach, sir – odpowiedział skromnie Williams, głos prowincji, która właśnie polknęła wielki świat. **MASONI Z WIRGINII** Co takiego jest w zaściankowym stanie Wirginia, że to stamtąd pochodzą najlepsi

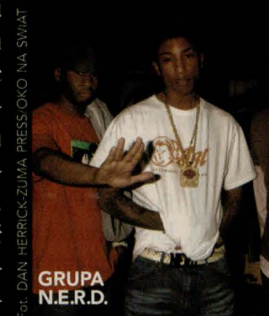
producenci, najgorętsze nazwiska współczesnej sceny muzycznej, z The Neptunes, Timbalandem i Missy Elliott na czele? – Chodzi o normalność – mówi „Przekroju” Williams. – Nie ma tu żadnej szczególnej tradycji, nie mamy odrębnej tożsamości, historii muzycznej. Kiedy Williams wchodzi na spotkanie z dziennikarzami do nowego Marriotta w Berlinie, nie wygląda na szarego prowincjusza. Jest niewysoki i szczupły, ale chyba więcej od niego waży jego biżuteria: gruby złoty łańcuch, sygnet z brylantem, miniaturowa deskorolka w połowie z platyny, a w połowie ze złota, którą nosi na szyi. Trudno się dziwić. The Neptunes biorą za jedną piosenkę średnio 150 tysięcy dolarów. Pharrell kiedyś wygadał się, że chciałby zbierać 500 milionów, a potem szoferowi, który obwoził go po Londynie, dał pięć tysięcy funtów napiwku. Skąd te pieniądze? Jay-Z, Busta Rhymes, Babyface, Usher, Britney Spears, Justin Timberlake, Kelis, No Doubt i Nelly – wszyscy ci artyści (razem pewnie połowa amerykańskiej listy przebojów) zawdzięczają swoje sukcesy Pharrellowi i jego The Neptunes. Ci po prostu piszą piosenki, nagrywają je, a potem dzwonią do wykonawcy, któremu chcieliby je sprzedać. W kilka lat zyskali reputację ludzi, którzy obracają w złoto wszystko, czego dotkną. Podupadającą Britney, szukającą nowego stylu grupę No Doubt czy wreszcie Ushera – najgorętsze dziś nazwisko list bestsellerów za Atlantykiem. Gdy w ubiegłym roku przeprowadzono badania w najpopularniejszych stacjach radiowych w Wielkiej Brytanii, okazało się, że co piąta grywana aktualnie piosenka powstała w studiu The Neptunes. 20 procent hitów wychodziło z manufaktury chłopaków z Wirginii! Albo wręcz ze studia nagraniowego na tylnym siedzeniu samochodu Pharrella, które służy mu do szybkiego rejestrowania pomysłów. Narodziło się nowe określenie: superproducent. – Jesteśmy skromni – tłumaczy Pharrell. – Pracujemy trochę jak masoni. To w ogóle grupa, której historia bardzo mnie fascynuje. Budownicowie. Byli zorganizowaną grupą ludzi i wszystko, co zrobili, oznaczali tak, żeby można było to rozpoznać.

Produkcje The Neptunes też łatwo rozpoznać. A ich metody również osnute są tajemnicą. – Robimy wszystko we dwóch. Nie zatrudniamy żadnych muzyków sesyjnych. Przychodzi mi do głowy pomysł, znajduję akordy, piszemy, a później gram na perkusji, na fortepianie, na syntezatorze, gitarach i tak dalej – opowiada Pharrell. – Jak to, obaj gracie wszystko? – pytam. – Tak jest.

UCZCIWY, GOŚCINNY... Chad dyrygował w szkolnej orkiestrze, a Pharrell grał na werblu. Poznali się na koloniach dla dzieci szczególnie uzdolnionych pod Virginia Beach. Karierę producentów zaczęli zaraz potem – mieli tani sampler firmy Casio, dwa stare magnetofony i automat perkusyjny, który ukradli ze sklepu muzycznego. – Zwróciliśmy go, gdy tylko zaczęło nam się lepiej powodzić – zapewnia Chad Hugo. Teraz 31-letni Pharrell Williams ma etykietkę najważniejszego człowieka w branży muzycznej. Pharrell, nie Chad – bo to on reprezentuje duet na zewnątrz. To na niego patrzą nastolatki, do niego dzwonią supermodelki i to on jest wzorem do naśladowania w dziedzinie mody – amerykańskim Davidem Beckhamem. Ma tylko więcej talentów niż Beckham. Gra na gitarze, perkusji, fortepianie, śpiewa, komponuje, potrafi wyprodukować w studiu utwór od A do Z, nawet pisze teksty. Robi też za ideologa duetu. Fragmenty tej ideologii czerpie ze swoich ulubionych lektur – ostatnio „Kodu Biblii” i „Kodu Leonarda da Vinci”. Za idealne podsumowanie naszej cywilizacji uważa filmy z serii „Star Trek”. – Popatrz tylko – mówi. – Przecież wynaleziono już wszystko, co było w tych filmach od lat 60.: klonowanie, sztuczne satelity, telewizory w zegarkach, nie ma jeszcze tylko teleportacji. Pharrell lubi psy. Biegają przy zachodnim murze jego wielkiej posiadłości. Zachodnim – bo od północy, południa i wschodu graniczy ona już tylko z oceanem. Tymczasem Missy Elliott zachwyca się: – Pharrell ma w sobie tę niezwykłą gościnność spotykaną tylko w Wirginii.

SZEŚĆ RAZY SIEDEM DZIEWCZĄT Żaden z wielkich producentów muzyki pop nie był idolem nastolatka. Williams jest pierwszy. Występuje w videoklipach obok Snoop Dogga czy Busta Rhymesa. Nie to, żeby palił z nimi trawkę i popijał

drogie trunki na wizji – bo sam nie pije i nie zażywa narkotyków – ale bardzo lubi towarzystwo ładnych dziewcząt. A te lgną do niego. Słynie jako facet, który ma stałą narzeczoną w każdym większym mieście. – Nie ma mowy o czymś takim – oburza się, kiedy o tym słyszy. – I mogę to udowodnić. Bo jaka wierna dziewczyna pozwoliłaby na to, bym dzwonił do niej tylko wtedy, gdy jestem w jej mieście? Żeby mieć prawdziwą dziewczynę, trzeba dzwonić regularnie. Policzmy. Sześć największych miast w samej Ameryce. Ile jest kontynentów? Sześć czy siedem, prawda? To daje nam 6 razy 7, czyli 42. I do tych 42 dziewczyn miałbym dzwonić co tydzień? Pharrell utrzymuje, że jest leniwy. Za lenistwo mieli go nawet trzy razy wyrzucać z McDonalda, gdzie dorabiał, sprzedając hamburgery (oczywiście po latach McDonald's zadzwonił do niego, żeby skomponował im melodię do reklamówki). Chad mówi, że to nie lenistwo – to brak czasu. Nie mogą się opędzić od ofert. – Pharrell nawet nie ma kiedy nauczyć się obsługi nowego sprzętu, więc korzystamy z tego samego – mówi kolega z The Neptunes. W samym tylko 2002 roku pracowali przy albumach Toni Braxton, Busta Rhymesa, Ushera, Justina Timberlake'a, ich utwory znalazły się na kilku składankach i ścieżkach dźwiękowych, a przede wszystkim zdążyli nagrać pierwszy album swoich własnych piosenek jako N.E.R.D. Pharrell produkuje pięć albumów naraz i komponuje trzy piosenki tygodniowo, ale – co ważniejsze – zdążył parokrotnie udowodnić, że wygląda i śpiewa lepiej od gwiazd, dla których pracuje. Teraz ukazuje się drugi album N.E.R.D. – „Fly Or Die”, który może być dla Pharrella Williama momentem ostatecznego wyjścia z cienia. – Nauczyłem się być lepszy niż inni – mówi bez przesadnej skromności. – Bo co robić, jeśli musisz skończyć coś, co zacząłeś, a jednocześnie dostajesz propozycję, której nie chcesz odrzucić? Odłóżysz ją na później? Ja nie muszę odkładać. Problem jest tylko jeden: taki sposób pracy niszczy życie towarzyskie. Pamiętasz te 42 dziewczyny? No to o nich zapomnij.



GRUPA N.E.R.D.

ŚWIECI

ŚWIECI

świecą lub spadają



**Anne Applebaum
PULITZER ZA GUŁAG**

Czemu młodzi ludzie, którzy nigdy nie kupiliby gadżetów z nazistowską ikonografią, chętnie obwieszają się „pamiątkami” po reżimie sowieckim? To pytanie zadaje sobie Anne Applebaum we wstępie do fundamentalnej książki „Gulag: a History” wydanej przez nowojorskie wydawnictwo Doubleday.

Pierwsza tak skrupulatnie opowiedziana historia przerażającego imperium radzieckich obozów dla nieprawomyślnych dostała właśnie nagrodę Pulitzera. Jurorzy docenili wnikliwą pracę nad niedawno udostępnionymi archiwami KGB i ogromną literaturą pamiętnikarską z archipelagu Gułag. Applebaum, stałej felietonistce „Washington Post” i żonie Radka Sikorskiego, byłego polskiego ministra spraw zagranicznych, udało się przywrócić Gułagowi właściwe miejsce w historii. Jej książka jest bowiem nie tylko pierwszą spisaną historią ziemi przekłetej. Jest też sygnałem, że czasy historyków rewizjonistów z lat 80., kwestionujących ogrom stalinowskiego koszmaru, odchodzą w przeszłość.

**Jan Mela
NAJSILNIEJSZY**

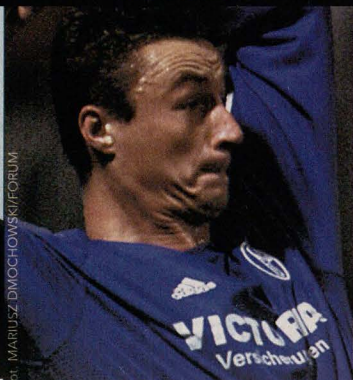
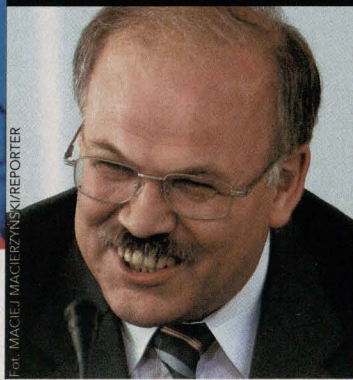
– Nie liczy się biegun, lecz przekraczanie granic, które wydają się nie do przejścia – tak tłumaczy swoją decyzję o wyprawie na biegun północny 15-letni gimnazjalista z Malborka Jan Mela. W podobnym wyznaniu nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że Janek od niemal dwóch lat jest kaleką. W lipcu 2002 roku w wyniku porażenia prądem stracił rękę i nogę – chodzi dzięki protezie.

W tym tygodniu wyładował na Spitsbergenie, gdzie przejdzie aklimatyzację i trening, a w połowie kwietnia wraz z polarnikiem Markiem Kamińskim wyruszy w ponadstukilometrową trasę na biegun północny. Jeśli osiągnie cel, zostanie nie tylko najmłodszym, lecz także pierwszym niepełnosprawnym zdobywcą bieguna.

Sposób, w jaki Janek poradził sobie z własną ułomnością, sprawia, że zastanawiamy się, czy sami znaleźlibyśmy w sobie tyle siły co on. Dzięki niemu wierzymy, że wszystko jest możliwe. Świadomi własnej kruchości trzymamy kciuki za jego wyprawę.

SPADA

SPADA



**Józef
Szczepańczyk
PRZEJĄŁ SIĘ
PRZESTĘPCZOŚCIĄ**

Tak jak przed laty Wojciech Jaruzelski został prezydentem z powodu nieobecności jednego posła opozycji, tak teraz komisja śledcza badająca aferę Rywina przyjmuje mocno kontrolowany raport końcowy dzięki nieobecności jednego z członków tejże komisji. Pięcioma głosami przeciw czterem komisja zaakceptowała raport Anity Błochowiak, w którym posłanka twierdzi, że żadna grupa trzymająca władzę nie istnieje, a Lew Rywin jest oszustem, który chciał wyciągnąć od Agory kasę na drodze cygara.

Raport Błochowiak jest totalnie krytykowany przez opozycyjnych członków komisji, także jej przewodniczącego. Gdzie był Józef Szczepańczyk (PSL) w momencie głosowania? W Kielcach, gdzie brał udział w spotkaniu z nauczycielami pod hasłem „Stop przestępczości w szkole”. Nie wiadomo, czy pomógł szkołom, ale na pewno zaszkodził w procesie ujawniania prawdy w sprawie korupcyjnej propozycji Rywina.

Polskie Stronnictwo Ludowe oficjalnie odcięło się już od posła Szczepańczyka, zapowiadając, że w Sejmie zgłasza przyjęciem innej wersji raportu.

**Tomasz Hajto
NIE CHCĄ GO JUŻ**

Pech nie opuszcza polskiej piłki nożnej. Nie dość, że Mistrzostwa Europy nie będą takie, jakie mogłyby być – bo bez naszej drużyny – to jeszcze nasi czołowi gracze przestają się podobać w zagranicznych klubach. Kapitan polskiej reprezentacji, jeden z naszych eksportowych hitów piłkarskich Tomasz Hajto prawdopodobnie odejdzie z pierwszoligowego klubu niemieckiego Schalke 04 Gelsenkirchen. Ma to nastąpić jeszcze przed rozpoczęciem sezonu 2004/2005.

Choć umowa z Hajtą wygasa dopiero w 2005 roku, menedżer klubu Rudi Assauer poinformował piłkarza, że już latem będzie mógł odejść z klubu za darmo. Może zostać, jeśli nie znajdzie nowego pracodawcy. Prawdopodobnie jednak odejdzie – otrzymał propozycje zmiany barw od trzech klubów europejskich. Hajto rozważał odejście z Bundesligi już na początku roku, gdy ciągnęła się za nim afera papierosowa.

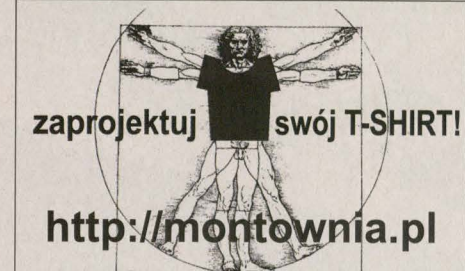
Hajto w lidze niemieckiej rozegrał 104 mecze. Ma 32 lata, powoli zbliża się do piłkarskiej emerytury.

eurobank

VIVA!
PRZE
KRÓJ

Nowy format reklam
w „Przekroju”
Jeden moduł formatu

60 x 37 mm



sprawdź, jaki kredyt
możesz otrzymać
i odbierz magazyn
Viva! lub Przekrój
z filmem

W dniach 16-18 kwietnia 2004 r.
przyjdź do jednego
z oddziałów eurobanku
w centrach handlowych
w Warszawie, Lublinie, Płocku,
Radomiu lub Białymstoku
i zapytaj o szczegóły promocji.

KIEDY WOLNOŚĆ BOLI
błyskotliwa kontynuacja
cywilizacyjnej myśli
Freuda

Sic!

Zygmunt
Bauman
„Ponowoczesność
jako źródło cierpień”

Wydawnictwo Sic! • (22) 840 07 53
www.wydawnictwo-sic.com.pl

Niezwykłe miejsce w Polsce
SPRZEDAM

+48 0502 205 005
www.rezydencja.com

**POLSKI FUNDUSZ KAPITAŁOWY S.A.
w Poznaniu**

sprzedaż:

**PENSJONAT w Bieszczadach
DOMKI rekreacyjne w Bieszczadach
TEREN pod bud. rekreacyjne w Unieściu (3,4 ha, 200 m od Bałtyku)
ZAJAZD w okolicy Gniezna**

dobre ceny, raty

Kontakt: 0609 52 00 77

Informacje: www.pfk.com.pl

PAWEŁ WIECZOREK

Upajanie historią

Przez pierwsze dwa stulecia browar w Tychach nie martwił się o zbyt – okoliczni mieszkańcy mieli obowiązek pić wyłącznie alkohole produkowane na miejscu. Od 200 lat tyski browar sam musi dbać o lepsze piwo i dobrą sprzedaż

Tychy, początek XX wieku. Dorożno – czyszczenie kuf, czyli wielkich beczek, w których trzymano leżakujące piwo

© BROWAR TYCHY

Browary Tyskie mają 375 lat – krzyczą o tym na ulicach billboardy reklamowe. W ciągu tych lat przez Tychy maszerowały wojska polskie, szwedzkie, duńskie, pruskie, niemieckie. Kilka razy browar był na skraju bankructwa. Zmieniały się kraje, w których leżał. Ale w Tychach wciąż warzono piwo. Kiedy naprawdę powstał browar? I co wspólnego z jego historią ma suknia z worków po owsie oraz ożenek pasierba z macochą?

KORZYŚCI Z WAŻENIA

Gorzelnia, browar, warsztat bednarski produkujący beczki na alkohole. A w magazynach słód pszeniczny, jęczmienny, żytni, chmiel. Oto przemysł wsi Tychy na początku XVII wieku. „Ten folwark posiada znaczne prawo piwowarskie, można tu co tydzień piwo warzyć, przynosi przeto znaczną korzyść” – zapisano w księdze spraw gruntowych Państwa Pszczyńskiego w 1629 roku. Ta pierwsza pisana wzmianka o istnieniu w Tychach browaru uznawana jest za początek jego działalności, choć browar działał już wcześniej – założony został po 1593 roku, bo pochodzące z tego roku zapiski jeszcze go nie wymieniają.

Właścicielem pszczyńskiego Wolnego Państwa Stanowego (także browaru) od połowy XV wieku był ród Promniców (Promnitz). Wtedy to Baltazar Promnitz, biskup wrocławski, kupił Państwo od węgierskiego magnata, który żyjąc rozrzutnie, stracił swoją fortunę (magnat ów zresztą kupił 30 lat wcześniej Państwo od innego zbankrutowanego wielmoży).

O górnictwie w nieprzebranych puszczech nikomu się jeszcze wtedy nie śniło – największe dochody Promnicowie czerpali w XVII wieku z hodowli ryb (ponad 30 procent), sprzedaż piwa i wódki dawała im 14 procent dochodu, a najlepiej rozwiniętym rzemiosłem było włókiennictwo. Właściciele Państwa zakładali nowe osady, ściągając włościan z sąsiedniej Rzeczpospolitej, która była głównym odbiorcą produkowanych tu dóbr.

Ze zbytem napitków panowie na Pszczyźnie nie mieli żadnych problemów: mieszkańcy mogli pić tylko alkohol pochodzący z wytwórni Promniców. Kwitł jednak przemysł, więc zbierający po karczmach zamówienia na piwo i wódkę pański urzędnik sprawdzał, czy po kątach nie stoi szmuglowany alkohol.

Mimo zapewnionego zbytu należało więc dbać o jakość trunków – Promnicowie sprowadzali piwo z Tychów, choć opodal zamku mieli też browar w Pszczyźnie. Podczas wojny 30-letniej Pszczyńskie straciło co trzeciego mieszkańca – pojawiły się kłopoty ze zbytem piwa. Browar został wydzierżawiony, wrócił pod zarządek Promniców w 1724 roku, wciąż jako duże i znane już przedsiębiorstwo. Produkował wtedy trzy rodzaje piwa: beczkowe, drożdżowe (górnej fermentacji) i stołowe (nieco lżejsze).

„Znają pokolenia tę śląską tradycję piw tykskich warzenia, picia i chwaleń” – zachwy-

cał się w XVIII wieku anonimowy poeta. Ale chłopcy nie byli zachwyceni – wciąż zwiększało im obciążenie pańszczyzną. Wybuchły bunt, rosło zapotrzebowanie na alkohole. W XVIII wieku bywały lata, gdy dochody ze sprzedaży piwa i wódki stanowiły trzecią część dochodów Promniców. Ci utrzymywali wystawny dwór, a na początku XVIII wieku ich kapelmistrzem był sławny kompozytor baroku Georg Philipp Telemann.

SŁÓD NA MROZIE

W 1742 roku Śląsk został zajęty przez Prusy, które narzuciły tamtejszym możnowładcom własne cła i podatki. Wkrótce Wolne Państwo przeszło w ręce pochodzącego z szeroko rozgałęzionej niemieckiej rodziny książęcej Fryderyka Erdmanna Anhalt-Koethena. W 1765 roku dostał Państwo od wuja Jana Adama Promnicca. Po czterech latach Anhalt-Koethen sprowadził z Saksonii trzech górników i założył pierwszą w Pszczyńskim kopalnię.

Zaś browar w Tychach w 1778 roku spłonął. Odbudowano go, używając już nie drewna, lecz cegiel. Koethenowie niemal zbankrutowali, gdy w latach 1811 i 1816 Prusy przeprowadziły uwłaszczenie, wprowadzając też wolność handlu i rzemiosła. Karczmarze mogli już kupować piwa z różnych stron. Rodzina jednak przetrwała, a w 1824 roku otrzymała przywilej węglowy, który dał jej niezależność w sprawach górnictwa i hutnictwa. Przywilej stał się podstawą fortuny następnych właścicieli Pszczyńskiego.

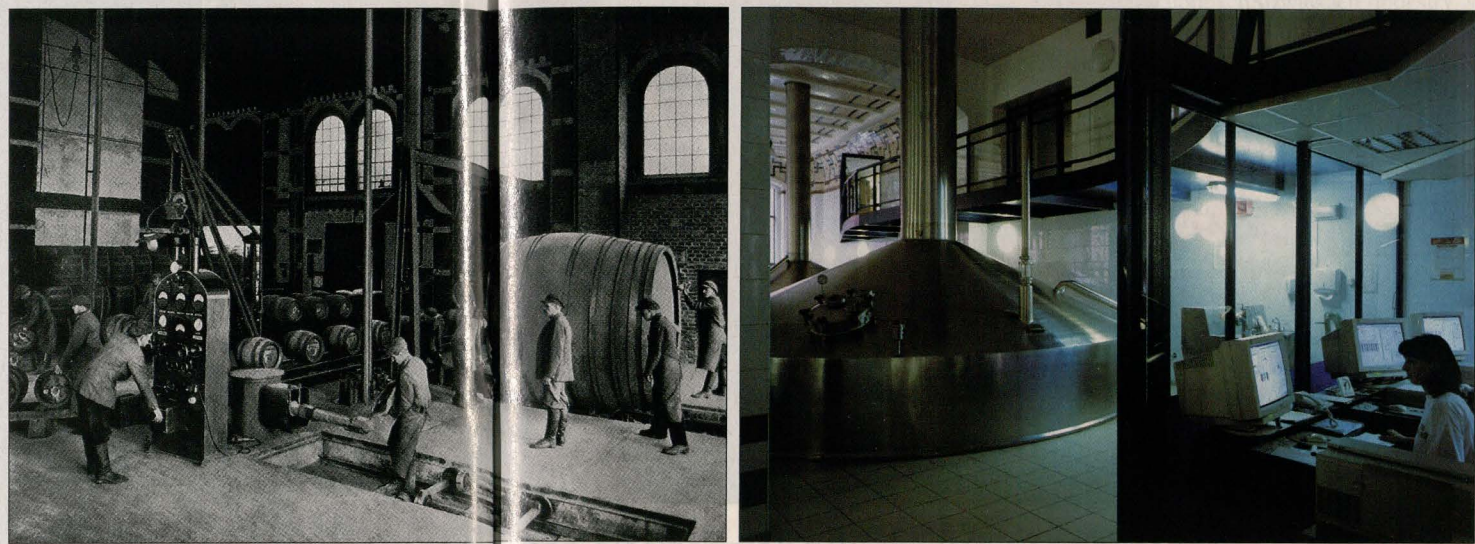
W tym samym roku piwo w Tychach zaczęto rozlewać do butelek. Istniejące od wieków stanowisko pisarza zastąpiono funkcją zarządcy, który był nadzorowany przez specjalnie powołanego kontrolera. Utworzono też własne plantacje chmielu. W 1829 roku zmodernizowano i ocieplono słodownię. Postawiony w niej piec pozwalał na wyrób słodu nawet w czasie mrozów. Ale popyt na piwo spadał.

PARA W BROWAR

W 1846 roku Państwo Pszczyńskie znów zmieniło właścicieli. Heinrich Anhalt-Koethen w zamian za rentę zapisał swoje dobra kuzynowi. Jan Henryk X Hochberg z Książa pod Wąbrzychem pochodził z jednej z najbogatszych niemieckich rodzin, a księstwo pszczyńskie pomnażało te bogactwa. Lata 1846–1848 nie rokowały jednak najlepiej. Klęska głodu, niepokoję polityczne, a także walka Kościoła katolickiego z alkoholizmem włościan powodowały spadek dochodów z handlu wódką i piwem. Browar w Tychach ograniczał produkcję.

Następny pan na Książu i Pszczyźnie Jan Henryk XI stał się mężem opatrnościowym i całego regionu, i browaru. W 1861 roku podjął jego wielką rozbudowę. Obok XVIII-wiecznych budynków stanęły nowe: warzelnia, chłodnia, słodownia, pięczarnia, młyn, suszarnia, lodownia. Pracę ludzi zastąpiła częściowo maszyna

Urzędnik zbierający w karczmach zamówienia na piwo szukał też alkoholi z przemytu



Fot. BROWARY TYSKIE (9)

U góry: Smołownia z początku XX wieku z automatyczną maszyną do smolowania kuf i beczek transportowych oraz współczesna, skomputeryzowana warzelnia

Po prawej: Daisy jako żona jednego z najbogatszych Europejczyków – właściciela browaru w Tychach

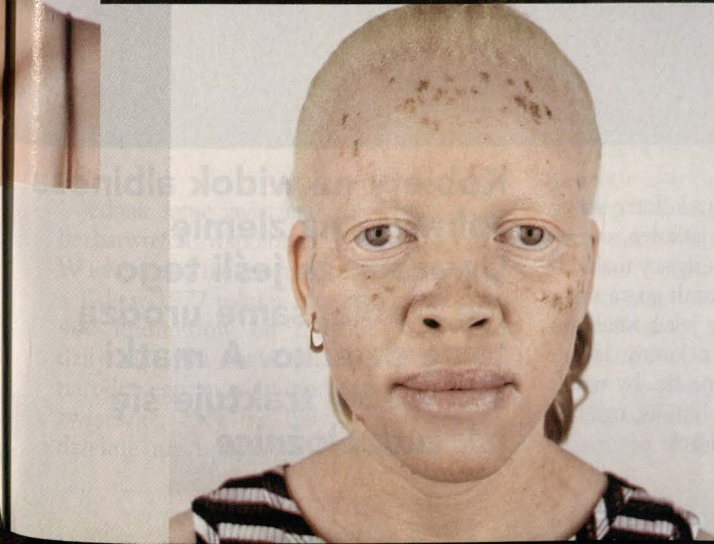
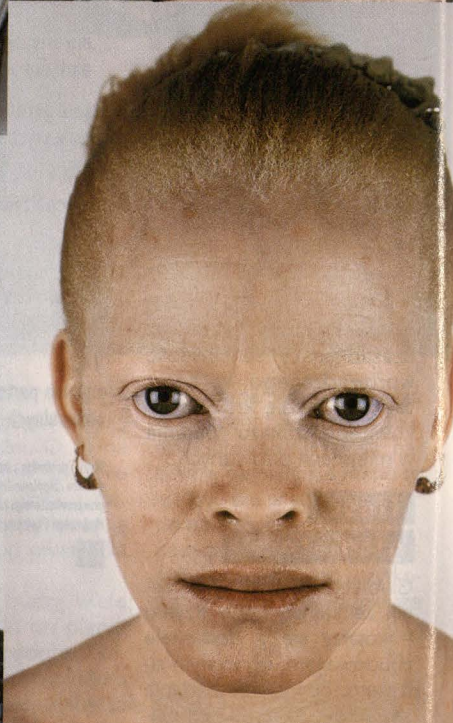
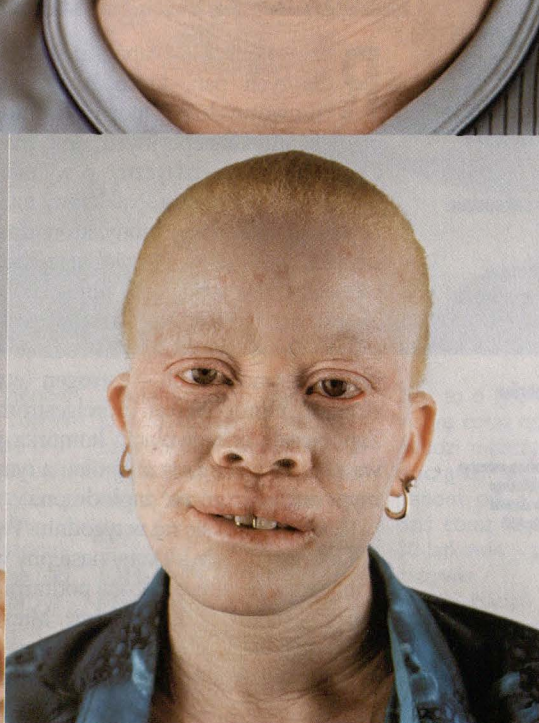
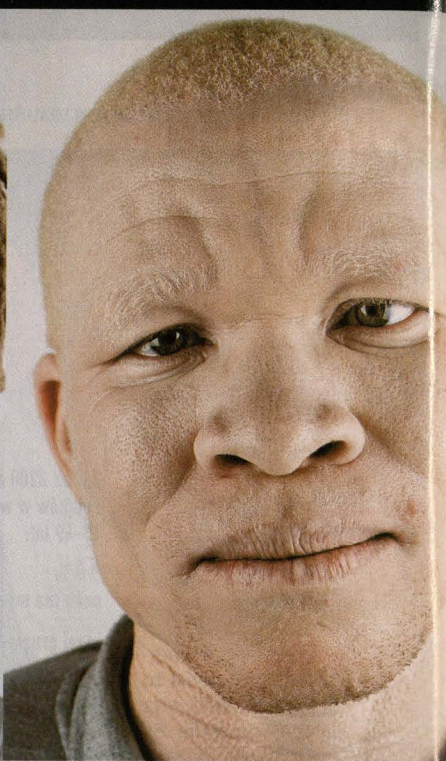
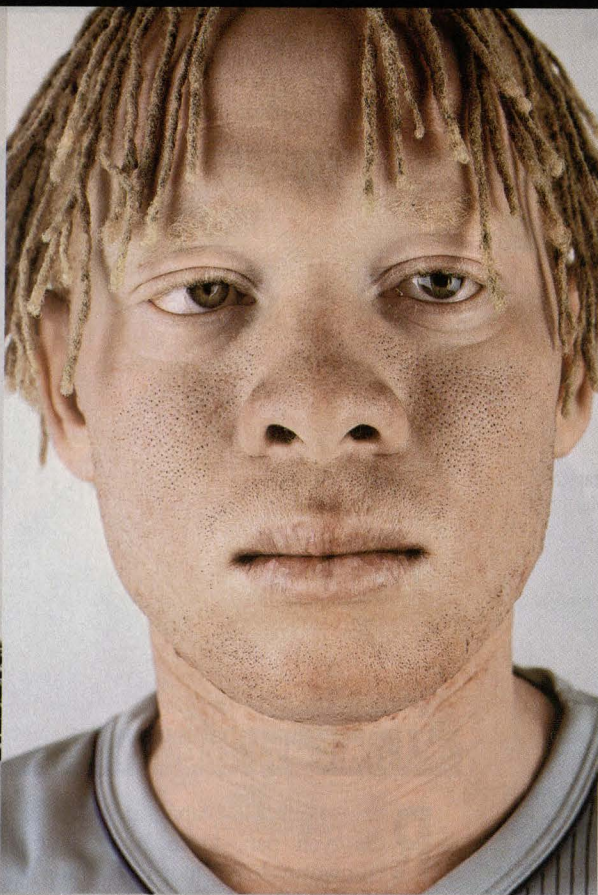


Jan Henryk XI stworzył w Tychach prawdziwie książęcy browar



Fot. ARCHIWUM „P”

genetyka



Są fenomenem natury – Murzyni albinosi. Wyśmiewani, tępieni, zabijani. Dlaczego? Są inni. Nietolerancja wobec outsiderów to nasz spadek po zwierzętach. Kiedyś służyła przeżyciu

TEKST
OLGA WOŹNIAK

ZDJĘCIA
PIETER HUGO

CZARNA ROZPACZ BIAŁEGO MURZYNA

Na nieszczęście dla nich jest ich tak niewielu, że zawsze wyróżniają się spośród innych. Mają jasną, różową skórę, białe włosy, różowawe oczy. Albinosi. Dziecko cierpiące na bielactwo (to polska nazwa albinotyzmu) doświadcza mnóstwa upokorzeń. W dorosłym życiu bywa lepiej ze względu na krępujące dorosłych konwenanse powstrzymujące ich (choć nie zawsze z dobrym skutkiem) od nachalnego gapienia się na „białego”. Statystycznie rzecz ujmując, albinosem może zostać jedna na 17 tysięcy osób. Bielactwo może być wynikiem różnych schorzeń dermatologicznych, można też cierpieć na nie od urodzenia. Wtedy winę za niezwykle wygląd albinosów ponosi defekt genetyczny. By doszedł on do głosu, muszą spotkać się dwa uszkodzone geny: od matki i od ojca. Ta skaza sprawia, że organizm obciążonego nią człowieka nie produkuje enzymu, który pobudza melanocyty – komórki barwnikowe – do produkcji melaniny, „farbki” barwiącej nasze włosy, oczy i skórę.

Dziecko z tym schorzeniem ma różową skórę, co jest spowodowane przeświecaniem naczyń krwionośnych. Jest także wybitnie nadwrażliwe na światło słoneczne, bo wytwarzanie melaniny stanowi jeden z mechanizmów ochrony skóry przed szkodliwym działaniem słońca. Łatwo więc dochodzi u niego do powstawania rumieni, pęcherzy, nadżerek, nadmiernego rogowacenia, a także do nowotworów skóry. Barwnika są pozbawione wszystkie narządy, dlatego włosy albinosów są białe, tęczyówki różowe, a źrenice czerwone. Na domiar złego temu już i tak wyróżniającemu z tłumu schorzeniu towarzyszą i inne wady: bardzo słaby wzrok, światłowstręt, oczopląs, zmiany w siatkówce, czasem zdarza się głuchota.

Bielsi od białych cierpią jako wyrzutki w zachodnich, „oświeconych” społeczeństwach. Co zatem muszą przeżywać biali Murzyni?

Bezbarwni muszą zginąć

Tak – i tacy się zdarzają. Holendrzy nazywali ich „karaluchami”, Francuzi „wyblakłymi”, Anglosasi ochrzczili wdzięczną nazwą „świński tłuszcz”.

Biali Murzyni z Afryki są od urodzenia odrzucani przez afrykańskie społeczności, maltretowani, czasami zabijani. W Rzymie otwarto właśnie wystawę przedstawiającą ich na fotografiach.

W Zimbabwe na 12,6 miliona mieszkańców 15 tysięcy to biali Murzyni. Zmęczeni dyskryminacją z powodu koloru skóry afrykańscy albinosi mobilizują się w obronie swoich praw, zwłaszcza

**Dla wygodnych**

Koniec z garbieniem się na rowerze! Model REVIVE DX firmy GIANT jest tak wyprofilowany, że rowerzysta ma zawsze proste plecy. Regulowane siodełko i kierownica pozwalają dopasować rower do wzrostu użytkownika, a cyfrowy komputer wyświetli prędkość, dystans i czas jazdy. 3499 złotych
www.giant-bicycles.com

**Z ukrytą kamerą**

Telefon NOKIA 7610 z cyfrowym aparatem o rozdzielczości jednego megapiksela zapewnia wysoką jakość odbitek i nagranie 10-minutowego filmu z dźwiękiem. Dzięki złączu Bluetooth można natychmiast przesłać zdjęcia prosto do drukarki. Telefon waży 118 gramów i służy przez 250 godzin bez doładowania.
www.nokia.pl

**Pstrykanie z mailem**

Aparat cyfrowy KODAK LS743 jest wielkości telefonu komórkowego, zmieści się więc w każdej kieszeni. Łatwy w obsłudze, do tego gwarantuje wysokiej jakości zdjęcia dzięki matrycy z czterema milionami pikseli i pamięci wewnętrznej 16 megabajtów. Potrafi też zapamiętać 32 adresy e-mailowe. Wystarczy wybrać zdjęcia i posłać je znajomym. 2099 złotych
www.kodak.com

**Do walki z korupcją**

Cyfrowy dyktafon SONY ICD-SX20 utrwali niejedną korupcyjną propozycję, bo zmieści 11 godzin i 35 minut nagrania. Urządzenie ma wbudowany mikrofon wielokierunkowy, złącze USB i funkcję Digital Voice Control, która pozwala regulować prędkość odtwarzania. 1099 złotych
www.sony.pl

Sportowy kompakt

BMW1 to najmniejszy samochód w stajni niemieckiego koncernu. Pięciordzwiowa „jedynka” ma napęd na tylne koła i dynamiczny silnik pod maską. Od pękatych konkurentów odróżnia ją większy rozstaw osi, dłuższa maska i płasko poprowadzona linia dachu. Do wyboru w czterech wersjach silnikowych – od 115 do 163 koni mechanicznych. Jesienią w salonach BMW. www.bmw.com.pl

**Elektronika pod prysznicem**

Urządzenia na prąd w kąpeli kojarzyły mi się dotąd jednoznacznie: z horrorem o telekinezie, w którym do wanny z roznegliżowaną kobietą wpada podłączona do prądu suszarka, albo z filmem o mafii, w którym błademu prawnikowi wrzucają do wody grający radioodbiornik. Sam miałem traumatyczne doświadczenie prysznicowe, kiedy w połowie lat 80. postanowiłem przetestować pod strumieniem wody mój kupiony za granicą zegarek elektroniczny („wodoodporny – do 25 metrów”). Następny eksperyment mógłbym spokojnie przeprowadzić już w toalecie: wrzucić zdobycz do klozetu i spuścić wodę. Ale oto idą czasy, kiedy dom, w którym pod prysznicem nie będzie żadnej elektroniki, stanie się domem staroświeckim.

**Bryzgoszczelne gadżety**

Jak podaje Southern California Gas Survey, statystyczny Amerykanin spędza pod prysznicem 7,5 minuty dziennie. Trzeba więc czymś ten czas wypełnić. 7,5 minuty razy 365 daje ponad 45 godzin – a to bite dwie doby rocznie czystej, niczym nieprzerwanej nudy!

Na początku pojawiły się więc radia prysznicowe – ładnie zaprojektowane, do stawiania lub wieszania, z zegarkiem, niektóre jeszcze z doczepionym wieszakiem na ręcznik. Produkują je do dziś poważne firmy – choćby Sony i Philips. W instrukcjach stoi, że są „splash resistant”, czyli – jak to przetłumaczył jeden z handlarzy na Allegro – „bryzgoszczelne”. Kilka lat temu pojawiły się do tego odpowiednio szczelne odtwarzacze CD – jak wszystkie prysznicowe gadżety z reguły na baterie paluszki, żeby uniknąć ciągnięcia niebezpiecznych kabli z gniazdka na 220 woltów.

**E-mail do wanny**

Dotąd było jeszcze odrobinę racjonalnie. Bo chociaż prysznic spałaby całkiem symfonią Mahlera (nie dość, że kąpie, to jeszcze na wykładaną kaflami łazienkę – każdy akustyk załamałby ręce), to już „Deszczowa piosenka” nadawałaby się niezłe. Moja ulubiona rubryka z gadżetami japońskich nastolatek w magazynie „Wired” przynosi jednak nowinę o Happy Aqua Phone – specjalnej skrzynce pod prysznic, do której można wstawić komórkę, by w kąpeli spokojnie prowadzić rozmowę. Jest głośnik, rzecz chodzi na cztery baterie paluszki, które wyczerpują się po 10 godzinach rozmowy („przedej wam się skończy ciepła woda” – zachwalają użytkownicy).

Są jeszcze telewizory – Sony i Casio oferują modele bezprzewodowe i w pełni bryzgoszczelne. Do komputera w kąpeli tylko krok, wodoodporne klawiatury można już od dawna kupić na warszawskiej giełdzie.

W Polsce chyba spędzamy pod prysznicem mniej czasu, bo i zainteresowanie podobnymi wynalazkami jest mniejsze. Są tylko radia (od 20 złotych na Allegro do 169 złotych za markowy model w sklepie) i odtwarzacze CD (sporadycznie na Allegro). Telewizorów brak. A szkoda, bo w końcu jakie jest najlepsze miejsce, żeby obejrzeć słynną scenę pod prysznicem z Hitchcockowskiej „Psychozy”?

BARTEK CHACIŃSKI



[popmoda]

Maratończycy pokonują most nad Tagiem w Lizbonie



Fot. REUTERS/FORUM

442 KILOMETRY BOLU

W Europie amatorzy biegania na królewskim dystansie mają w tym tygodniu do wyboru pięć maratonów, między innymi w Lizbonie, Turynie i Hamburgu. Na starcie jednego z najsłynniejszych na świecie maratonów w Londynie stanie jak co roku około 35 tysięcy osób, z czego do mety dobiegną 32 tysiące – przewidują organizatorzy. Biegaczom będą się przyglądać tłumy gapiów. 65 z 80 pubów usytuowanych wzdłuż trasy zgłosiło się do rywalizacji o miano najlepiej udekorowanego i najbardziej przyjaznego. Odbędzie się też mnóstwo imprez towarzyszących – koncertów, targów, wystaw. Każdy zawodnik wyposażony będzie w specjalny elektroniczny chip. Dzięki temu jeden z operatorów telefonii komórkowej oferuje bezpłatnie możliwość wysyłania do trzech wybranych osób SMS-ów z czasem biegacza, miejscem, które zajmuje w danym momencie, i pokonanym dystansem. Starterami będą członkowie angielskiej drużyny rugby, która zdobyła mistrzostwo świata. Przy odrobinie szczęścia będzie można biec ramię w ramię z gwiazdami telewizyjnymi, słynnymi sportowcami czy postaciami z pierwszych stron gazet, na przykład ze

Maraton okazał się najbardziej demokratyczną dyscypliną sportu, dlatego wciąż rosną rzesze jego miłośników. W najbliższy weekend na całym świecie odbędzie się 15 biegów

znany (nie tylko z napisanych przez siebie książek) sir Jeffreyem Archerem, który w wieku 64 lat postanowił pierwszy raz wystartować w maratonie. Jego celem nie jest jednak sportowe zwycięstwo, ale pobicie rekordu świata w zbieraniu funduszy na cele charytatywne. Zaproponował sponsorom opłatę 36 funtów za każdy jard, jaki zdoła przebiegnąć. Jeśli sir Archer dotrze do mety, zbierze

1 661 220 funtów (w Londynie trasa liczy 26 mil i 385 jardów).

NIE SPOSÓB ZWOLNIĆ

To nie jest wyjątkowy weekend. Co tydzień odbywa się przynajmniej kilka maratonów w różnych zakątkach świata. Moda na bieganie, która rozpoczęła się w Stanach Zjednoczonych w latach 70., ogarnęła cały świat. Maratony odbywają się nawet w małych miejscowościach znanych jedynie z tego, że właśnie tam spotykają się maratończycy (na przykład Dębno w Polsce). Są biegi organizowane w skrajnie trudnych warunkach, jak maraton za kołem polarnym rozgrywany w temperaturze -29 stopni Celsjusza, czy w dziwnych miejscach – w tunelu pod Tamizą w Londynie.

Za najbardziej prestiżowe uznawane są maratony w Nowym Jorku, Bostonie i Londynie. Pierwszy nowojorski bieg rozegrany został w 1970 roku. Budżet imprezy wynosił wtedy 1000 dolarów, bieg ukończyło 55 osób, a zawodami prawie nikt się nie interesował. Dziś jest to największa sportowa impreza na świecie. Organizatorzy muszą ograniczać liczbę startujących do 35 tysięcy, przy trasie gromadzą się ponad dwa miliony kibiców. Budżet liczony jest w milionach dolarów, nagrody dla zwycięzców – w setkach tysięcy. Transmisję telewizyjną ogląda blisko 300 milionów osób w 125 krajach świata. Pierwsze kilometry biegnie się w takim tłoku, że nie sposób zwolnić, nawet jeżeli się chce. Ponad 12 tysięcy wolontariuszy (jeden na każde cztery metry trasy) gotowych jest do pomocy w każdej chwili.

SATYSFAKCJA I SPEŁNIENIE

Co sprawia, że maratony są tak bardzo popularne? Na pewno nie nagrody – choć bardzo wysokie, przeznaczone są dla nielicznych. Niezbędny trening, bez którego nikt przy zdrowych zmysłach nie myśli o starcie, zabiera całe miesiące. Sam bieg najczęściej przypomina drogę przez mękę, a zawodnicy w trakcie imprezy mówią sobie: „nigdy więcej”, by już następnego dnia planować start w kolejnej imprezie. Nawet miłośnicy sportowego stylu życia mogliby znaleźć wiele łatwiejszych sposobów na samorealizację. Maraton jednak, najdłuższy z klasycznych dystansów, jest wyzwaniem. Ludzie, którym udało się dotrzeć do mety, mówią o uczuciu satysfakcji i spełnienia. Ważne jest też, że maraton to jedna z niewielu dyscyplin sportowych, jeżeli nie jedyna, w której zwykły, szary uczestnik startuje na takich samych zasadach co rekordziści świata. Na ogół nie ma przecież żadnych eliminacji. Że nie będzie się pierwszym, to raczej pewne, a czy będzie się w trzeciej setce biegaczy na mecie, czy w ostatniej, też nie ma najmniejszego znaczenia. Każdy wygrywa. Każdy, kto dobiegnie do mety.

TOMASZ GORAZDOWSKI,
PROGRAM III POLSKIEGO RADIA

NATIONAL
GEOGRAPHIC

JAK JE NAJŁATWIEJ ZEBRAĆ?



ZOSTAŃ NASZYM PRENUMERATOREM

Roczna prenumerata **tylko 99zł** w tym **2 NUMERY GRATIS!**
Trzyletnia prenumerata **tylko 279zł** w tym **8 NUMERÓW GRATIS!**

Dla pierwszych **300** osób **pasek** do aparatu fotograficznego **W PREZENCIE!**

ZAMÓWIENIA: tel: 0*22 607 02 62 na hasło **PRZEKRÓJ**

Zapłacisz przy odbiorze przesyłki z pierwszym numerem Magazynu. Oferta ważna do 31 maja 2004 r.



MARCEL ANDINO VELEZ

Wypokrowiana

Była gwiazdą. Potem o niej zapomniano. Teraz tryumfalnie wraca jako symbol sztuki drugiej połowy XX wieku. I nadal tworzy. YAYOI KUSAMA – w Zachęcie od 6 kwietnia wielka wystawa

Chora psychicznie Kusama pokazała, że sztuka może zbawiać i być drogą życia, a nie tylko grą z rynkiem i publicznością

Z tarasu widokowego najwyższego biurowca świata, nowojorskiego Empire State Building, każdy człowiek w dole wygląda jak kropka. Na tarasie stoi młoda Japonka, jest czerwiec 1958 roku. Kobieta patrzy na kłębiące się ludzkie punkciki. Każdy osobny, jedyne. Yayoi Kusama ma 29 lat, właśnie przyjechała do Nowego Jorku i wspięła się na szczyt drapacza chmur. Bezlik kropek w dole, szum wielkiego miasta. Japonka pojmuję: Muszę odcisnąć swoje piętno. Muszę narobić huku. Inaczej pozostanę nikim.

Bo na razie jest nikomu nieznaną dziewczyną o egzotycznym wyglądzie, ledwie dukającą po angielsku.

Rok później w awangardowej galerii pokaże wielkie białe obrazy pokryte białymi kropkami. Różnych rozmiarów. Kropki układają się w różne wizualne wzory. Jednobarwne, ascetyczne płótna obalą dotychczasowe reguły rządzące malarstwem. Nawet abstrakcyjnym. Zaskoczeni krytycy uznają białe na białym Kusamy za nowatorstwo. W łagodnej grze faktur dopatrzą się piękna. Wystawa zostanie uznana za wielki sukces. Wokół 30-letniej Japonki zgromadzą się faceci, których zainspiruje do stworzenia najważniejszych gatunków amerykańskiej sztuki lat 60. – pop-artu i minimalizmu.

Jednak to niejedyny wpływ Kusamy na sztukę. Myślimy, że to Andy Warhol opatentował sposób na sprzedawanie własnego życia jako dzieła sztuki. Tymczasem to Kusama była pierwsza. Kolejna zasługa Kusamy: wprowadzenie w oderwaną od życia, pomnikową sztukę modernizmu fermentu społecznego, kulturowego i seksualnego, który sprawia, że dziś sztuka jest fascynującą formą publicystyki. Ponadto, co chyba najważniejsze, jako osoba chora psychicznie Kusama pokazała, że sztuka nadal może zbawiać i być indywidualną drogą życia, a nie tylko grą z rynkiem i publicznością.

LEKcje ETYKIETY

Dziś to może nie jest nadzwyczajnie oryginalny poryw ambicji – narobić huku, odcisnąć piętno. Ale Yayoi Kusama na tarasie widokowym Empire State Building znalazła się nie dziś, tylko 46 lat temu. Córki urzędniczych rodzin z malowniczej, ale prowincjonalnej prefektury Nagano nie wyjeżdżały wówczas do Ameryki. W zasadzie do Ameryki nie wyjeżdżały wówczas praktycznie żadne

Na poprzedniej stronie: LUSTRZANY POKÓJ (DYNNIA), 1991 r.

Po prawej: Kusama wśród swoich fallicznych prac pomalowana w kropki – lata 60. Kusama nieustannie neguje rozdział pomiędzy osobą artysty a dziełem



córki ani żadni synowie japońskich rodzin. Ameryka to był ciemniejszy. Okrutny i pełen pogardy dla zwyciężonego cesarstwa. Jednak dziewczyna nie miała o tym zbyt wielkiego pojęcia. Wiedziała za to, że w Ameryce jest wielka malarka Georgia O'Keeffe. – W Matsumoto była tylko jedna księgarnia, w której mieli tylko jedną zagraniczną książkę o sztuce. Kupiłam ją, mimo że miała urwane okładki – opowiada Kusama. W środku były ilustracje namalowane przez O'Keeffe.

Musimy uwierzyć Kusamie, kiedy opowiada, że jej dzieciństwo było ponure, przepelnione lękiem przed matką tyranem. O ojcu Kusama nigdy nie będzie opowiadać, ale z jej sztuki, a także z powieści i opowiadań, które pisuje, wynika, że on skrzywdził ją jeszcze bardziej niż matka. Kusama, dziecko niekochane, ofiara przemocy i – przypuszczalnie – kazirodczego gwałtu, uciekała w rysowanie i malowanie. To częste. Ale nie wszystkie skrzywdzone dzieci miewają halucynacje i stany psychotyczne. Mała Yayoi miewała je często.

– Pewnego dnia patrzyłam na obrus w czerwone kwiaty. A potem spojrzałam do góry i ujrzałam ten sam wzór na suficie, na oknach, na ścianach, w końcu na wszystkim, co było w pokoju, łącznie ze mną. Czulałam, jakbym zaczęła się rozpadać, popadać w pozaczasowy wir przestrzeni – wspomina artystka. Ta halucynacja z czerwonymi kwiatami, które pokrywają wszystko, to klucz do twórczości Kusamy. Patrząc na niebo, widziała, jak gwiazdy ogarniają wszystko, co na ziemi. Od najmłodszych lat pokrywała kropkami rysowane przez siebie postaci i przedmioty. Wszystko w groszki, wszystko pokryte jednym, powtarzalnym wzorem.

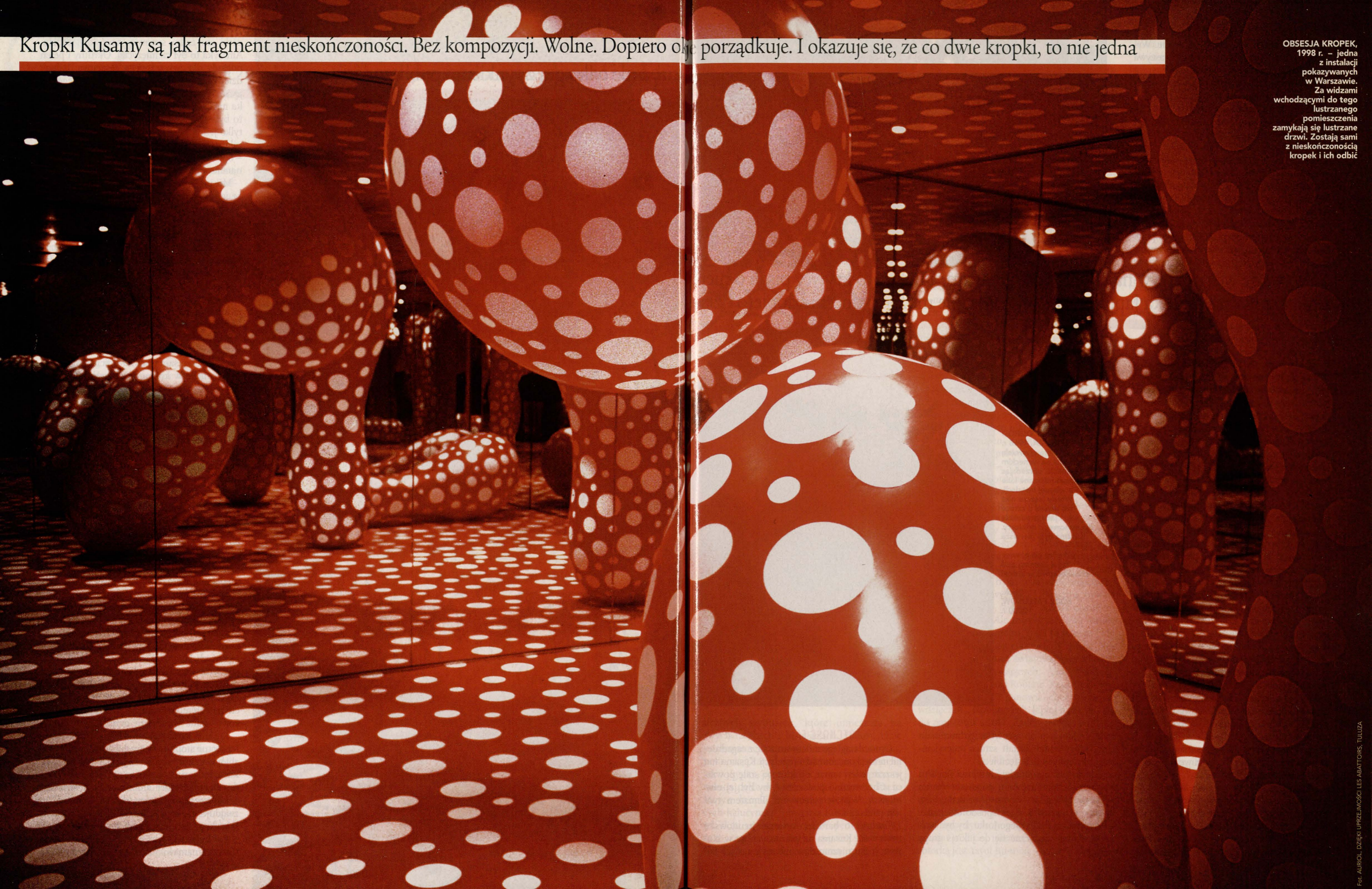
Zapra gnęła zostać malarką. Stąd książka kupiona za kieszonkowe. Dwa lata trwają awantury z matką, aż w końcu ta prowincjonalna matrona ulega i zgadza się, by 19-letnia Yayoi rozpoczęła naukę w państwowej szkole sztuk pięknych i rzemiosła w Kioto. Jest rok 1949. Kusama trafia – przypadkiem – na specjalizację nihonga. To ukształtowane w XIX wieku malarstwo odrzucające wpływy europejskie i odwołujące się do najstarszych tradycji artystycznych Japonii. Kusama musi także – taka jest wola matki – chodzić kilka razy w tygodniu na kurs tradycyjnej japońskiej etykiety. Malarstwo malarstwem, a Yayoi i tak spędzi życie na ceremonialnym nalewaniu herbaty męzowi – takie są zapewne oczekiwania matki.

Kusama jednak okazuje się zdolną malarką. Jej płótna stopniowo przebijają się na wystawy zbiorowe w różnych miejscach Japonii. Mija kilka lat i dziewczyna ośmiela się wyruszyć do amerykańskiej ambasady w Tokio. Tam w bibliotece wertuje opasłe „Kto jest kim”, aż znajduje: Georgia O'Keeffe. Wielka malarka. Wysła jej list i kilka swoich obrazów.

Po kilku tygodniach O'Keeffe odpisuje. Chwali i namawia do dalszego malowania.

Kropki Kusamy są jak fragment nieskończoności. Bez kompozycji. Wolne. Dopiero oko je porządkuje. I okazuje się, że co dwie kropki, to nie jedna

OBSESJA KROPEK,
1998 r. – jedna
z instalacji
pokazywanych
w Warszawie.
Za widzami
wchodzącymi do tego
lustrzanego
pomieszczenia
zamykają się lustrzane
drzwi. Zostają sami
z nieskończonością
kropek i ich odbić



Dla Kusamy to decydujący moment. Występuje o amerykańską wizję. Potem zaszywa wszystkie oszczędności w mankiety płaszcza i wsiada na statek do Seattle.

MATKA CHRZESTNA

W walizce, z którą dotrze do Ameryki, będzie miała dwa tysiące obrazków. Każdy pokryty kropkami.

Wielki nurt malarstwa amerykańskiego – ekspresjonizm abstrakcyjny, czyli chlapanie farbą po płótnie – właśnie dożywa swych dni. Mnóstwo młodych zdolnych szuka nowych środków wyrazu. Jak w nowy sposób oddać akt twórczy? Skupiać się raczej na stacjach wewnętrznych, czy zwrócić się ku polyskującej, ale niemej powierzchni wytworów



Wywarła wielki wpływ na popart i minimalizm, a mimo to krytycy pisali o niej protekcjonalnie „słodka Japonczka”. Jej znaczenie możemy docenić dopiero dziś

kultury masowej? Czy dzieło sztuki jest bytem osobnym, poza wszelkim racjonalizmem i interpretacją? To i wiele innych pytań wisiało w dymie nowojorskich skupisk bohemy. Okazało się, że zakropkowane obrazki z walizki Kusamy będą jak powiew świeżego powietrza dla poszukujących artystów.

Kusama nie mogła przypuszczać, że aż taką rolę odegrają jej grochy obsesyjnie nanoszone na powierzchnię obrazu. Sześciometrowy zwój białego płótna, który pokryła ogromną ilością białych kropek, to był strzał w dziesiątkę. Wystawa otwarta w 1959 roku była dowodem na to, że nawet ekspresjonizm abstrakcyjny zbudowany z plam farby podlegał tradycyjnym prawom kompozycji obrazu. Kropki Kusamy były jak fragment nieskończoności. Bez kompozycji. Wolne. Dopiero oko układało je w jakieś porządki – tworzyło rytmy. Okazało się też, że powtarzanie jakiegoś elementu daje niezwykle efekty plastyczne i zmienia nasze postrzeganie. Krótko mówiąc, co dwie kropki, to nie jedna. Co cztery portrety Marilyn Monroe, to nie jeden. Tak, to od Kusamy Andy Warhol zapożyczył pomysł repetycji. Kusama była pierwsza – w 1961 roku wykonała obraz z naklejek „poczta lotnicza”. Warhol zachwycił się i zapytał ją, czy ma coś przeciwko temu, by on zrobił coś podobnego. Tak narodziły się słynne serigrafie Warhola – rysunki odbijane na jedwabnych siatkach, możliwe do powielenia nieskończoną ilość razy.

Powtarzalność najprostszych form geometrycznych, Kusamowych groszków, przemówiła też do wrażliwości artystów sprzeciwiających się popkulturalnemu nadmiarowi kolorów, kształtów i zawartemu w abstrakcji ładunkowi uczuć. Prostota sztuki Kusamy

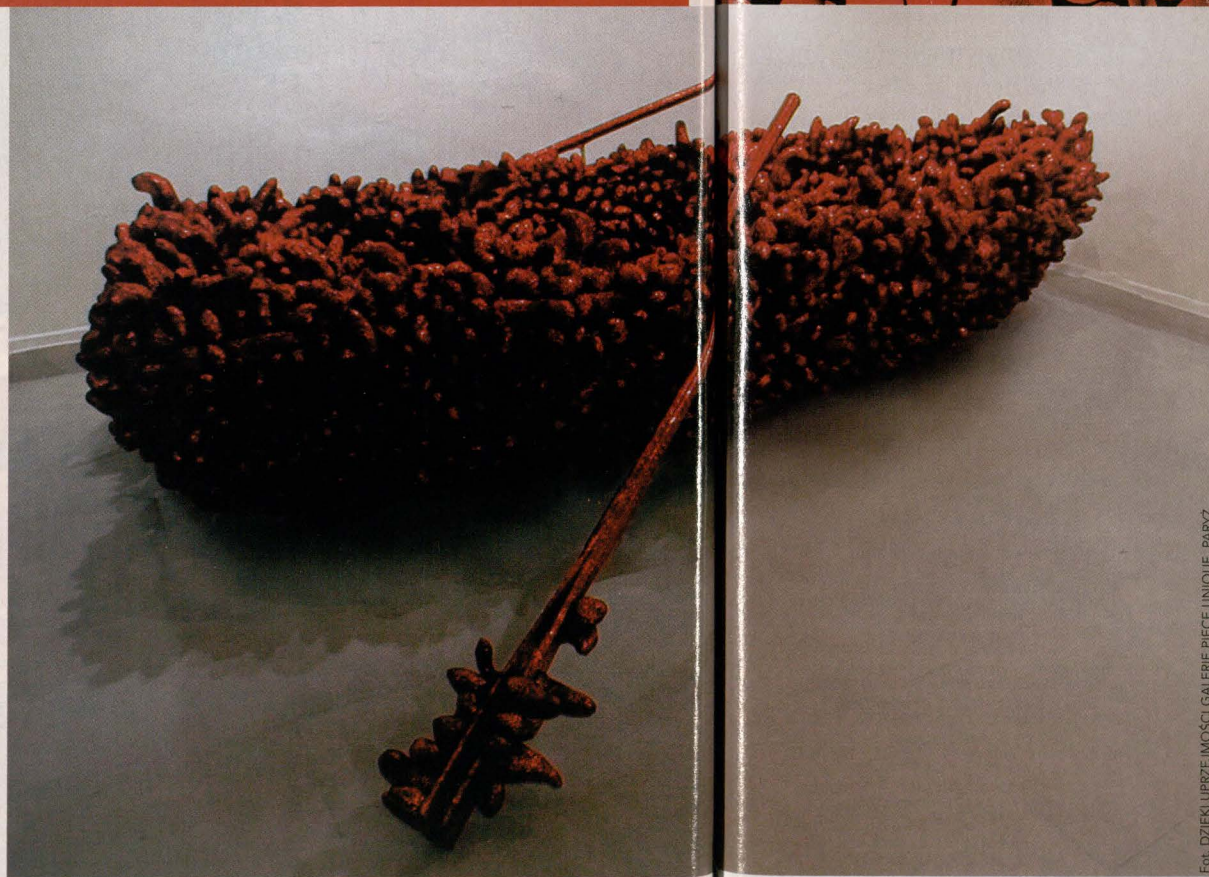
stała się kluczem do ascetycznego minimalizmu, który nadał kształt sztuce amerykańskiej następnego dziesięciolecia.

Jednak Kusama, matka chrzestna popartu i akuszerka minimalizmu, pozostała wierna własnym obsesjom – wytrwale szukała dróg, by móc je wyrazić i w ten sposób okiełznać. – Wyjechałam do Nowego Jorku, by być wolna, a nie by przyłączać się do jakiejś grupy – mówi.

Powyżej: **OGRÓD NARCYZA**, 1966 r. Artystka wywołała skandal na weneckim Biennale, sprzedając widzom lustrzane kule z własnej instalacji. Wtedy jeszcze nikt nie myślał o sztuce jako produkcie dla masowego odbiorcy. Kusama była pierwsza

U góry po prawej: Yayoi Kusama dziś – obowiązkowo w kropki

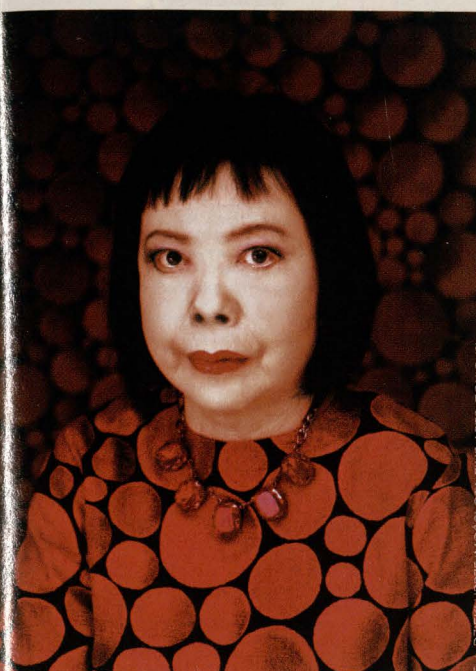
Obok: **ŁÓDŹ FALLUSÓW**, 2000 r.



WSZECHOBECNOŚĆ FALLUSÓW

Oprócz ciągłego mocowania się z zagadnieniem nieskończoności i repetycji Kusama ma jeszcze jeden temat, do którego stale powraca. Choć trudno powiedzieć, by był jej ulubionym. Wprost przeciwnie. Tematem tym jest penis.

Trudniej o bardziej otwarcie freudowską twórczość. Kusama od pierwszych lat w Nowym Jorku niezmiernie szyje tysiące fal-



licznych wypustek, które umieszcza na swych rzeźbach i instalacjach. Fallusy, choć pozbawione pornograficznej dosłowności, pokrywają szczerlnie powierzchnie jej prac. Są jak wysypka, jak robale, czasem tylko przypominają palce w niezgrabnych rękawiczkach.

Motyw kropki jest wspomnieniem dziecięcych halucynacji, powtarza Kusama. Nie mówi, skąd ta wszechobecność penisów, mówi za to, że panicznie boi się męskiej seksualności. Co nie znaczy, że Kusama czuje pociąg

do kobiet. Po prostu cały seks jest dla niej zwierzcą obrzydliwością.

Jej śmieszno-straszne fallusy poza walorami estetycznymi, poza popartowskim żartem były też ciekawym głosem na temat społecznego podziału ról pomiędzy płcie. Były interesującym przykładem na to, jak sztuka w uniwersalny sposób może mówić o prywatnych przeżyciach twórcy. Wraz z rzeźbami i zakropkowanymi powierzchniami do sztuki przemyślała się także sama artystka. Postać Kusamy, goła lub przebrana w kimono, jest stałym elementem zdjęć, które dokumentują twórczość artystki. Kusama uważała siebie za żyjące dzieło sztuki, jak Warhol, tylko bez jego cynizmu. Przez całe lata 60. z gazet nie zniknęły zdjęcia gołej Kusamy z wymalowanymi na ciele kropkami. To symbol zjawiska, które narodziło się właśnie w tamtej epoce – dziełem sztuki stała się obecność artysty w mediach. Malowanie na własnym nagim ciele, by trafić do gazet – strategia wymyślona przez Kusamę – znalazło w ciągu ostatnich 40 lat niezliczonych naśladowców.

Ale dorównująca Warholowi popularność nie trwała długo. Dziś tamte czasy kojarzą nam się z eksplozją wolności i upadkiem społeczeństwa mieszczańskiego. Historia Yayoi Kusamy dowodzi, że to tylko mity.

Bo nawet w ogarniętym kontestacją Nowym Jorku nie było nikogo, kto w pełni zrozumiałby fenomen Kusamy. Ona – grająca na stereotypach, prowokująca, rasowo i kulturowo obca, ona – kobieta, artystka i wariatka – nie zdołała przebić się poza rolę „Kropkowej Księżniczki”, jak zwały ją gazety. W prasie recenzje pełne były sformułowań typu: „słodka, czarnowłosa Japonczka, wystarczająco śliczna, by ozdobić każde otoczenie”. Performerka Carolee Schneeman tak wspomina miejsce artystek na nowojorskiej scenie lat 60.: „Mogłaś sobie być artystką, ale tak naprawdę byłaś tylko ozdobną cipcią. Musiałaś super wyglądać”. Kusama bywała „ozdobną cipcią”, świetnie umiała zagrać rolę uległej gejszy. Ale też poprzez swą sztukę drwiła z tego porządku. A na to jeszcze było za wcześnie. Rodzący się wtedy dyktat Nowego Jorku w sztuce światowej potrzebował serioznych rozgrywających: Andy Warhola, Roya Lichtensteina, Roberta Rauchenberga, Donalda Judda. Ci panowie, choć sporo zawdzięczali „Japonczce”, lepiej nadawali się do panteonu sztuki. Żaden z nich, bądź co bądź, nie był żółty.

UZALEŻNIENIE OD SAMOBÓJSTWA

W 1978 roku w Japonii ukazała się powieść „Manhattan Suicide Addict” („Manhattańskie uzależnienie od samobójstwa”). Krytyka i czytelnicy świetnie przyjęli makabryczne opisy upadłego życia nowojorskiej bohemy. To książka w dużej mierze autobiograficzna. Jej autorką jest Yayoi Kusama – od chwili publi-

kowania pierwszej książki pisarka „kultowa”. W ciągu ostatnich 25 lat wydała w Japonii 13 tytułów, wśród nich powieści, zbiory opowiadań i poezji.

Wszystkie one kręcą się wokół patologii: narkotyków, chorób, gwałtu, prostytucji. Bohaterkami kilku powieści są dziewczyny zgwałcone w dzieciństwie przez swych ojców. Tytuły: „Woodstock Phallus Cutter” („Obcinacz fallusów z Woodstock”) czy „Hustler’s Grotto of Christopher Street” („Melina dziwek z Christopher Street”). Krytyka japońska okrzyknęła Kusamę „japońskim Genetem”. Tak jak Jean Genet potrafi ona „nadać blask brudowi”, stwierdził popularny pisarz i reżyser Ryu Murakami.

Swe książki, podobnie jak obrazy, Kusama tworzy pod wpływem impulsu. Niemal bez przerwy. Napisanie powieści zajmuje jej kilka, kilkanaście dni. Twórczość Kusamy nie jest jednak po prostu zapisem choroby, to artystyczna próba odtworzenia tego wszystkiego, co Kusamie siedzi w głowie. I poprzez to także terapia.

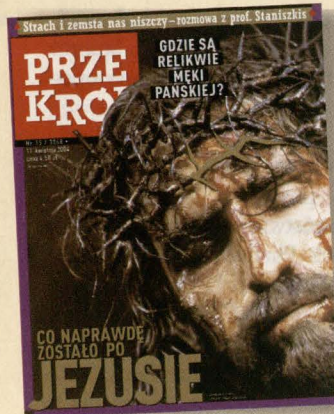
Yayoi Kusama od chwili kiedy porzuciła Nowy Jork, mieszka w zakładzie psychiatrycznym w centrum Tokio. Życie wśród bohemy nowojorskiej było dla jej wrażliwej psychiki zbyt wyczerpujące. Uciekła stamtąd w połowie lat 70. i na długo słuch o niej zaginął. W Japonii rzesze jej młodych czytelników ze zdziwieniem dowiadywały się, że ich ulubiona autorka ma za sobą bujną karierę artystyczną, że była organizatorką niezwykle happeningów w samym sercu Nowego Jorku.

– Kusama jest pogodną starszą panią o dużym poczuciu humoru. Jest w jej oczach jest coś niepokojącego. Jest bardzo wycofana – opowiada Maria Brewińska, specjalistka od sztuki azjatyckiej, kuratorka wystawy Yayoi Kusamy w Zachęcie. Poznała artystkę podczas jednego z pobytów w Tokio. Odwiedziła ją w jej studiu położonym tuż obok zakładu psychiatrycznego, w którym od lat Kusama ma swój pokój. – Ona nigdy nie zgodziła się na psychoterapię. Powtarza często, że to odebrałoby jej zdolność tworzenia.

Kusama ciągle maluje i tworzy instalacje. Coraz trudniej sprostać wzrastającemu zapotrzebowaniu. Popularność książek sprawiła, że Japończycy zainteresowali się także dokonaniem Kusamy w sztuce. W latach 90. nastąpił światowy renesans Yayoi Kusamy. Wystawa w nowojorskim Museum of Modern Art w 1998 roku potwierdziła jej miejsce w historii sztuki. Na progu XXI wieku stwierdzenie, że „słodka Japonczka” mogła dokonać czegoś ważnego, już raczej nikogo nie dziwi. Być może ten brak zdziwienia i uznania dla Kusamy są więc dowodem, że świat mimo wszystko staje się coraz lepszy.

MARCEL ANDINO VELEZ

WYSTAWA W ZACHEĆCIE POTRWA DO 16 MAJA 2004 R.



Świecą czy spadają?

Po tygodniowej w Ojczyźnie nieobecności, doszczętnie wygładniały wiadomości krajowych i ojczystego języka, łapię w drżące dłonie mój ulubiony tygodnik, aby nieszczęsny swój nałóg zaspokoić. Co widzę? Na stronie 53. ktoś publicznie lży Maję Ostaszewską, osobę sympatyczną i pracowitą, wybitną zwłaszcza aktorskiego rzemiosła. Gębę sobie o nią wyciera, ale jakoś podpisać się pod tekstem nie ma odwagi. Siebie zaś tytułuje per „my”, sugerując, iż to jakaś większa niż jeden ilosc ludzi ów pogląd reprezentuje. No, rzeczywiście, pojawiły się na mieście billboardy z Mają Ostaszewską, która beztroskim gestem zarzuca sobie na ramię wieszak, do którego przytroczona jest jakaś gazeta, a właściwie magazyn, i to zupełnie nieszkodliwy, a może nawet pożyteczny, bo można się z niego dowiedzieć, co, gdzie i ile kosztuje. Pewnie „Wy autor” nie za dużo za te swoje teksty zarabiacie, ale żeby ludzi, co

jednak robią czasami zakupy, tak od razu od próżniaków wyzywać? Dlaczego „Wy autor” bielnię damską tudzież codzienny kobiecy trud, aby być piękną, w tak głębokiej macie pogardzie? Tuż obok dostaje się Donaldowi Tuskowi, który też ponoć „SPADA”, bo mu jakieś wiejskie ugrupowanie polityczne zakosiło trzy procent w sondażach, nie za bardzo wiadomo jakich. A ja dopiero co skończyłem lekturę pewnej mocno poczytnej ogólnopolskiej gazety, która na pierwszej stronie donosi, że to właśnie Donald Tusk wyprzedza rywala, i to o pięć procent. Ja rozumiem, że „Wy autor” lubicie, jak słabszy bije mocniejszego, ale żeby tak się zwierzać na całą szpalte ze swoich sympatii, i to jeszcze kosztem szanownej wysokiej figury państwowej? Czy już naprawdę tak trudno jest znaleźć w tym kraju jakiegoś złodzieja, łachudrę, szubrawca albo kłamczucha czy nawet leniucha, co na dobrze płatnym stolku siedzi, i takiego dopiero publicznie obścać i słusznie, siarcząście otrąbić, że SPADA? Sami spadacie, „Wy autor”. Jeżeli myślicie, że świecicie, to się mylicie.

LESZEK MOŹDŻER

Takie już z nas w „P” złośliwe kreatury, że czepiamy się, czego możemy. Lubimy od czasu do czasu postąpić nieco przewrotnie i uznać za „spadającą” osobę, za którą murem zazwyczaj stoimy, ale której coś tam nie wyszło. Właśnie dlatego, że uważamy panią Maję za dobrą aktorkę, osobę sympatyczną i pracowitą, odrobinę jej dogryzamy, bo gremialnie uradziliśmy, że przygoda z „Avanti” do jej

wizerunku nam nie pasuje. Ta sama reguła dotyczy Donalda Tuska. W wojnie z Lepperem Platforma radzi sobie nie najlepiej, stąd tekst o „spadaniu” przewodniczącego. Ale wyciąganie na tej podstawie wniosków o sympatii „P” do Samoobrony to chyba lekka przesada. Co do procentów, to sondaże zmieniają się niemal codziennie, więc będąc tygodnikiem, z przyczyn naturalnych nie jesteśmy w stanie nadążyć za najnowszymi wynikami.

Redakcja

Sprostowania

Książkę Eustachego Rylskiego „Człowiek w cieniu” wydał Świat Książki, a nie – jak napisaliśmy – wydawnictwo Prószyński i S-ka. Za pomyłkę przepraszamy.

Dział kultury „P”

Do mojego ubiegłotygodniowego komentarza na temat eurowyborów wkradł się błąd – odbędą się one oczywiście w czerwcu, a nie w maju. Niecierpliwych wyborców serdecznie przepraszam.

Wawrzyniec Smoczyński

Wyjaśnienie

Wyjaśniamy, że w numerze 14/3067 w materiale „Polaku! Praca czeka pod palmami” na stronie 38. (w lewym górnym rogu) opublikowaliśmy zdjęcie, które przedstawia osobę wycieczkującą, a nie pracującą na Cyprze. Za zaistniałe nieporozumienie przepraszamy wszystkie osoby zainteresowane.

Tomasz Kniolek

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P. 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najstüb

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziołowska, Marcin Sendek, Maria Świątlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcell Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papużyńska (szef), Marcin Fabjański, Joanna Gorzelinska, Dorota Sajnog, Max Suski, Paweł Wieczorek, Michał Wojcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński, Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Loth, Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryna, Bogdan Kręgel (fotograf), Olga Piłsiński, Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej, Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska

EDIPRESSE POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Siatkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Śladnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Borej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Magda Oleńska
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz, Maciej Grelik,
Grażyna Janiak, Anna Maślinska, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 5842-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKLADKA – GALERIE FINE 90 GSM,
PRODUCENT – M-REAL
ŚRODEK – GALERIE BRITE 60 G;
PRODUCENT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMują URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAKS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONICH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADEŚLANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

ANI ONA ANI ON

Szanowany norweski lekarz, który w życiu bywa i mężczyzną (Esbenem Benestadem), i kobietą o dźwięcznym imieniu Esther; drag kings – czyli kobiety wcielające się w mężczyzn; transseksualiści... Wszystkich tych, którzy próbują żyć wbrew normom społecznym, zobaczymy w dokumentalnych i fabularnych filmach pokazywanych w ramach przeglądu „Androgyne”. Warszawski Kino.Lab zaprezentuje dziewięć filmów poświęconych właśnie ludziom przekraczającym granice płci. Jest wśród nich słowacki „Hana i jej bracia” – o gejowskim klubie, do którego trafia nieśmiały, wyobcowany chłopak; „Orlando” Sally Potter – ekranizacja powieści Virginii Woolf, której bohaterem/bohaterką jest nieśmiertelna istota o płynnej tożsamości, a także „Nie czas na lzy”, oparta na faktach historia o nienawiści i odrzuceniu, jakie spotykają dziewczynę czującą, że w jej ciele uwięziony jest mężczyzna. Pokazom filmów towarzyszą warsztaty „Od męskości do kobiecości i z powrotem”. (MASA)

„Androgyne”

„ANDROGYNE”, 22–28 KWIETNIA
KINO.LAB, CENTRUM SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ, WARSZAWA



© MAREK RACZKOWSKI

ZGUBIONY KONIEC

Edward Krasiński nie żyje. PAP napisał, że to wybitny rzeźbiarz. A to był wielki i ostatni awangardzista

Czy mogę dostać kawałek tej niebieskiej taśmy? – pytam córkę Edwarda Krasińskiego Paulinę. Z jej matką Anką Ptaszkowską siedzimy w salonie domu w podwarszawskim Zalesiu. Trwa pierwsza wiosenna burza. Paulina znika na chwilę i wraca z rolką słynnego niebieskiego skoczka. Odcinam kawałeczek i przyklejam na kartce z notatkami. Dziwne. Edward Krasiński od kilku dni nie żyje. A ja właśnie zaznaczyłem jego obecność w moich papierach. Wklejając do nich pasek niebieskiego skoczka, nie wykonałem dzieła sztuki. Ale przecież coś się wydarzyło. Wcześniej przez niemal 40 lat wydarzało się Edwardowi Krasińskiemu. Jak to nazwać?

Język depeszy PAP pozbawiony jest niuansów. „Po długiej chorobie w wieku 79 lat zmarł w Warszawie wybitny rzeźbiarz Edward Krasiński. Był między innymi współzałożycielem słynnej warszawskiej Galerii Foksal”. Dalej stwierdza się, że „tworzył powojenną polską awangardę. Wystawiał w najlepszych galeriach w Polsce i na świecie. (...) Od początku lat 70. znakiem rozpoznawczym artysty była niebieska samoprzylepna taśma, którą umieszczał na ścianach lub obrazach na wysokości 130 centymetrów. (...) Twórczość Krasińskiego była ciągłą, konsekwentną, delikatną interwencją w przestrzeń”. Tyle PAP. Paulina Krasińska puszcza film dokumentalny nakręcony z okazji 70. urodzin ojca. „Co ze mnie za artysta?! Jestem normalny Edzio” – mówi bohater. Anka Ptaszkowska, była żona Krasińskiego, galerzystka i krytyk sztuki, opowiada: – Edzio cały czas flirtował z niesztuką. Mawiał: „Sztuka-śmuka”. Szwajcarski kurator sztuki zapytał raz Edzia, co sądzi o abstrakcji spersonifikowanej. Krasiński odparł: „Wilki sikają, by zaznaczyć swoje terytorium. Ja naklejam taśmę, by zaznaczyć moje”.

Paulina przypomina motto zapisane w pracowni ojca: „Sztuka jest zbyt poważną sprawą, by ją robili artyści”. Nim odkrył pasek, tworzył rzeźby i instalacje podobne do pisania w powietrzu. Nieskończona ilość możliwości poprowadzenia linii. Potem podczas spaceru po Zalesiu zaczął naklejać taśmę. Ożyła. Nie można jej było powstrzymać. Joanna Mytkowska z Fundacji Galerii Foksal zapytała kiedyś Edzia,

SŁYNNY NIEBIESKI PASEK

czy pasek to przymus. Edzio na to: „Pasek jest niezależny od wszystkiego i od wszystkich, od Polski Ludowej, od Solidarności (...). On sobie cieknie wbrew wszystkim... Zapierdala. (...) Pasek jest po to, żeby coś z nim zrobić... Ale nie do mnie należy refleksja. To bardzo miło, że ktoś o mnie (...) napisał”. Napisało wielu. Na przykład Koji Kamoji, artysta i przyjaciel: „Kiedy myślę o niebieskim pasku Edzia, przychodzi mi na myśl Diogenes, który mieszkał w beczce i toczył ten swój dom po ulicach Aten. Czyż niebieski pasek Edzia nie jest podobny do tej beczki albo jej śladu?”.

MARCEL ANDINO-VELEZ



DO BIEGU, GOTOWI, START!

ANDRZEJ SARAMONOWICZ



www.MINI.com.pl



Zdrada żony (Maria Bello) to dopiero pierwszy problem Morta (Johnny Depp)

PISARSKA ZAGŁADKA

•••••
W dziedzinie horrorów Stephen King jest nie tylko królem, lecz także królikiem: rodzi je w miotach

Zlicznej czeredki pomysłów Kinga tylko nieliczne mają przeblysz geniuszu, reszta – w tym „Sekretne okno” – jest mizerna jak twarz Lecha Nikolskiego po imieninach u Marka Wagnera. Wziętego pisarza Morta Raineya (Johnny Depp) poznajemy w chwili, w której nikt nie lubi być poznawany: właśnie znalazł żonę w motelowej pościeli w towarzystwie mężczyzny ani trochę niewyglądającego na geja. Takie sytuacje zawsze się odciskają na ludzkiej psychice, nie inaczej będzie i tym razem.

Pół roku później spotykamy Morta w domku nad jeziorem, gdzie usiłuje przekuć miecze męskich upokorzeń na lemiętwy twórczości pisarskiej. Idzie mu jednak kiepsko, więc większość czasu przesympia. Z rozszpania wyrwa go mało przyjemny jegomość, niejaki Shooter (John Turturro). Oznajmia, że Mort splagiował jego opowiadanie i żąda zadośćuczynienia. Mort uważa te oskarżenia za bezpodstawne, więc wyśmiewa roszczenia Shootera. Lecz wkrótce okazuje się, że lekceważenie przybysza było błędem: wraz z jego przybyciem trupy zaczynają się w filmie mnożyć jak lewicowe formacje na polskiej scenie politycznej. Wszystko przemawia za tym, że biedny pisarz już się z tej matni nie wywinie, lecz oto... (ponieważ tego „lecz oto” i tak nie mogę opisać, przechodzę od razu do następnego akapitu – przyp. A.S.).

W założeniu scenariusza w końcowej części filmu (dla interesujących się budową narracji: w tak zwanym drugim punkcie zwrotnym) intryga powinna się wyrzucić do góry, czyli ujawnić, że zagrożenie – które uosabia tajemniczy Shooter – płynie zupełnie skądinąd. To znaczy teoretycznie

tak być powinno, ale cała tajemnica rozpoznawalna jest dużo wcześniej, bo film jest tak topornie schematyczny, że w jego zawilościach polapałby się nawet niezależny od rozumu poseł Kopczyński.

A skoro już o wielce szanownej komisji mowa, to dodam jedyńcie, że „Sekretne okno” jest równie kuriozalne jak raport Anity Blochowiak: najpierw półtorej godziny kluczenia, tropienia śladów i składania sensów z nonsensów, a potem w finale się okazuje, że pisarz Mort Rainey wysłał się do Agory sam. Czy plagiat? Zostawiam Państwu z tym dylematem.

„SEKRETNE OKNO”,
REŻ. DAVID KOEPP,
USA 2004, UIP,
premiery 16 kwietnia

ODWROTNOŚĆ NUDY

CHAPLIN JAK NOWY



Fot. BETTMAN/CORBIS/FREE

Bez plam, kropek, zadrapań i rys – przez najbliższe miesiące telewizyjny kanał „Ale kino!” będzie pokazywał odrestaurowane, poddane solidnej renowacji filmy Charliego Chaplina. Do lipca będzie można zobaczyć „Gorączkę złota” (ulubiony film samego Chaplina), „Światła wielkiego miasta”, „Dzisiejsze czasy” i „Dyktatora”. Poza tym „Ale kino!” wyemituje fabularną opowieść o życiu Charliego, zrealizowaną z wielkim rozmachem przez sir Richarda Attenborough (z Robertem Downeyem Jr. w głównej roli) i pełnometrażowy dokument o fenomenie tego jedyne w swoim rodzaju artysty, jego

kinie i życiu. Kanał „Ale kino!” rozpoczyna „Chaplinadę” 16 kwietnia (o 20.00) pokazana zostanie „Gorączka złota”, o 21.20 „Chaplin”, w dniu 115. urodzin Chaplina i 5. urodzin kanału. (MASA)

•••••○
Subtelna historia o tym, jak kończą się bajki

„BYĆ I MIEĆ”,
REŻ. NICOLAS PHILIBERT,
Francja, 2002, Gutek Film,
premiery 16 kwietnia



Na myśl o tym, co może zrobić miła staruszka, Drew Barrymore włos się jeży na głowie

Fot. SPI

ALE ŚMIESZNE

•••••○
Komedia, którą chciałoby się pociąć, podpalić i rozjechać walcem

„STARSZA PANI MUSI ZNIKNAĆ”,
REŻ. DANNY DEVITO,
USA 2003, SPI,
premiery 16 kwietnia

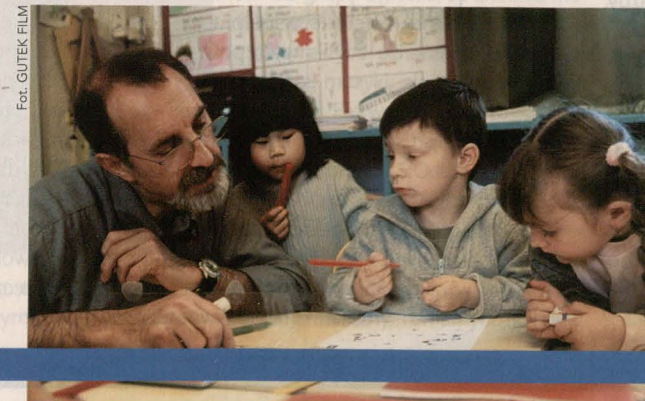
Są wścibscy, chorobliwie podejrzliwi albo zwyczajnie szaleni. Podglądają cię, spiskują, nocami stukają w rury, każą ściszyć muzykę, ale sami mają telewizor włączony na cały regulator... Tacy są zdaniem filmowców sąsiedzi i taka jest również wiekowa pani Connelly (Eileen Essen). Do domu, w którym mieszka, sprowadza się młode małżeństwo (Drew Barrymore i Ben Stiller), pewne, że znalazło gniazdko swoich marzeń. Jedyńcem problemem okazuje się właśnie poczwiwa na pierwszy rzut oka staruszka, która doprowadza bohaterów do skrajnego załamania nerwowego.

W swoich komediach (na przykład „Wojnie państwa Rose”) Danny DeVito z sady-styczną niemal przyjemnością destrukuje uło-

żony, słodki, żywce wyjęty z katalogu świat przedstawicieli klasy średniej. To samo próbuje zrobić i w filmie „Starsza pani musi zniknąć”, starając się pokazać, jak uroczę, zarówno młode małżeństwo przeistacza się w parę dyszących nienawiścią i chęcią odwetu potworów. Niestety, tym razem DeVito stara się jakoś kiepsko – film jest boleśnie przewidywalny i całkowicie letni, a jego humor nie czarny, lecz co najwyżej szary. Koniec końców „Starsza pani...” jest jak owo małżeństwo: milusia, uładzona i gruczna. I to tak bardzo, że człowiek ma ochotę wykraść z kina taśmę i... podeptać ją..., pociąć na drobne kawałeczki..., oblać kwasem..., podpalić..., a na koniec rozjechać walcem!

MALGORZATA SADOWSKA

LEKCJA MIŁOŚCI I LEKCJA MAŁOŚCI



Fot. GUTTEK FILM

Kamera Philiberta przez rok śledziła ten proces wychowawczy. Z bliska, lecz nie-nachalnie. Dyskretnie wtopiła się w otoczenie, oswoiła dzieci ze swoją obecnością, co pozwoliło ocalić naturalność ich zachowań, wzruszającą nieporadność pierwszych kłamstw, pierwszych zachwy-tów i małych dramatów. Dawno temu w Polsce z podobnym wyczuciem umiał pokazywać dziecięce sprawy w swych filmach fabularnych zapomniany nieco Janusz Nasfeter.

Subtelne i nieefektywne dzieło Philiberta, jakże odległe od natarczywej demagogii dokumentów Michaela Moore'a, zrobiło we Francji zadziwiającą karierę. Obejrzało je ponad dwa miliony widzów. Niestety, po raz kolejny okazało się przy tym, że nie należy wierzyć ani w kino, ani w baśnię. Czarodziej Lopez wytoczył twórcom proces o eksploatację jego wizerunku i zażądał 250 tysięcy euro z zysków, które przyniósł film. Nie ma się co dziwić – już tytuł wskazuje, że „być i mieć” to czasowniki równorzędne.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

ROCK PO BÓLU

●●●○○○
Z piekła choroby nowotworowej wróciła jeszcze silniejsza

W filigranowym ciele Anastacii wciąż drzemie jej największy atut – mocarny głos właściwy raczej czarnoskórym diwom o rubensowskich kształtach. Tu ze swoich soulowych talentów robi jednak mniejszy użytek niż dotychczas. Już singlowe „Left Outside Alone” to rockowo zorientowany hit, pod którym z czystym sumieniem mogłaby



Fot. BOGDAN KRZEL

Fot. SONY



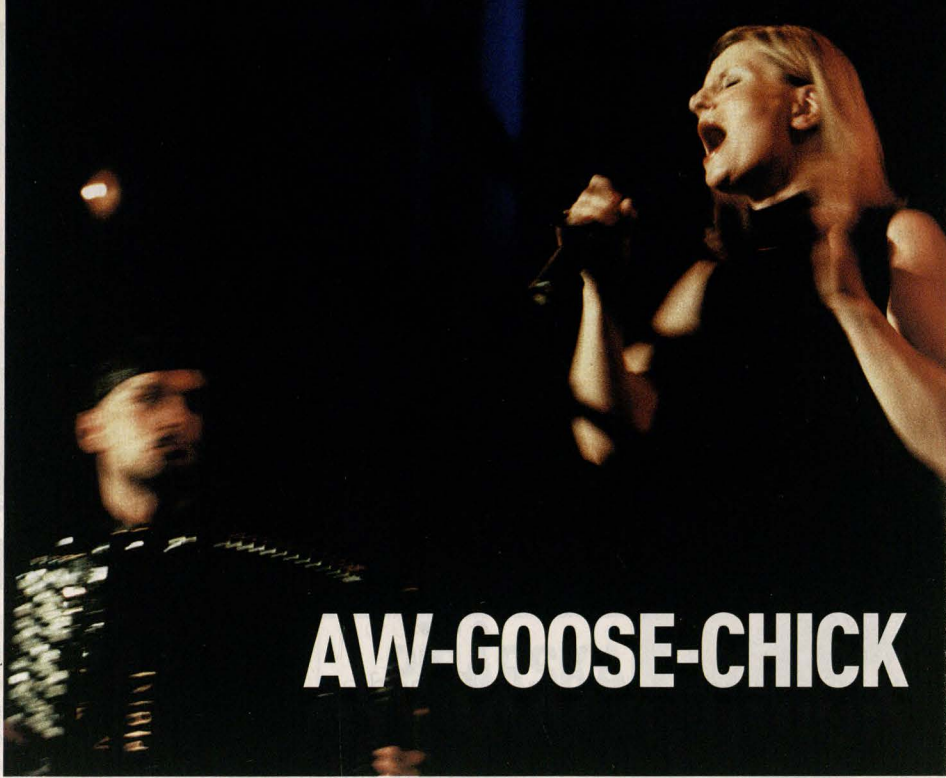
się podpisać chociażby sensacją ubiegłego roku, zespół Evanesence. To właśnie do wtóru gitarowych riffów snuje Anastacia pełną bólu i cierpienia opowieść o trudach rocznej walki z rakiem piersi. Raczej gniewnie i przez zaciśnięte zęby niż ze sztucznym uśmiechem popowej gwiazdy. Dzielnie, odważnie i z nadzieją.
BARTEK WINCZEWSKI

LUDZIE Z METALU

●●●○○○
Trudno uwierzyć, że Dave Grohl przez lata tkwił w cieniu Cobaina. Po zakończeniu działalności Nirvany ten perkusista szybko zaczął własną karierę i odniósł



sukces na czele Foo Fighters. Teraz zbliża się 10. rocznica jego solowej obecności na scenie. Postanowił ją uczcić, składając hold swoim idolom. Do nagrania płyty „Probot” zaprosił między innymi Lenny’ego (Motörhead), Maksę Cavalerę (Sepultura), Cronosa (Venom) i Kinga Diamonda. Skomponował im heavymetalowe utwory i nagrał wszystkie instrumenty! To gratka dla fanów naprawdę mocnego grania. (JAS)



AW-GOOSE-CHICK

Jest okazja, by poznać naszą najlepszą wokalistkę jazzową. Bo **Grażyna Auguścik** do Polski przyjeżdża tylko na koncerty

W amerykańskich rozgłoszeniach radiowych mówią: „Jej głos jest jak fajerwerki... Piosenki mają delikatną elegancję, a ich siłę można poczuć bez podkręcania głośności”. W Polsce czytelnicy „Jazz Forum” uznali Grażynę Auguścik za najlepszą wokalistkę. Sama przyznaje, że w Stanach nie jest gwiazdą na miarę Pata Metheny’ego czy Cassidy Wilson, ale ma swoje miejsce na scenie jazzowej. Od 10 lat mieszka w Chicago, współpracuje z muzykami, którzy występowali z Patricią Barber i Alem DiMeolą. Dużo czasu spędza w trasach po Stanach, Europie i Azji. Działa niezależnie – sama produkuje i wydaje płyty, dba o promocję i koncerty. – Ameryka nauczyła mnie dyscypliny – mówi „Przekrojowi”. – Pozwoliła mi również uwierzyć, że rzeczy niemożliwe są możliwe. swoją rodzimą muzykę – mówi. – Niestety, my słabiej znamy swoje tradycje. Niewiele nam przekazano oprócz kilku starych piosenek ludowych śpiewanych przy ognisku, później na prywatkach, a w ostatniej dekadzie sponiewieranych przez disco polo. Na płycie „Past Forward” połowę utworów skomponowała w oparciu o nasze piosenki folkowe. Amerykański skład wsparł akordeonista Jarek Bester (Crawcow Klezmer Band). W kwietniu Auguścik przyjedzie do Polski promować ten album. Teraz pracuje już nad kolejnymi projektami. Jej ostatnie fascynacje? Björk, Radiohead i Amon Tobin. Auguścik jest absolwentką Państwowej Szkoły Muzycznej w Słupsku. Współpracowała z tamtejszymi jazzmanami do czasu debiutu na opolskiej scenie w 1979 roku (wygrała w koncer-

Pobyt w Stanach pozwolił Grażynie Auguścik (dla Amerykanów wokalistka proponuje wymowę: „Aw-goose-chick”) poszerzyć zainteresowania muzyczne. Choć kojarzona jest głównie ze środowiskiem jazzowym, jej muzykę określa się raczej jako jazz z elementami muzyki etnicznej. – Zadzroszczę kolegom z Ameryki Południowej, Afryki, Azji, którzy są rzeczywiście dumni i kochają

JACEK SKOLIMOWSKI

GRAŻYNA AUGUŚCIK QUINTET I JAREK BESTER, **21.04 POZNAŃ, BLUE NOTE, 22.04 KATOWICE, JAZZ CLUB HIPNOZA, 23.04 BIELSKO-BIAŁA, BIELSKIE CENTRUM KULTURY, 24.04 OSTRÓW WIELKOPOLSKI, MUZEUM MIASTA, 25.04 WARSZAWA, PR III, STUDIO IM. A. OSIECKIEJ**

TYLKO KAMELEON

●●●○○○
Brak pokory i własnego repertuaru. Poza tym zdolny i zdrowy

36-letni krakowski talent piosenki (I miejsce zeszłorocznego Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu) zebrał piosenki różnych autorów, które miał w repertuarze, i zlepił w jeden show z kompletnie niepotrzebną – bo sztucznie dopisaną – fabułą. Radek ma wiele cech wybitnego wokalisty i jeden grzech na sumieniu: popisuje się. Usiłuje na przykład śpiewać Björk wyżej niż sama Björk. Może to parodia, ale niezbyt czytelna, bo zamiast wyśmiewać oryginał, sama siebie wyśmiewa. Podobnie śmieszna – jak sądzę – miała być w zamysle piosenka Niny Hagen. Wyszło kuriozalnie. Najgorzej z piosenkami zespołu The Tiger Lillies – bo to grupa o tak kompletnym i osobnym stylu, że robienie z niego własnego show musi się skończyć fiaskiem. To tak, jakby zamiast w kinie zamiast zagrać Dymę – zagrać Pazurę albo Wilhelmięgo. Zostają tylko drażniące popisy kontratenora. Za to dobrze wypadła Radek w swojej flagowej piosence „W twoich doskonałych palcach”, gdzie kolejno świetnie udaje Niemen i Cugowskiego. Problem w tym, że Niemen nie żyje, więc



JANUSZ RADEK „KRÓLOWA NOCY”, Magic Records



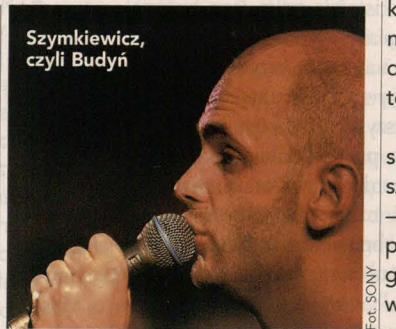
śmiałem się półgębkiem – tylko z Cugowskiego. Robi też wrażenie jego wersja „Boskiego Buenos” Maanamu. Udawać Radek potrafi. Kłopot z doborem materiału i z tym, czy ten człowiek ma pomysł na siebie. Z „Królowej nocy” jeszcze tego nie wiemy.
BARTEK CHACIŃSKI

BUDYŃ ABSURDU

●●●○○○
Przestępcza muzyka dla otwartych inteligentnych głów

Szymkiewicz, czyli Budyń

Podpierać się skandalem medialnym, krzywym ch..., kontaktem



homoseksualnym (...), żeby tylko utrzymać się na tak zwanym topie...” – śpiewa na swojej solowej płycie Jacek Szymkiewicz. Na szczęście nie taką drogę do kariery obrał sobie w grupie Pogodno. Dobre płyty i żywiołowe



BUDYŃ „KILOF”, Sony

koncerty uczyniły z niej zjawisko na polskiej scenie niezależnej. Niedawno grupa ogłosiła, że zmienia metody działania na „przestępcze”. W praktyce oznacza to więcej absurdalnej muzyki, ale już pod nowymi szyldami. Pierwszy efekt to „Kilof” – najzabawniejsza i najinteligentniejsza płyta od czasu „P.O.L.O.V.I.R.U.S.A.” grupy Kury. Szymkiewicz bawi się tu wszelkimi stylizacjami. Jest wyjątkowo gadatliwy, a żywe melodeklamacje obraca to w śpiew, to w rapowanie. Bywa jarmarczny, romantyczny, inteli-

gencki, ale na pewno nie pretensjonalny. Najważniejsze, że nie uprawia tylko pastiszu, lecz wykorzystuje humorystyczną konwencję do tworzenia własnego barwnego stylu.
JACEK SKOLIMOWSKI

MUZYKA TOTALNA

Jedna z najciekawszych polskich grup niezależnych wraca w nowej formie! Jak twierdzą byli członkowie formacji Kobong, jej formuła wyczerpała się i po odejściu gitarzysty Roberta Sadowskiego rok temu powrócili na scenę pod szyldem Neuma. – Muzyka jest prostsza, bardziej korzenna, wolniejsza i bardziej totalna niż Kobong – mówi basista Neumy Bogdan Kondracki, który współpracuje też ze Smolikiem i Anią Dąbrowską. W tym miesiącu Neuma wraz z grupą Moja Adrenalina przetoczą się ze swoją ciężką muzyką po Polsce! (JAS)
Neuma, Moja Adrenalina – 16.04 Warszawa, CDQ, 17.04 Lublin, Chatka Żaka, 18.04 Zamość, Stara Brama, 19.04 Mielec, Night Club, 20.04 Rzeszów, Trygon, 21.04 Zakopane, Ampstrong, 22.04 Katowice, Mega Club, 23.04 Kraków, Strefa 22, 24.04 Opole, MOK, 25.04 Wrocław, Kolor, 26.04 Zielona Góra, 4 Róże dla Lucienne, 27.04 Głogów, Mayday, 28.04 Bydgoszcz, Mózg, 29.04 Poznań, U Bazyla, 30.04 Szczecin, Kontrasty, 1.05 Toruń, Bunkier, 2.05 Olsztyn, X, 3.05 Białystok, Fabryka

KAMERALNE TANGO

Gdy mówimy „bandoneon”, myślimy „Argentyna i tango”. I choć fenomenalny Argentyńczyk Timoteo „Dino” Saluzzi spełnia ten postulat, robi wszystko, by nie dać się w ten łatwy schemat zamknąć. Od początku międzynarodowej kariery, czyli od 1982 roku, Saluzzi, wykształcony kompozytor i wirtuoz, swymi występami raduje poszukiwaczy jazzowej synkopy, rdzennego tanga, stratosferycznej ulotności i romantycznego nastroju. Temu ostatniemu 69-letni muzyk przyznaje najważniejszą rolę. Nie ma w sobie ducha rebelii, jaką wzniesił swego czasu Astor Piazzolla, jednak dzięki własnej konsekwencji zdołał wyhodować zupełnie nowy pęd w bogatym ogrodzie tanga. Może to już zresztą nie jest tango. Może współczesna muzyka kameralna. A może po prostu Saluzzi. (FILO)
Dino Saluzzi Trio, 22.04 Szczecin, Filharmonia

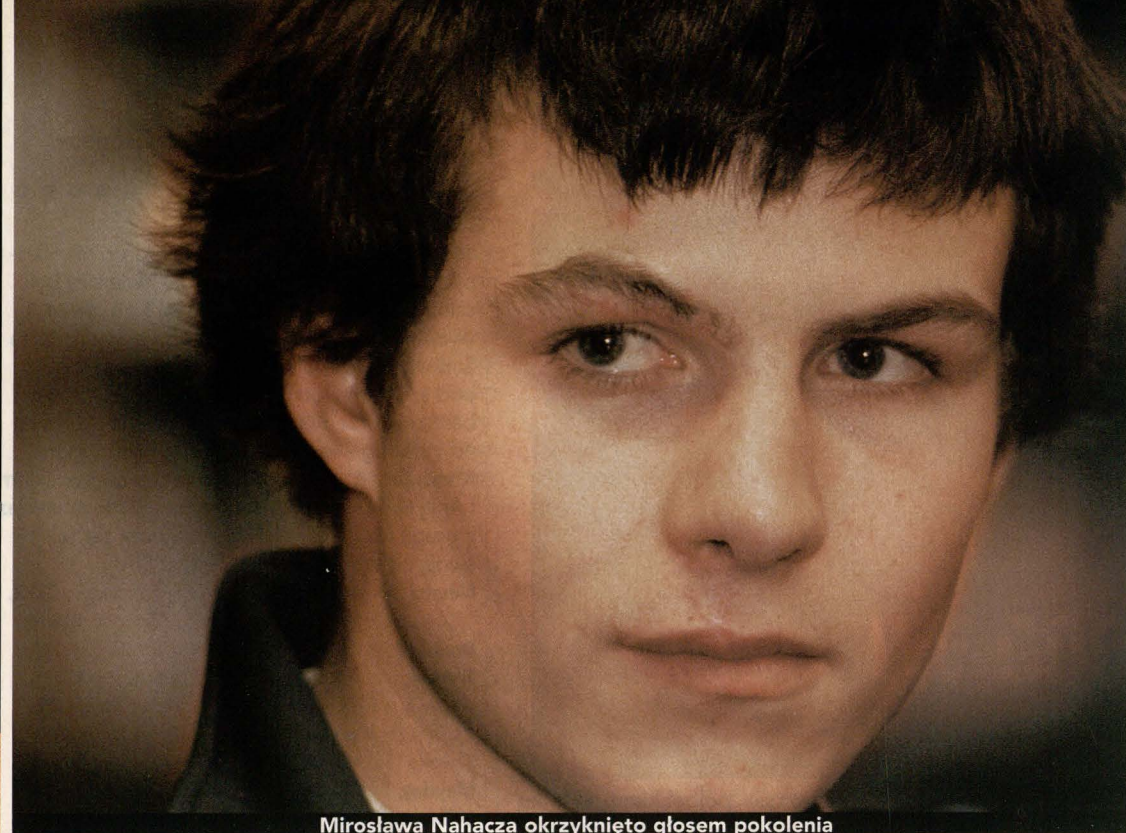
DIDŻEJ AUTORYTET

Didżeje mają swoich guru, choćby Gillesa Petersona i LTJ Bukema. A ci guru z kolei jako faworyta wymieniają Niemca Rainera Trüby’ego. To on odkrył na nowo dla europejskich klubów muzykę brazylijską, promował jazz i uparcie przywracał melodię i harmonię bezdusznej w latach 90. muzyce tanecznej. Można usłyszeć, co lubi, na jego serii kompilacji „Glücklich”. Teraz zagra w Polsce, w towarzystwie grupy czarnoskórych tancerzy z Londynu. (BACH)
Rainer Trüby, Niewinni Czarodzieje, 16.04 Warszawa, Zoo, 17.04 Kraków, Prozac

JESTEŚ PORUSZONY? DO BIEGU, GOTOWI, START! www.MINI.com.pl



ODWROTNOŚĆ NUDY



Mirosława Nahacza okrzyknięto głosem pokolenia

FOT. KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI/FORUM

STRZYKAWKA PEŁNA MLEKA

●●●○○○
Drua powieść Mirosława Nahacza jest dobrze napisana. Szkoda, że nie całkiem własnym stylem

Mirosław Nahacz to drugie obok Doroty Masłowskiej najbardziej znane nazwisko młodej polskiej prozy. Jego debiut „84” okrzyknięto w zeszłym roku głosem pokolenia, jego twarz patrzyła z okładek pism dla młodzieży. Krążyły legendy o tym, jak to w Wołowcu u Moniki Sznajderman i Andrzeja Stasiuka pojawił się 18-latek z plecaczkiem (czy chlebaczkciem), z którego wypadły zapisane kartki – to była jego debiutancka książka. Stasiukowie się zachwycili. Powieść stała się modna, choć można było gdzieś usłyszeć, że przypomina stylem Stasiuka, tyle że napisał ją ktoś bez jego doświadczeń.

Bardzo szybko młody autor wydał drugą powieść „Bombel”, która właśnie trafiła do księgarń. Mówi się, że druga książka pokazuje możliwości autora. Można już spać spokojnie, w tym wypadku jest lepsza niż debiut, Nahaczowi nie można odmówić sluchu literackiego

mu się tylko konik i wóz drabiniasty, który przechowuje u kumpla.

Nieważne zresztą, kim jest Bombel – to po prostu człowiek zawieszony pomiędzy ziemią i niebem, trzymający się przy życiu tylko dzięki snutom opowieściom. Właściwie samego Bombla nie ma – istnieją tylko jego historie. Na przemian ogarnia go wzruszenie, widzi Najświętszą Panienkę i anielskie kształty kobiet albo wybucha agresją – jak to w upojeniu alkoholowym bywa. I wszystko jest pięknie i ładnie. Kosmos, człowiek, pustka. Tylko jakoś wszystko u Nahacza za bardzo przypomina innych autorów. Miejscami czule alkoholowa gawęda Bombla mocno pobrzmiwa Hrabalem. Takich bohaterów jak Bombel znamy choćby z „Opowieści galicyjskich” Stasiuka i z „Domu dziennego, domu nocnego” Tokarczuk. Przy czym żule Stasiuka i dziwne istoty na pograniczu człowieka i upiora u Tokarczuk miały w sobie



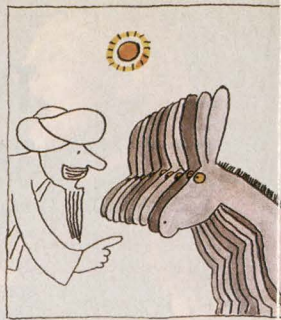
MIROSLAW NAHACZ „BOMBEL”, CZARNE, WOŁOWIEC 2004

– to książka dobrze napisana, która może się podobać.

Bombel jest żulem ze wsi na granicy polsko-słowackiej (okolice Wołowca). Siedzi na ławce na przystanku i monologuje. Nie ma aktualnie na wisko krajowej produkcji, więc zabawia siebie i nieistniejącą publiczność opowieściami: a to o wyprawie z kolegą Pietrikiem na Słowację do Cyganów, a to o przygodzie z rybami, a to o wyprawach do miasta na melinę. Niewiele wiemy o jego życiu – mówi, że jest „opóźniony” i dostaje rentę. Komomik zabrał mu już niemal wszystko, ostał

jednak więcej życia. Nawet metaforyka bardzo przypomina Stasiukową: „Wygłada na to, że ten sławny prawosławny Bóg wbił wielką strzykawkę pełną mleka w powietrze i teraz szprycuje je powoli, bo robi się jaśniej i bardziej lepko”. W książkach Stasiuka objawiała się czytelnikowi pełna wizja świata, oparta na walce światła i ciemności. Tutaj pozostały z niej tylko metafory. I to przeszkadza. Mam nadzieję, że już za chwilę, przy następnej książce, Nahacz przemówi własnym głosem. Na to czekam.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



NASREDDIN POD RĘKĘ Z BUTENKĄ

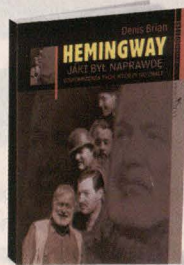
Dalekie są kraje i bliskie są kraje, Gdzie Dżamble pędzą życie, Zielone głowy mają, niebieskie ręce mają, I po morzu pływają w sicie”. Pamiętacie Dżamble? A Donga, co ma świecę nos? A Tomka Piegusa albo Kapiszona? Tym razem Bohdan Butenko ilustruje książeczkę dla nieco starszych czytelników. Uroczy, pięknie wydany zbiór opowieści o XIII mędrca, profesorze teologii i prawa. Choć mądrość i sprawiedliwość nie zawsze chodzą w parze, w przypadku hodźy Nasreddina należy dodać jeszcze niezwykle poczucie humoru. Przewrotne, momentami surrealistyczne opowiadki śmieszają, zaskakują, poprawiają nastój. Jak choćby powiedzenie hodźy: „Gdybym wiedział, ile jest dwa plus dwa – rzekłbym: cztery!”. (PIO)

mu się tylko konik i wóz drabiniasty, który przechowuje u kumpla.

Idries Shah „FORTELE NIEMIARYGODNEGO HODŻY NASREDDINA”, ILUSTRACJE BOHDAN BUTENKO, PRZEŁ. PIOTR ŁASKOWSKI, SEBASTIAN MATUSZEWSKI, Drzewo Babel, Warszawa 2004

PATCHWORK Z HEMINGWAYA

●●●○○○
Pomysł był prosty: pogadać ze wszystkimi, którzy mieli coś wspólnego z pisarzem. Wyszedł frankenstein



DENIS BRIAN „HEMINGWAY, JAKI BYŁ NAPRAWDĘ. WSPOMNIENIA TYCH, CO GO ZNALI”, PRZEŁ. MAGDALENA SŁYSZ, Twój Styl, Warszawa 2004

O życiu i piarstwie Hemingwaya powstało mnóstwo biografii i monografii, często sprzecznych; Denis Brian postanowił wszystkich pogodzić. Recepta zdawała się oczywista: spisać i opracować „wspomnienia tych, którzy go znali”. Trudno o efektywniejszy materiał do obróbki. Najslyniejszy chyba pisarz XX wieku, wynalazca „stylu Hemingwayowskiego” (podobno „Starego człowieka i morze”, za którego dostał Nobla, przepisywał 200 razy, żeby osiągnąć krystaliczną prostotę), był już za życia legendą. Brauwrowy żołnierz I wojny i korespondent z hiszpańskiej wojny domowej w 1937 roku. Myśliwy z afrykańskich safari. Miłośnik i znawca corrido. Żeglarz, rybak, szpieg wojenny, bokser amator. Entuzjasta kobiet, choć tylko z czterema się ożenił. Mieszkaniec dwóch kontynentów i kilku krajów, w tym jednej wyspy – Kuby. Pod koniec życia alkoholik cierpiący na depresję maniakalną, zabił się strzałem w usta. To tylko najbardziej wyraziste elementy biografii. Jak sobie z tym wszystkim poradzić? Pomysł Briana zdawał się optymalny. Ilu rozmówców – tyle punktów widzenia. Cel: maksymalna obiektywność. Efekt wyszedł co najmniej dwuznaczny. Wielość zdań powoduje, że mamy bardziej skompliko-

SPOKÓJ PRZED KOŃCEM

●●●●●○
Jedna z najważniejszych i najpiękniejszych książek o Holocaustie wreszcie po polsku



AHARON APPELFELD „BADENHEIM 1939”, PRZEŁ. HENRYK SZAFIR, W.A.B., Warszawa 2004

Austriacki kurort Baden-heim w 1939 roku. Za chwilę zaczną się wywózki Żydów. Mniej więcej wiadomo, czego możemy się po takiej książce spodziewać. Ta powieść jednak mnie zaskoczyła. „Badenheim 1939” to jedna z najważniejszych książek dotyczących Holocaustu – niepisząca o nim wprost. Powinna, bez dwóch zdań, znaleźć się wśród szkolnych lektur. Appelfeld jest bardzo oszczędny

w środkach, a jednocześnie szczegółowo rejestruje codzienne zdarzenia: pisze dużo o pogodzie, o nastrojach ludzi. Opowieść toczy się powoli i spokojnie. Ten spokój kontrastuje z naszą wiedzą. Bohaterowie niczego się nie spodziewają, ale jednocześnie, nie-

świadomi, jakoś odczuwają nadciągającą groźbę. Kurort znany z festiwali muzycznych przygotowuje się do sezonu letniego. Doktor Pappenheim dwoi się i troi, żeby sprowadzić artystów. Pewnego dnia wydział sanitarny każe wszystkim Żydom się zarejestrować. Niedługo później miasteczko zostaje zamknięte. Goście hotelowi, kuracjusze sanatorium, artyści sprowadzeni z Wiednia mają wyjechać

cie. Powoli, w miarę normalnie upływają dni. Ale tak naprawdę miasteczko ogarnia szaleństwo – to, co niewypowiedziane, ujawnia się w snach, atakach lęku. Ludzie kradną leki i zastawy, muzycy ćwiczą całymi dniami. Ktoś spotyka wielką miłość, ktoś znika, ktoś pije bez umiaru. Trwa święto przed końcem świata. Appelfeld uważnie i z czułością opisuje swoje postaci: piekarz nie rozmawia z impresariem, żona profesora zdradza męża,

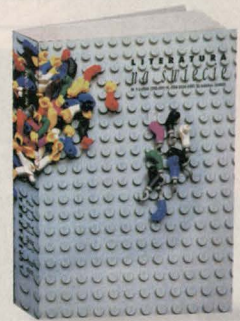
do Polski. – Warszawa to wspaniałe miasto – mówią. – Język polski jest bardzo piękny, a publiczność świetnie słucha muzyki – pocieszają się muzycy. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się stary rabin. Społeczność zaczyna uczyć się jidysz. Liczy, że rozpocznie w Polsce nowe ży-

dwie prostytutki plotkują. W ostatniej scenie, w drodze na stację, nagle wybucha słońce – jak znak błogosławieństwa. W tle widać bydłące wagony. „Znaczy się droga nie będzie daleka!” – cieszą się. Łzy przelotnie mi ostatnie zdania.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

OBÓZ DO SKŁADANIA

Kiedy Zbigniew Libera w 1997 roku pokazał swoją pracę „LEGO: Obóz Koncentracyjny”, wywołał protesty i zgorszenie. Pokazać Holocaust jako zabawę? W najnowszym, „holocaustowym” numerze „Literatury na Świecie” przeczytamy między innymi o artystach, którzy podobnie jak Libera pokazują Holocaust jako grę czy zabawę. To drugie i trzecie pokolenie samo nie przeżyło wojny. Natomiast zaznało nudy i zniechęcenia, kiedy w dzieciństwie i młodości słuchało o Holocaustie. Szkoła potrafiła znieczulić obrazami podniosłej tragedii. Libera i inni zmuszają do nowego spojrzenia: sam zbuduj sobie obóz! Albo – jak Ram Katzir – pokoloruj obrazki zrobione ze zdjęć nazistowskich! Od-



biorcy tej sztuki stają się sami oprawcami. W ten

sposób Holocaust przestaje być tylko historią, a my nagle musimy osobiście się z nim zmierzyć. (JS)

„LITERATURA NA ŚWIECIE” (NR 1-2/2004)



OTWARTY NA WYZWANIA



JESTEŚ PORUŠONY?



www.MINI.com.pl

POJEDŹ Z WOJCIECHOWSKĄ



Znakomita gra rajdowa. I, co istotne, znacznie tańsza niż podrasowane Mitsubishi Lancer Evolution lub Subaru Impreza. 24 świetnie wymodelowane wozy do wyboru, z napędem na dwa lub cztery koła. 34 rodzaje nawierzchni. 19 rodzajów opon. Duże możliwości przygotowania wozu na konkretną trasę. Wpływ kolizji na model jazdy. Pięciu pilotów do wyboru, między innymi Martyna Wojciechowska i Krzysztof Hołowczyc. Możliwość gry w Sieci. I dużo, dużo innych zalet. Zdeklarowani miłośnicy samochodowych rajdów po leśnych drogach, pustyniach, górskich serpentynach lub wśród śnieżnych zasp powinni być w siódmym niebie. Amatorzy, co wiem z autopsji, także mają szansę nie najgorzej się bawić. Pod warunkiem że pokornie zaakceptują swą, ujmując rzecz delikatnie, ograniczoną doskonałość. Na rowerze jest jednak łatwiej.

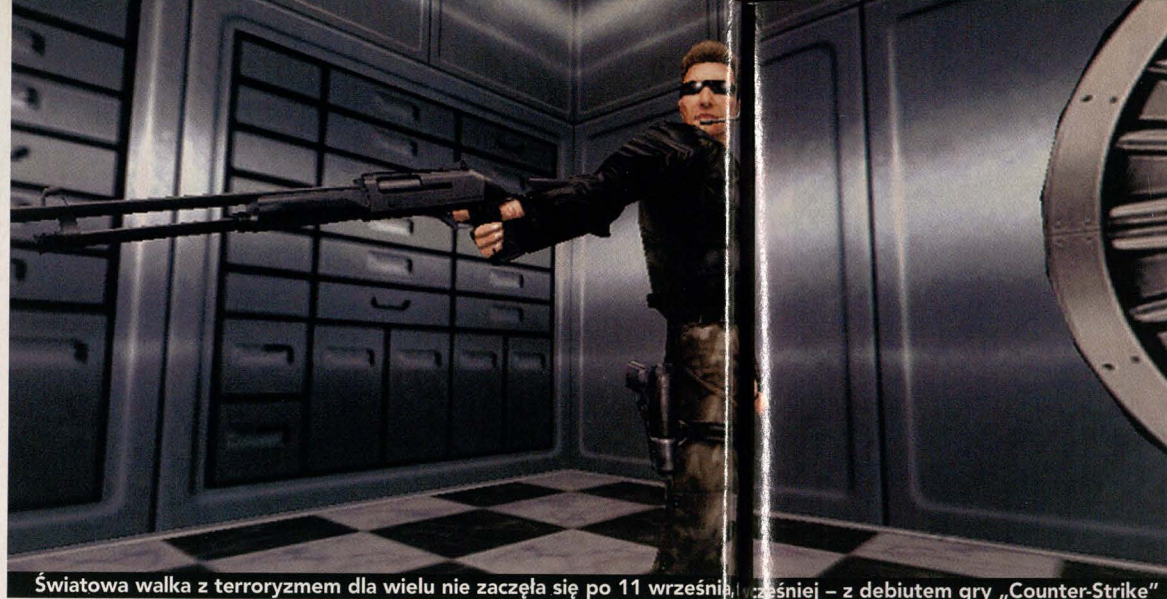
„COLIN MCRAE RALLY 4”, Codemasters, dystr. CD Projekt, PC, PS2

DO PRZEGRZANIA MOZGU



Sympatyczna, zajmująca i irytująca zarazem gra przygodowa z ładną komiksową kreską. Główny bohater przypomina Dustina Hoffmana w „Maratończyku”, wijącego się na fotelu dentystycznym pod wiertłem oprawcy i pytaniem: „Czy jest bezpiecznie?”. Też ni cholery nie wie, w jaką grę jest wplątany, dlaczego mafia chce go zabić. Gdy rozwikłamy kolejne zagadki, chłopak dowie się wszystkiego. Wiąże się to z mozolnym przeszukiwaniem myszką planszy w poszukiwaniu przedmiotów, które będzie można do czegoś wykorzystać. Poza tym gra jest porządnie skonstruowana i szare komórki aż czerwienieją z wysiłku – lub z zadowolenia, że znalazły rozwiązanie.

„RUNAWAY: A ROAD ADVENTURE”, Pendulo, dystr. TopWare, PC



Światowa walka z terroryzmem dla wielu nie zaczęła się po 11 września, wcześniej – z debiutem gry „Counter-Strike”

GRA W DWÓJNIE

„Counter-Strike” to fenomen: międzynarodowe braterstwo broni, które zrewolucjonizowało rozgrywki prowadzone przez Internet

Wraz z kolegami z jednostki antyterrorystycznej biegnę w stronę budynku u podnóża skał. Mamy uwolnić czterech zakładników. Rzucam granat dymny, by bezpieczniej przebyć otwartą przestrzeń. Suchy kaszel kałazników. Ktoś obok mnie ciężko upada na piasek. Otwieram drzwi. Kolega wrzuca granat błyskowy – zaczepny mógłby zranić zakładników. Padają ciała. Wybiegam tylnym wyjściem. Po celnym strzale snajpera odpadam z rozgrywki. Oglądam ją teraz jako bierny obserwator, wymieniając się w trybie tekstowym komentarzami z innymi „poległymi” kolegami.

Tę walkę stoczyłem wczoraj. W domowym gabinecie, w spokojnych Kaniach Helenowskich, popijając herbatę. W starciach brali udział Niemcy, Holendrzy, Belg i Szwed. Spotkaliśmy się na jednym z serwerów obsługujących grę „Counter-Strike: Condition Zero”. Dla takich jak my 1 maja niewiele zmieni. W świecie internetowych potyczek granice nie istniały nigdy. Braterstwo – od zawsze.

„Counter-Strike”, najpopularniejsza drużynowa gra sieciowa, zadebiutowała w Internecie 19 czerwca 1999 r. i ma się coraz lepiej. Stworzyli ją amatorzy-pasjonaci, których nie

interesowały zyski. Gooseman i Cliffe wykrzystalili w „Counter-Strike’u” kod znakomitej gry „Half-Life”, dzięki czemu każdy posiadacz „Half-Life’a” i dostępu do Sieci mógł grać w „C-S” za darmo.

Najpopularniejsze tryby rozgrywki polegają na uwolnieniu zakładników („antyterrorystów”) lub podłożeniu bomby w jednym z wyznaczonych miejsc („terrorystów”). Przeciwnik ma do tego nie dopuścić. Gra ma niezwykłą dynamikę i tylko na pozór jest bezmyślną strzelaniną. Klucz do sukcesu to bowiem tak-

tyka i koordynacja działań. Ważne są poświęcenie, odpowiedzialność i pewność, że można polegać na innych. Nic dziwnego, że przyjaźnie nawiązane w Sieci często przeradzają się w przyjaźnie w prawdziwym życiu. „C-S” integruje. Wśród polskich klanów – tak w „C-S” nazywa się drużyny, podkreślając wartość silnych, plemiennych więzi – są i takie, gdzie obok siebie grają tata, syn i córka, 15-latek i brzuchaty pan po pięćdziesiątce, nauczyciel i jego uczeń.

„C-S” to dziś także biznes. Cyberathlete Professional League organizuje turnieje, w których biorą udział drużyny z całego świata. Wiele klanów składa się dziś z zawodowców sponsorowanych przez wielkie firmy. Samsung organizuje nawet własne zawody World Cyber Games – rok temu w Paryżu obserwowałem zdumiony, jak w europejskich eliminacjach „C-S” biorą udział klany złożone wyłącznie z dziewcząt.

Nowa odsłona gry „Counter-Strike: Condition Zero” pozwala także na potyczki poza Siecią, z towarzyszącymi i przeciwnikami sterowanymi sztuczną inteligencją – botami. Są one skonstruowane rewelacyjnie, ich zachowania często do złudzenia przy-

pominają ludzkie. Gdyby Alan Turing za kryterium człowieczeństwa uznał zdolność nie do prowadzenia rozmowy, ale do wiarygodnych zachowań kolektywnych, boty z „C-S: CZ” miałyby szansę przetrwać ów test. Nic jednak nie zastąpi świadomości, że rywalizujemy z prawdziwymi przeciwnikami. To te same emocje, które towarzyszą sportowej grze w dwa ognie. Problem w tym, że od „Counter-Strike’a” nie maleje brzuszek. Przyznam z zakłopotaniem, że wręcz przeciwnie.

NIE PIERWSZA WOJNA

Strategia militarna rozgrywana w czasie rzeczywistym, w której świeży wydaje się jedynie pomysł wykorzystania dekoracji z teatru działań I wojny światowej. „World War I: Battlefields” przypomina dziesiątki innych gier z tej kategorii. Podobno, w co wierzę z trudem, w jednej bitwie może



brać udział nawet tysięcy jednostek z każdej armii. To by już były tysiące dwa. Gdyby nawet taką hordę upchnąć na ekranie, to wątpię, by komputer był w stanie sensownie zarządzać swoimi siłami. Nawet garstka żołnierzy miewa tu bowiem kłopot z przejściem od punktu A do punktu B bez blokowania się na przeszkodach. Problem znany od lat, podobnie jak zastosowana w grze mechanika, niestety.

Atrakcja tylko dla tych, którzy pierwszy raz.

„WORLD WAR I: BATTLEFIELDS”, Buka Entertainment, dystr. Cenega, PC



www.MINI.com.pl

FILM WE FRANCJI OBEJRZAŁO PRAWIE 4 MILIONY WIDZÓW



Kociak

FILM INNY NIŻ WSZYSTKIE
W KINACH OD 23 KWIECZNIA

„Uwielbiam Kociaka, zarówno film jak i postać – za poczucie humoru, cudownie chaotyczne wypowiedzi, przehrania. Ale przede wszystkim za ogromną dawkę czułości i aktorstwo – nie do podrobienia!”
Monsieur Cinema

„Połączenie dobrej świetnej zabawy z dużymi emocjami!”
Telé Cine Obs

„Sukces filmu to sukces Gada Elmaleha: wszystkie sceny z jego udziałem przepelnione są czarem, gracją i wielkim talentem aktorskim.”
Le Figaro

„Dużo śmiechu w komedii pełnej smacznych dialogów. Świetne aktorstwo.”
Le Parisien

PRZE KROJ

RMELEM

www.mini.com.pl

www.mini.com.pl

www.mini.com.pl

www.mini.com.pl

www.mini.com.pl

www.mini.com.pl

Nazywam się Pat Robertson. Bóg przysłał mnie, żebym kupił twoją stację – rzekł trzeci magnat telewizyjny Ameryki, dokonując pierwszej transakcji



Fot. ROBERTO BORENAP

PAT OD WSZECHMOGĄCEGO

Zjemy w chrześcijańskim kraju, w którym nie może się wybić żadna chrześcijańska telewizja. Ani Puls, ani Trwam nie wstrząsnęły rynkiem. Więc może się zdarzyć wkrótce tak, że zawitają do nas bracia zza oceanu i wezmą sprawę w swoje ręce. Konkretnie jeden – Pat Robertson. Trzeci po Tedzie Turnerze i HBO na liście największych amerykańskich operatorów kablowych.

Chrześcijański biznesmen

„Jestem po to, żeby przygotować Stany Zjednoczone, kraje Środkowego i Dalekiego Wschodu i inne narody świata na przyjście Jezusa Chrystusa i ustanowienie Królestwa Bożego na Ziemi” – to nie wyznania bezdomnego szaleńca. To jedno z oświadczeń amerykańskiego multimiliardera, teleewangeli-

gelisty, chrześcijańskiego biznesmena, republikańskiego kandydata na prezydenta w 1988 roku, którego medialne imperium skupione jest wokół sieci CBN (Christian Broadcasting Network). Programy CBN dostępne są dziś w 90 krajach, a transmitowane w 50 językach. Prowadzony przez samego Robertsona program „The 700 Club” to zaś jeden z najstarszych programów w USA.

Robertson mówi, że jest chrześcijańskim biznesmenem i nie widzi nic złego w tym, że człowiek odnosi sukces finansowy. Co zna-

czy „chrześcijański biznesmen”? Nigdy nie robi żadnego posunięcia biznesowego bez konsultacji z Wszechmogącym.

Zanim jednak został biznesmenem, przeszedł poważny kryzys. Zostawił ciężarną żonę z małym dzieckiem i wyjechał szukać Boga.

Idź i kup!

Robertson skończył seminarium i odkrył, że komunikuje się z nim Bóg. To za jego namową w 1960 roku nabył małą stację telewizyjną w Portsmouth w Wirginii. Przed decyzją pościł przez tydzień. Już drugiego dnia Pan nakazał mu: „Idź i kup stację, jest twoja”. Usłyszał też, że Wirginia od lat jest w mocy demonów i trzeba ją ratować. I tak zrobił, nie zważając na to, że na koncie miał trzy dolary. „Jestem Pat Robertson. Bóg przysłał mnie, żebym kupił twoją stację”

– powiedział właścicielowi i z pomocą przyjaciół kupił ją za 37 tysięcy dolarów. Stała się kamieniem węgielnym CBN.

Najpierw były problemy finansowe, ale matka uspokajała go, twierdząc, że widziała, jak Pat klęczy przed oknem otwartym na niebo i lecą na niego banknoty dolarowe o dużych nominałach. I Robertson wpadł na pomysł pierwszych pieniędzy – poprosił 700 osób o wpłacanie co miesiąc 10 dolarów na konto stacji. By uhonorować ofiarodawców, swój program nazwał „The 700 Club”.

– Wierzę, że Chrystus jest Panem rządu, Kościoła, biznesu, edukacji, i mam nadzieję, że będzie też Panem mediów. Dlatego nie siedzę w kościele. Chcę, żeby Kościół ruszył w świat – mówi Robertson i działa aktywnie we wszystkich wymienionych dziedzinach. Co prawda nie został prezydentem (choć wydał na kampanię 23 miliony dolarów), ale założył Amerykański Ośrodek Prawa i Sprawiedliwości (ACLJ), Regent University, organizację polityczną Chrześcijańska Koalicja (blisko dwa miliony członków), pisze książki i ostrzega przed „inspirowaną przez okultyzm światową dyktaturą socjalistyczną, w której znaleźliby się: pijacy, handlarze narkotykami, komuniści, gnębiący dyktatorzy, chciwi finansisci, rewolucyjni skrytobójcy, cudzołóżnicy i homoseksualiści”. Po 11 września

mówił, że ataki były gniewem Boga na aborcjonistów i gejów.

Jego imperium rośnie. Lecz jeśli Bóg podpowie, żeby wkroczył na polski rynek, nie będzie mu łatwo. U nas ponoć wciąż obowiązuje prorocтво świętego Kuźmy Etolosa (XVIII wiek), który zapowiadał, że przyjdzie czas, kiedy „do domów wtargną czarci pod postacią niewielkiego pudełka, a ich rogi będą sterzczały na dachu”.

MONIKA ZAKRZEWSKA

STARE KLIMATY

Kuchennymi drzwiami powracają do TVP konserwatywne wartości

Dopóki w konkursach nie zostaną wybrani nowi szefowie Jedynki i Dwójki, nie będzie większych zmian programowych w TVP. Mamy jednak zmiany pojedyncze – już 19 kwietnia w TVP2 pojawi się „Warto rozmawiać”, program publicystyczny z udziałem gości i publiczności, realizowany na bazie „Studia otwartego” z telewizji Puls. „Studio...”, sztandarowy program Pulsu, stworzyli Jan Pospieszalski i Maciej Pawlicki. Obaj pracowali już w TVP – za czasów prezesu-ry Wiesława Walendziaka. Pawlicki był szefem Programu 1. Pospieszalski prowadził między innymi „Swojskie klimaty”.

– To ceniony, nagradzany program – tłumaczy decyzję przeniesienia „Studia...” do Dwójki jej szefowa Nina Terentiew. – Jego potencjał tkwi w prowadzącym Janie Pospieszalskim, w którym jest żar i który mimo wyrazistych poglądów umie wysłuchać wszystkich stron.

W „Studiu otwartym” gościł między innymi Jerzy R. Nowak, historyk słynący z antysemitycznych poglądów, a jeden z programów poświęcono obronie ojca Rydzyka (po tym, jak TVP wyemitowała głośny reportaż Jerzego Morawskiego). Pawlicki wspominał wówczas o „ogromnym dziele ewangelizacyjnym Radia Maryja”... Terentiew przyznaje, że w niektórych odcinkach „Studia...” „racje były rozdzielone równo,

w niektórych nie”, ale zaznacza, że w „Warto rozmawiać” „każdy będzie mógł wygłosić swoją opinię, a widzowie wyciągną wnioski”. – Jeszcze za wcześniej na oceny – podkreśla. – Pozwólmy programowi zaistnieć.

– Uaktywnimy publiczność, poszerzymy krąg tematów, ale polityka nadal będzie na dalekim miejscu – wymienia zmiany w programie Pawlicki. Cieszy się, że TVP „otwiera się” na program, który „w czasach emisji w TV Puls wiązał się z jasnym światopoglądem” – czyli stał po stronie chrześcijańskich wartości.

Otwiera się, ale nie tak gładko. – Chcieliśmy zachować formułę z Pulsu – przyznaje osoba pracująca przy tworzeniu programu. – Ale właśnie ta formuła wciąż jest przedmiotem dyskusji z telewizją.

Program emitowany będzie co dwa tygodnie. Temat pierwszego odcinka to „Pasja” Gibsona, kolejne rozmowy dotyczyć będą między innymi pedofilii, aborcji, sekt i korupcji.

MAŁGORZATA SADOWSKA



ODWROTNOŚĆ NUDY



www.MINI.com.pl

JESTEŚ PORUSZONY?



ale Kino! ma 5 lat!

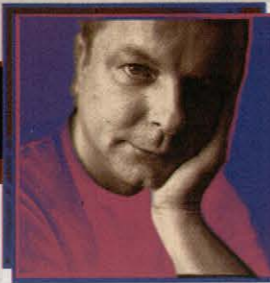
Z tej okazji życzymy sobie wszystkiego najlepszego a Wam proponujemy weekend specjalny od 16 do 18 kwietnia, a w nim:

Piknik pod wiszącą skałą
Gorączka złota
Chaplin
Fanny i Aleksander

ale Kino!

Kanał dostępny w sieciach kablowych oraz **CYFRA+**
www.alekino.pl

KULINARNE
PIÓRO
POLSKI



TADEUSZ PIÓRO

Sezonowość

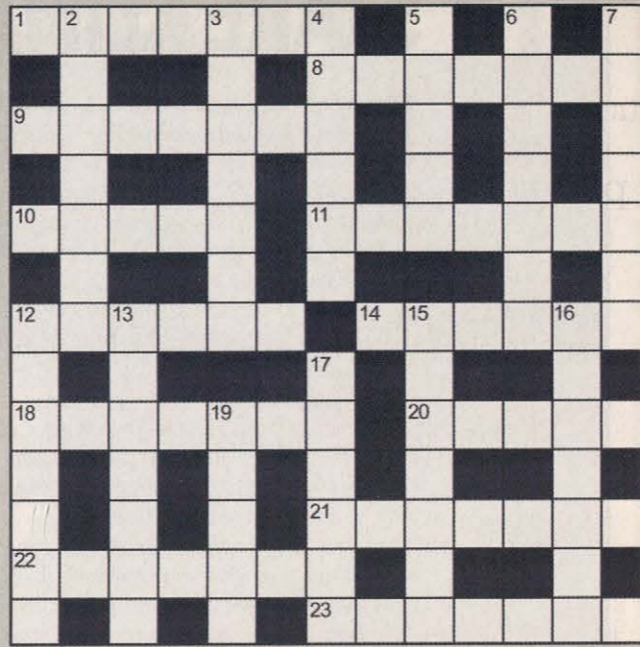
Na ogół trudy przednówka spowodowane brakiem różnorodności pośród owoców i warzyw znoślim, gotując potrawy azjatyckie. W kuchni indyjskiej czy tajskiej więcej można zrobić ciekawych rzeczy z kapusty, marchwi, ziemniaków i cebuli niż w kuchniach europejskich. Lecz w tym roku opuściła mnie chęć na dania z odległych stron, starałem się więc trzymać europejskich kanonów, marząc o wiośnie. Ktoś powie – przecież warzyw jest w bród przez okrągły rok; nawet zimą ogólnie dostępne są: bakłażany, cukinia, cykoria, brokuły, pieczarki, pomidory, ogórki, papryka, melony, ananasy, nawet fasolka szparagowa z Egiptu. Owszem, zdaję sobie z tego sprawę, i to boleśnie, ponieważ jadłem te warzywa przez całą zimę, wyczyniając najrozmaitsze akrobacje kulinarne, żeby nadać im smak warzyw, a nie produktów przemysłowych. Z marnym skutkiem – z pustego i Salomon nie należy.

W łaskawych klimatach problem sezonowości przestaje być problemem, ponieważ różnorodność lokalnych upraw jest o wiele większa niż na północy. Mimo to celebrytuje się początek sezonu na poszczególne warzywa i owoce – choćby tak jak w Katalonii, gdzie w lutym odbywa się wielka feta, której bohaterkami są szalotki. Lecz nie tylko warzywa i owoce poddane są rytmowi pór roku. Podobnie jest z mięsem, rybami, owocami morza, serami. I chyba dlatego to wszystko napisałem, żeby ogłosić triumfalnie, że jesteśmy w pełni sezonu na jagnięcinę. Już w kilku warszawskich sklepach napotkałem młodzieńca, wiosenną jagnięcinę z południa Polski. Sezon nie potrwa długo – korzystajmy póki czas!

Klasyczny sposób na duszone gołenie baranie sprawdza się także w przypadku goleni jagnięcych. Są one chudsze, mniej na nich mięsa, za to smak mają wyborny – i wiosenny. Proponuję kupić po dwa golenie na osobę. Należy natrzeć je solą, pieprzem i rozmarynem i zrumienić w oliwie, po czym wyjąć z patelni i odłożyć. Patelnię zdejmujemy z ognia, wlewamy pół kieliszka białego wina, a kiedy wyparuje, stawiamy ją na małym ogniu i wrzucamy do niej dwie pokrojone w plastry marchewki (są już młode na bazarze!), posiekaną cebulę i kilka pokrojonych w cienkie plastry gałązek selera naciowego. Gotujemy warzywa pod przykryciem, aż zmiękną. Trzeba uważać, żeby się nie zrumieniły, i w razie potrzeby wlać trochę wody. Dodajemy kilka opłukanych i posiekanych filetów z sardeli oraz kieliszek białego wina, zwiększamy ogień i gotujemy przez kilka minut, żeby odparować alkohol. Następnie dodajemy puszkę pomidorów w całości, wraz z zalewą, i dwa posiekane ząbki czosnku oraz szczyptę soli. Wkładamy golenie z powrotem na patelnię (która powinna mieć grube dno), a kiedy płyn zawrze, zmniejszamy ogień, przykrywamy i dusimy przez półtorej godziny, od czasu do czasu przekładając golenie z boku na bok. Jeżeli sos wyda się za kwaśny – a jest to możliwe, bo i wina, i pomidory różne mają stopnie kwasowości – słodzimy go do smaku. Kiedy mięso jest już miękkie i odpada od kości, danie gotowe – wystarczy posypać je natką pietruszki i podać z ziemniakami purée, które są w tym wypadku dodatkiem *sine qua non*. Po zjedzeniu takich goleni można uznać, że Marzanna została trafiona i zatopiona. ■

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 16



POZIOMO:

- 1. ALUZJA DO OKNA
- 8. SZTUCZKA
- 9. WOJSKOWA WYBOROWA
- 10. W ZLEWIE NIE PŁYWA
- 11. PLECY PARTNERA
- 12. MNIEJSZA NIŻ ŚMIERĆ
- 14. SKOK NA PLAŻĘ
- 18. POZUJE NAGO

20. ZWIĄZKA

- ARTYSTÓW SCEN POLSKICH
- 21. NASZYJNIK NA RĘKĘ
- 22. MINUS MINUSKWA
- 23. LUBI LUDZI

PIONOWO:

- 2. MECENAS ROKITY
- 3. DANY ZA PRZED
- 4. CIAŁOZNAWCA

5. PRZYJACIÓŁKA

- Z JĘZYCZKIEM
- 6. WYTWORNY ODŁAM
- 7. ZNA SIĘ
- 12. OSTATNIE DESKI RATUNKU
- 13. W GAZECIE LUB CZASOPIŚMIE
- 15. NIE RAZ NA PRAWO
- 16. NIE NALEWA
- 17. CAŁY ZESPÓŁ PIŁ
- 19. ISTOTNY OWAD

Rozwiązanie krzyżówki nr 13:

Poziomo: 1. oszust 8. lekarz 9. kokoszka 10. paczka 11. zegarek 13. finka 15. Jolka 16. sandały 20. Batory 21. detektyw 22. Kangur 23. orszak
Pionowo: 2. słońce 3. ulotka 4. trzonek 5. kłapa 6. kaszanka 7. szmata 12. gilotyna 14. państwo 15. jabłko 17. dzikus 18. lodyga 19. wydra

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 11 nagrody wylosowali: Paweł Haftka, Gdańsk; Anna Krajewska, Słupsk; Wanda Milewska, Sopot; Wanda i Cezary Szadkowsy, Międzyrzecz; Bogusław Szumielewicz, Iłża. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 25 kwietnia (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Henrika Tikkanena „Wojna trzydziestoletnia. Po bohaterskiej śmierci” (Słowo/obraz terytorial).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 16 lub Krzyżówka 16



T
O
P
O
R

W I N N Y

BIEŃCZYK



MAREK BIŃCZYK

Skoro rzekło się a...

Właściwie są to dzieje tragiczne. Château Figeac (apelacja Saint-Emilion) liczy dziś 20 hektarów, choć w zamierzonych czasach posiadłość rozciągała się na 500. Na początku XIX wieku wdowa po księciu Carle, ówczesnym właścicieli, który zszedł z tego świata, nie chcąc być dłużym świadkiem przygód żony, sprzedała większość z pozostałych jeszcze ziem, by zdobyłymi środkami sprostać wymogom swej ekstrawagancji. Wśród sprzedanych parceli znalazł się zakątek zwany Cheval Blanc. Dziś Château Cheval Blanc jest legendą; jego 1947 uchodzi za najlepsze wino XX wieku. W 1892 resztki posiadłości Figeac kupił André Villepigue, który pozostawił ją w spadku córce, madame Manoncourt; od 1947 roku zarządza nią jej syn Thierry.

Wina Figeaca są wysoko cenione i kiedy z parą turystów przekraczałem próg, z wrażenia spociło mi się podniebienie. Pod koniec wizyty podano wybitny rocznik 1990, co było aktem nadzwyczajnej szczodrości, jako że bordoskie châteaux nie częstują turystów starymi winami; po chwili do salonu wkroczył, opierając się na lasce, sam pan Thierry Manoncourt. Rozmowa potoczyła się gładko jak mydło po posadzce, omówiliśmy ewolucję powieści francuskiej od 1850, wylczyliśmy wyprawy krzyżowe, po czym skupiliśmy się na wspomnieniach.

Opowiedziałem zwięźle o dzieciństwie na warszawskim Grochowie, pan Thierry scharakteryzował młode lata spędzone w château. Spytałem, jak to było podczas okupacji. – Przyszli Niemcy – rzekł pan Thierry – i chcieli zająć zamek, ale świętej pamięci mama westchnęła mimochodem, że w Cheval Blanc obok mają głębszą studnię i zdrowszą wodę. Złej wody Niemcy bali się bardziej niż Ruchu Oporu. Więc poszli do Cheval Blanc... Powiedział „Cheval Blanc” i powieka mu zatrzepotała. Powiedział „Cheval Blanc” i na usta wylał mi grymas, a w oczach zapaliła się co najmniej stuwatówka. – Coś panu poka-



*Cheval Blanc,
można go nie pić,
ale trzeba go znać.
U nas 1993,
cena umowna*

zę – wychrypiał. Wyciągnął z szuflady opasy tom, nerwowo zaczął przerzucać kartki, w spokojnym Château Figeac zatrzęsała się ziemia.

Aby zrozumieć, co nastąpiło, należy wiedzieć jedną rzecz. W latach 50. powstała w Saint-Emilion oficjalna klasyfikacja. Wyodrębniono najlepsze posiadłości i dano im miano *grand cru classé*. Tuzin najlepszych z najlepszych zaliczono do kategorii jeszcze wyższej, *premier grand cru classé*. 10 lat później kategorię tę podzielono na dwie. Do wyższej, oznaczonej literką A, trafiły dwie posiadłości, w tym Cheval Blanc, pozostałe, w tym Fige-

ac, musiały się zadowolić literką B. Dziś Cheval Blanc sprzedaje się po 220 euro, Figeac – po 50.

Pan Thierry wrzał, syczał, sapał. Strona po stronie pokazywał mi oceny porównawcze Figeaca i Cheval Blanc zebrane ze wszystkich pism świata od Japonii po Ziemię Ognistą. – Cheval Blanc – cedził – pan zobaczy, 17,8 punktu, a Figeac 18,1 za 1990. Następnie wyjął drugi tom złożony z próśb do oficjalnych czynników o przesunięcie Figeaca do kategorii A i trzeci złożony z odpowiedzi negatywnych. – Wie pan dlaczego? Bo wino jest za tanie! Tak napisali!

Wyszedłem obarczony kilogramem fotokopii, które wetknął mi pan Thierry. – Niech pan ludziom opowie! Kategoria B! Za tani!!

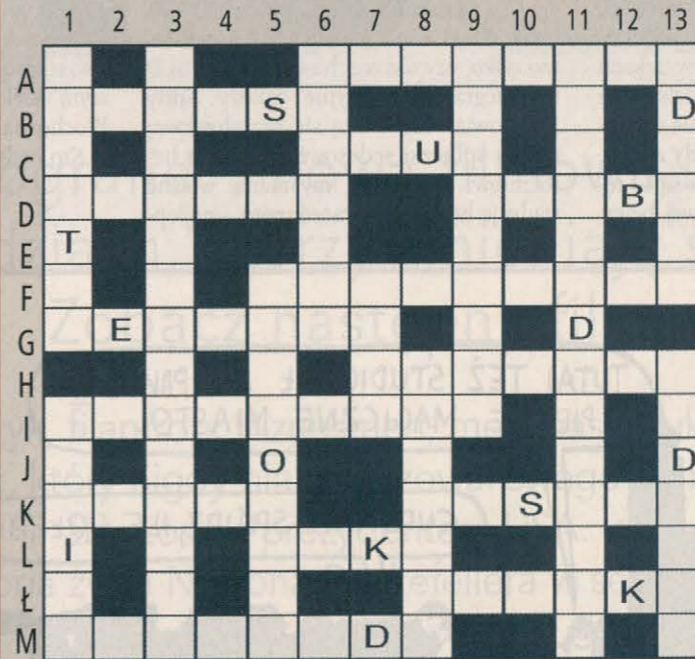
No więc opowiadam z mej dziupli na Grochowie. Klatkę schodową znowu mi obskaki ludzie i koty, na prawdę, panie Thierry, kategoria B, rozumiem, o co panu chodzi! ■

www.przekroj.pl/bienczyk

JOLKA nr 16

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

K13 - I4 - Ł3 - B2 - D1 - G9 - M6 / H13 - B9 - K8 / K3 / A1 - G5 - D10 - I11 - C13 - J1 / K9 / H10 - D6 - L11 - L5 - A12 - I8 / M5 / C1 - I2 - G4 - F11 / F12 - F9 - E3 - Ł8 - E6 - M2.



WYRAZY 14-LITEROWE:
• zaraz znieście jajo
• „dar” niezdar

WYRAZY 9-LITEROWE:
• w graciarni Aresa
• lilia w sklepie bławatnym
• konfabulująca strawa
• na potanicówkę w hucie

WYRAZY 8-LITEROWE:
• zabił muzom klina żyrafą
• hydrointrygant

WYRAZY 7-LITEROWE:
• Twoje allele • jedni kojarzą go z Fe, inni z fe! • bon mot z głębin • gdy ktoś milczy jak najęty

WYRAZY 6-LITEROWE:
• płaszcz zdał
• kazalnica ducha
• król z mleczem
• ekstraktor kowala
• bity w myśl zasady
• Szwajk (możecie spytać w kancelarii 91. pułku w Czeskich Budziejowicach)

WYRAZY 5-LITEROWE:
• gidia budów
• kwintet nad Odrę

WYRAZY 4-LITEROWE:
• Anka z przywatki
• tkanka dla dzierców • gałązki spoczynku

Rozwiązanie jolki nr 13: PRAKTYCZNA BARYŁECZKA DO PRZECHOWYWANIA RÓŻNYCH RÓŻNOŚCI (z „Kubusia Puchatka” A.A. Milne'a).

Rzędami: bobasek, turyści, racje, pole, glup-tas, szwargot, akcent, chalot, Hayworth, różdz-ka, grad, banał, knajpka, awersja. Kolumnami: Alhambra, supelek, czytanie, wykupne, odgłos, pastor, bibos, trawka, wschód, Bareja, audycja, szczegół, Arkytka, Kiejstut.

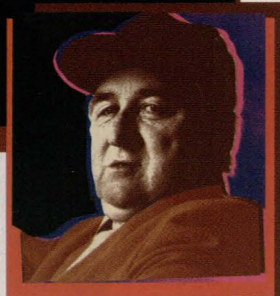
Za poprawne rozwiązanie jolki nr 11 nagrody wylosowali: Barbara Chojecka, Brwinów; Bogumiła Kmok, Grybów; Lidia Niemcewicz, Bielsko-Biala; Marian Spychalski, Wrocław; Grażyna Woźniak, Chojnów. Gratulujemy!



DO BIEGU. GOTOWI. START! www.MINI.com.pl

ZALEWAJKA

KAZIMIERZ KUTZ



FOT. BOGDAN KRZEL

Wagon z napisem – koniec pociągu

Oto pytanie, które nie przyszło do głowy Szekspirowi: Czy Anita Błochowiak może być gwoździem do trumny SLD? To jest pytanie! Nie będziemy z nim zwracać się do jakichś tam CBOS-ów czy innych agencji zaczepiających ludzi, o co tylko popadnie („Czy Oleksemu jeszcze odrosną włosy?”, „Czy Lepper hoduje kanarki?”, „Dlaczego w SLD jest tak mało Żydów?” itp., itd.), co i tak się potem nie sprawdzi. Sami odpowiemy na postawione pytanie.

Anita Błochowiak, podobnie jak Anita Ekberg, kojarzy mi się z wodą. Jedna z fontann na placu Hiszpańskim w Rzymie, druga z basenem kąpielowym w podziemiach hotelu poselskiego w Warszawie. Anita Ekberg była wtedy w rękach Felliniego, w czyich rękach jest dziś Anita Błochowiak, jeszcze dokładnie nie wiadomo (choć plotki wiodą pod niezły adres), ale w czyichkolwiek by była, nie są to ręce czyste. Utaflane są w różowej bejcy.

Scena kąpieli Anity Ekberg była fragmentem filmowego arcydzieła, zaś arcydokonanie Anity Błochowiak jest ponurym przyszcem mutantów dziejowego sztywniaka z placu Czerwonego. To dziś cała „rasa” ludzi, do których i ona należy. Jej antropologiczna solidarność z nimi ma głębokie korzenie w półwiecznej empirii minionego ustroju i stanowi o „ideowym” fundamencie jej raportu. Jest ludzki na ich sposób, ale odległy od wartości ogólnie znanych i czasem stosowanych. Wtedy, w nierealnym socjalizmie, prawda nie była w modzie, dlatego trudno wymagać dziś od Anity Błochowiak, aby prawdę kochała. Prawda wtedy oczywiście istniała, ale ważniejsza była „nasza prawda”, czyli partyjna, i tę tradycję ona heroicznie kontynuuje, bo – jak to się mówi – ma ją we krwi. Nie wiadomo tylko, czy dla rozchlastującej się SLD te integracyjno-partyjne walory Anity Błochowiak nie okażą się przysłowiową rączką splotki sedesowej. Heroizm heroizmowi nie równy, my mamy własne tradycje heroizmu straceńczego – najlep-

szego na świecie – i zdaje się, że Anita Błochowiak reprezentuje ten właśnie model – iście romantyczny – jakby zapatrzyła się w śmierć pułkownika Michała Wołodyjowskiego. I poszła jego śladem. Tylko zapomniała, że po bum-bum nie było już forticy. Aktualne prognozy o oszańcowaniu się w izbach przyszłego parlamentu wyraźnie wskazują na podobny los i Anita Błochowiak dołożyła do niego swoją cegielkę.

Z drugiej strony dziwić się trzeba SLD, że tak nieładnymi sposobami walczy o zatkanie dziury w tonącym statku. Posługiwanie się młodym ciałem swojej posłanki ma znamiona nieprzyzwoitości. Znamy z przeszłości życiorysy wielu młodych kobiet, które zmuszono do poświęcania życia dla idei. Palono je często na stosie. Zdaje się, że podobny los szykowany jest Anicie Błochowiak.

Po 60 latach w rejonie wyspy Riou – blisko Marsylii – znaleziono szczątki samolotu autora „Małego Księcia” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego. Na dnie, 80 metrów pod wodą. Choć nie musiał, poleciał w ostatnich dniach wojny na zwiad i został strącony przez niemieckiego mersschmitta. Przez dziesięciolecia poszukiwano szczątków Antoine’a de Saint-Exupéry’ego. Poszukiwania finansowało francuskie ministerstwo kultury.

Kto za 60 lat poszukiwać będzie szczątków po Lwie Rywinie, Robercie Kwiatkowskim, Włodzimierzu Czarzastym, Aleksandrze Jakubowskiej i Anicie Błochowiak?

Kto będzie sponsorem poszukiwań? ■

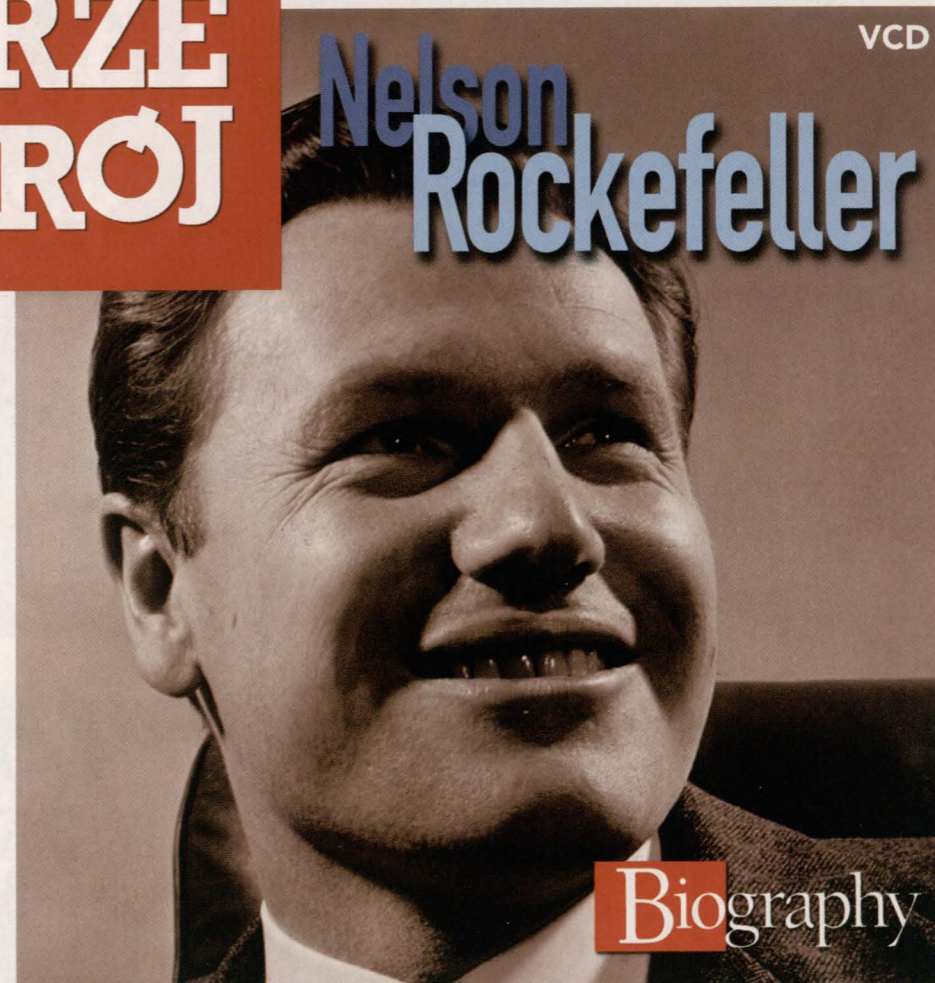
www.przekroj.pl/kutz

PRZE KRÓJ

OTWÓRZ OCZY, ZOBACZ

VCD

Nelson Rockefeller



Biography

„Biografie”: nowa filmowa seria o ludziach, którzy zmieniają świat. Zobacz następny film.

Polityk, filantrop, biznesmen, mecenas sztuki. Człowiek, który nigdy nie zrealizował swego marzenia, aby zostać prezydentem USA. Filmowa historia życia Nelsona Rockefellera w serii „Biografie”.

22 kwietnia 2004 – „Przekrój” nr 17

TUTAJ TEŻ STUDIOWAŁ JAN PAWEŁ II.
PIĘKNE, MAGICZNE MIASTO.

CUDOWNE. SPÓJRZ, ILE GOŁĘBI.

WILHELM SASNAL

DYSTYCHEM O ŚCIANĘ

Dorota Potocka

PRAPREMIERA PREMIERA

Tonąca lewica Belki się chwyrta,
Intencja grubą nicią szyla.

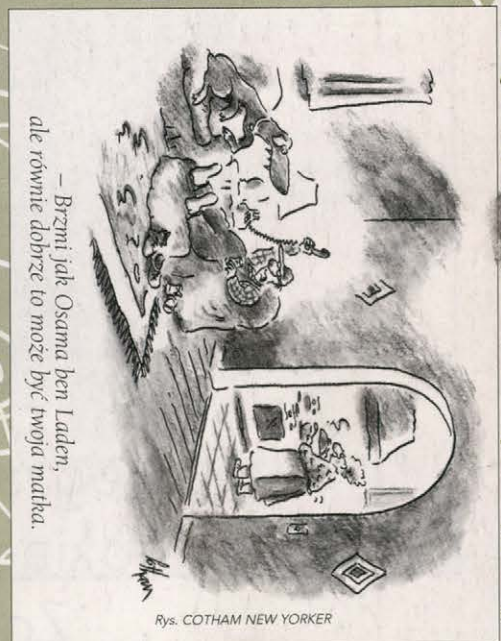
O BOROWIKACH
Myszę, że natura gryzba
Robaczywa bywa, chyba.

O DYSKOB(OL)ISTCE

Twardym dyskiem rzuć w ustawę
– konsekwencje nieciekawę.

POLITYCZNA AKWIZYCJA

Komu raport? Naści, naści!
Mam raporty wszelkiej maści.



Rys. COTHAM NEW YORKER

– Brzmi jak Osama ben Laden,
ale równie dobrze to może być twój matka.

TOFOTOFOTO



Fot. GETTY IMAGES/FPM

KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA

Rzeka tajemnic/Dark Water

HORROR EKOLOGICZNY Z ODWIECZNYM
MOTYWEM SZALONEGO NAUKOWCA

Występują: **PROFESSOR & DOCENT**

Miejsce: laboratorium w miejskich wodociągach

PROFESSOR (lychawiczym szeptem). – Strasznie ciemna ta woda w probówce, docencie. Co tym razem?

DOCENT: – O wiele więcej niż przed godziną fosforanów, siarczanów i wielopierścieniowych węglowodorów atomatycznych.

PROFESSOR filozoficznie, z blyskiem w przekrwionych oczach! – Jak to się szybko w tej Wiśle zmienia. Mielibyśmy rację starożytni, mówiąc, że nie da się dwa razy wejść do tej samej wody. (Po chwili, cynicznie, przez zęby). A niech to ludzie piją! (Śmieje się donośnie, po chwili śmiech przechodzi w spazmatyczny kaszel).

Groza. **THE END/KURTyna**

Rodzina Obłych

Nowy uczeń

W poniedziałek do klasy syna państwa Obłych wychowawczyni wprowadza nowego ucznia, którego przeniesiono z innej szkoły. Przez cały dzień nowy uczeń nie odzywa się do nikogo, tylko cichutko sobie nuci. Po lekcyjach syn Obłych podąża za nowym uczniem, który idzie bardzo długo. Mija przedmieścia i wychodzi na duże pole, na którym rośnie niemo. Nowy uczeń otwiera drzewo i wchodzi do niego.

– A więc to tak – myśli sobie syn Obłych i przykłada ucho do drzewa. Słyszy, jak nowy uczeń głośno śpiewa.

Patryk Pająk



Rys. PAULLUS MAZUR

Polska Co jest i dlaczego?

Grzegorz Bukala

Polska to taka kiebasa.

Dobra jest ona, podwędzona.

Niejedna klasa na nią lasa i moja zona.

A jak tu żony zaspokoić i dzieciom wrócić wiarę w dzieci? Tytu próbujcie coś odkroić, aż dziw, że jeszcze nie zginęła.

Polska jest pawim narodów.

Podła intryga, ktoś narzyga!

Nie brak nam wrogów i powodów,

szkoda boryga.

Są w ojczyźnie jakieś rachunki

(nie sumienia, się nie oplaca).

Obca dłoń wymyślała trunki, narod płaci, placze i zwraca.

Jest takie miejsce na Ziemi.

Miejsce jak miejsce – jest, na szczęście.

Rzeki czerwieni, amnie cieni,

możemy więcej.

Żeby była, byłaby była

nimno krzywdy, kłamstwa i właśnie...

Bo jest w nas ta fatalna siła.

Bo jest w nas, a to Polska... no właśnie.

Marsz, marsz, Polonia,

mój dzielny narodka!

Nim dojdzemy, stratuemy

w imię przynajwiększych środków.

Marsz, marsz, Polonia,

znowusny są w kursie,

my są panny, lud wybrany,

Europo, bój się!

LAST MINUTE

Wywiad z ministrem:

– Czy ktoś poza ministerstwem ma dostęp do tajnych dokumentów?

– **NIE!**

Krzysztof Pytla